

Bohdan Petecki

Wiatr od słońca

1980

1

Tuptaczek, szampana!

Dochodziło południe. Słońce ukazało się nad rosnącymi w ogrodzie sosnami i promieniami przetrzebiło szklaną ścianę pokoju. Snop światła padł na lekko wypukłą tarczę ekranu. Cały wielopiętrowy człon zawilego wzoru zniknął pod jasnozłotym, ognistym lśnieniem.

Maciek syknął ze złością i szybko wdusił mały klawisz u dołu pulpitu. Szklana ściana natychmiast nasiąkła zgaszoną czerwienią, ekran przestał puszczać słoneczne zajęczki, ale wspaniały wzór zdążył już z niego uciec.

- Rupieć!

- Czy dobrze cię zrozumiałem? - spytał przesadnie uprzejmym tonem głośnik umieszczony z boku ekranu.

- Nic, nic - wycofał się pośpiesznie chłopiec. Nie czas było teraz przypominać domowemu komputerowi, że słówko „rupieć” zastępuje najmłodszej latorośli rodziny Całków absolutnie wszystkie wykrzykniki, jakimi ludzie zwykli obwieszczą światu o swoim podenerwowaniu. Wątpliwe zresztą, czy komputer, jako bądź co bądź martwa maszyna, zechciałaby uwierzyć, że w ustach Maćka to słówko wcale nie musi dotyczyć starych, zepsutych sprzętów, ale że równie dobrze odnosi się do każdej irytującej niespodzianki czy jakiegokolwiek nie milej sytuacji. A poza tym cenne sekundy uciekały bezpowrotnie. Wprawdzie trening to jeszcze nie zawody, jednakże zakłócenie szybkiego rytmu zadań i rozwiązań musiało wpłynąć na obniżenie wartości sprawdzianu, zniekształcić prawdziwy obraz umiejętności kandydata na mistrza Astroniady, złotego medalistę Sześcioboju Planetarnego.

- Powtórz pytanie - powiedział prędko chłopiec.

- Powtarzam - zgodził się od razu głośniczek. - Oto dane dotyczące położenia statku wzywającego pomocy - na ekranie odżyły cyfry i znaki. - Kto pierwszy zdąży na ratunek; ty czy rakieta znajdująca się teraz w sektorze AX-7?

Maciek zastanowił się chwilę, po czym przebiegł palcami po klawiaturze komputera.

- Krótszą drogę ma pilot z sektora AX-7 - odczytał wynik. - Ale ja także muszę polecieć. W pobliżu nie ma żadnego innego statku, który mógłby ubezpieczać tamtą raketę w czasie akcji.

- Dobrze. Piłka spada na pole F-2!

- Przebijam na Z-1 - odpowiedział Maciek wpatrzony w ekran, na którym teraz

panowała gwiazdna, kosmiczna noc.

- Dobrze. Wymień przynajmniej trzy nazwiska kompozytorów symfonii olimpijskich z dwudziestego pierwszego i dwudziestego drugiego wieku.

- Co?...

- Nie zrozumiałeś pytania? Wymień przynajmniej trzy...

- Zrozumiałem - przerwał, niecierpliwie Maciek. - Nie wiem - dorzucił hardo.

- Niedobrze - stwierdził obojętnie głośnik, po czym wyrecytował pięć nazwisk. -

Zapamiętasz? Czy mam powtórzyć?

- Nie wiem, czy zapamiętam, ale nie powtarzaj. Chcę startować w zawodach, a nie grać na flecie.

- Niedobrze.

- Rupieć!

- Słucham? - zagadnął aksamitnym głosem komputer.

Chłopiec przełknął głośno ślinę.

- Powtórz te nazwiska - wycedził przez zęby.

- A teraz ty - zażądał nieustępliwie głośnik, spełniwszy ostatnie polecenie. I Maciek posłusznie powtórzył.

- Dobrze. Piłka spada na pole C-3!

- Przebijam na Z-2!

- Dobrze. Przed tobą meteoryt lecący z szybkością dziewięćdziesięciu dwóch kilometrów na sekundę. Zderzenie czołowe za osiemnaście sekund,

- Strzelam - odpowiedział bez namysłu Maciek. - Jeśli meteoryt leci z szybkością większą niż osiemdziesiąt kilometrów na sekundę, to znaczy że przybywa spoza Układu Słonecznego. Takie meteoryty są niebezpieczne, kiedy znajdują się na torze statku, i wolno je zniszczyć. Meteoryty układowe podlegają ochronie.

- Dobrze. Gdzie znajduje się meta biegu Mars-maratońskiego?

- U stóp Pomnika Człowieka.

- Dobrze. Data bitwy pod Maratonem?

Rytm pytań i odpowiedzi uległ ponownemu zakłóceniu. Przez chwilę w pokoju panowała cisza.

- Nie zrozumiałeś... - zaczął komputer, ale Maciek i tym razem nie pozwolił mu skończyć. Zdusił w sobie pewne dwusylabowe słówko i powiedział grobowym głosem:

- Nie pamiętam.

- Niedobrze. Rok czterysta dziewięćdziesiąty przed naszą erą.

- Ale ja nie będę biegał przed naszą erą, tylko teraz, w roku...
- Niedobrze - z kolei przerwał głośnik.
- Bitwę pod Maratonem stoczono w roku czterysta dziewięćdziesiąt przed naszą erą
- ustąpił bez przekonania chłopiec.
- Dobrze. Alarm trzeciego stopnia.
- Zgłaszam swoją pozycję najbliższej bazie, po czym rozpocynam nasłuch we wszystkich pasmach częstotliwości.
- Dobrze. Koniec treningu.

Na tarczy ekranu, z czarnej nocy wszechświata wychynęła uśmiechnięta twarz wychowawcy klasy, matematyka Pawła Kulskiego.

- Całkiem nieźle - powiedział z uznaniem. - Refleks: sześćset dziewięćdziesiąt sześć punktów na siedemset możliwych, umiejętności: sześćset siedemdziesiąt punktów, teoria... - pan Kulski zawahał się przez moment - no cóż, szczerze mówiąc teoria nie jest twoją najmocniejszą stroną.

- Pytania są jakieś takie dziwne - bąknął z urazą Maciek.

Uśmiech matematyka stał się nieco melancholijny.

- Są dość wszechstronne... zgodnie z regulaminem zawodów. Ale nie martw się - Kulski mrugnął pocieszająco - za to świetnie biegasz.

- Startuję jako przyszły specjalista - uniósł się honorem Maciek. - Dziękuję za uznanie, ale Astroniady nie wygrywa się nogami.

Wychowawca spoważniał i zatroskał się.

- Już od kilkuset lat każdy naukowiec, jeśli chce czegoś dokonać, musi być specjalistą - powiedział. - Ale im więcej w naszym świecie badaczy, którzy pracują w jednej, wąskiej dziedzinie, tym bardziej potrzebujemy światłych ludzi, interesujących się wszystkim, co dotyczy mieszkańców Ziemi. Wyrobieniu takiego poglądu służy między innymi nowoczesny sport. Chyba wiesz o tym. Inaczej nie wygrałbyś wszystkich wstępnych eliminacji i nie stałbyś się jedynym reprezentantem Strefy Bałtyckiej na tegoroczny Sześciobój. A poza tym, gdybyś rzeczywiście chciał zostać tylko specjalistą, to nie przychodziłbyś przecież na lekcje do szkoły. Bądźże konsekwentny...

Nie da się ukryć, że wzmianka o zwycięstwie w eliminacjach zadźwięczała w uszach chłopca jak melodyjna piosenka. Jej harmonijne brzmienie zmąciły jednak ostatnie słowa pana Kulskiego,

Maciek bowiem był konsekwentny i raz obrawszy sobie przyszłą specjalizację wcale nie chciał chodzić do szkoły. Rok temu powiedział o tym ojcu. Rozmowa miała miejsce tutaj,

w tym pokoju.

Ojciec, któremu udało się wyrwać na kilka dni z laboratorium na orbicie Marsa, gdzie prowadził badania asteroidów, podszedł wtedy do uczniowskiego pulpitu syna i usiadł na wprost ekranu. Omiótł wzrokiem aparaturę, pozwalającą w każdej chwili połączyć się nie tylko ze szkołą, lecz także ze wszystkimi bibliotekami posiadającymi elektroniczne zapisy książek wydanych od zarania dziejów, ze wszystkimi międzyszkolnymi pracownikami specjalistycznymi, a oprócz tego z muzeami, teatrami i salami koncertowymi w całym Układzie Słonecznym, po czym westchnął i powiedział:

- Masz rację. Odkąd wszystkie dzieci dysponują u siebie w domu tymi cudami techniki informatycznej, chodzenie do szkoły nie jest obowiązkowe. Można nawet ukończyć studia nie ruszając się ze swojego pokoju. A jednak lubisz spotykać się ze swoimi koleżankami i kolegami, prawda?

- Jak czasem - mruknął Maciek, nieco zbity z tropu.

Ojciec zaśmiał się krótko, wstał i położył synowi rękę na ramieniu.

- Ano, właśnie - podchwycił z humorem. - Czasem ktoś jest miły, a kiedy indziej nieznośny. Dlaczego? Ty sam często bywasz jak do rany przyłóż, a zdarza się... teraz nie będziemy o tym mówić. - Michał Całka spostrzegł, że twarz Maćka raptownie zmienia wyraz, i pośpiesznie wrócił do głównego tematu rozmowy: - W szkole spotykasz się ze swoimi rówieśnikami, z których każdy jest troszkę inny. Prawie wszyscy będziecie kiedyś specjalistami... ale właśnie dlatego powinniście się uczyć poznawać ludzi. To bardzo ważne, synu. Jeśli będziesz, na przykład, badał dalekie galaktyki, musisz pamiętać, że pracujesz także dla kogoś, kto w tym samym czasie na Ziemi maluje obraz, komponuje symfonię, produkuje żywność lub buduje domy. Chodzi o to, co tkwi w nas najgłębiej. O pragnienie szczęścia. A to już sprawa nie najnowocześniejszych datorów - ojciec wskazał ruchem głowy pulpity z ekranem - ani też superspecjalistów: bioników czy kosmików. Najpierw trzeba poznać samego siebie, a to można osiągnąć tylko w bezpośredniej konfrontacji z innymi ludźmi, ich życiem, troskami i radościami. Tylko ci naukowcy, którzy znają i rozumieją ludzi, naprawdę popychają świat naprzód, niezależnie od tego, czym się zajmują. Powinieneś chodzić do szkoły i spotykać się z kolegami, bo żywych, codziennych spotkań z ludźmi nic nie może zastąpić. Co tobie czy mnie przyjdzie z tego, że ktoś zbuduje jeszcze milion fantastycznych satelitów, jeśli ta budowa nie będzie mieć nic wspólnego z potrzebami i marzeniami całej ludzkości?

- Bardzo to pięknie powiedziałeś - zabrzmiał w tym momencie głos w kącie pokoju - ale obawiam się, że to trochę za mądre dla Ciuciutki. On jest jeszcze maleńki...

- Marku! - zawołał badacz asteroidów, patrząc z wyrzutem na swojego najstarszego syna, który niepostrzeżenie wszedł przez otwarte drzwi i od pewnego czasu przysłuchiwał się wywodom ojca. - Ty za to zachowałeś się całkiem niemądrze!

- Co tam! - roześmiał się lekceważąco jasnowłosy dryblas, liczący dwadzieścia lat i w pełni świadomy przewagi swego dostojnego wieku. - Chłopaczkowi wystarczy, że ma chodzić do budy, a kiedyś i tak zrozumie, po co. Prawda, Ciuciusia?

- Rupieć! - wrzasnął Maciek, który nie znosił swojego rodzinnego przezwiska. - Rupieć! - powtórzył z pasją, a następnie wybiegł z pokoju. W drzwiach zatrzymał się jeszcze moment, by wyrzucić z siebie: - A ja i tak nie chcę chodzić do szkoły! - po czym zmierzył druzgocącym spojrzeniem „sędziwego” brata i zniknął w ogrodzie.

Ta scena sprzed roku odżyła w pamięci chłopca teraz, kiedy wychowawca podszedł go tak chytrze - przynajmniej we własnym mniemaniu - mówiąc, że gdyby Maciek chciał być tylko specjalistą, to przecież nie przychodziłby na lekcje do szkoły. Kandydat na mistrza Astroniady zdał sobie sprawę, że pan Kulski myślał o tym samym, o czym mówił wtedy ojciec, tylko wyraził to inaczej, w przekonaniu - i to było najgorsze - że jego uczeń, nadzieja Strefy Bałtyckiej, w gruncie rzeczy przekomarza się jedynie, mówiąc z takim lekceważeniem o teorii, wobec czego dalsze wałkowanie sprawy byłoby całkowicie zbędne.

W tej sytuacji Maciek osądził, że najrozsądniej będzie zmienić temat. Przybrał obojętny wyraz twarzy i spytał:

- Więc oglądał pan mój trening?

- Daruj - roześmiał się matematyk - ale nie mogłem sobie tego odmówić. Mam na pewno większą treść, niż ty. Nie gniewasz się?

Chłopiec pokręcił przecząco głową. Wiedział, że pan Kulski, podobnie zresztą jak pozostali nauczyciele, w żadnym innym wypadku nie pozwoliłby sobie na podglądanie ucznia w domu, chociaż aparatura informatyczna, łącząca szkołę z prywatnymi pokojami wychowanków, teoretycznie to umożliwia. No cóż. Teoretycznie można przecież podstawiać nogi staruszkom przechodzącym przez ulicę, czytać cudze listy czy choćby ściągać chmury gradowe nad ogrody sąsiadów, a przecież nikt tego nie robi.

- Nie - powiedział Maciek. - Mam szansę?

- Nie przejmuj się tą teorią - odrzekł szybko matematyk - i już dzisiaj nie trenuj. Jestem przekonany, że nie tylko przejdiesz z honorem przez jutrzejszy Turniej Kwalifikacyjny, ale że w ogóle wygrasz. Wszyscy na ciebie liczymy. Niestety, nie mogę polecić na zawody, ale będę siedział kolkiem przed trivi i zaciskał kciuki. Trzymaj się,

Maćku... powodzenia! - Pan Kulski zniknął z ekranu równie szybko, jak przedtem się na nim pojawił.

Przyszły specjalista przesiedział jeszcze kilka sekund bez ruchu, następnie wyłączył aparaturę, zerwał się z fotela i podbiegł do szklanej ściany. Przycisnął mały guziczek, odczekał, aż półprzezroczysta, czerwona płyta rozstąpi się bezgłośnie, po czym wypadł do ogrodu i okrążając dom popędził po kamiennych stopniach poprzerastanych trawą na pierwsze piętro. Stopnie przechodziły w taras, a z tarasu drzwi prowadziły prosto do gabinetu ojca. Wprawdzie Michał Całka bywał w domu rzadkim gościem, ale gabinet z pełnym wyposażeniem czekał na niego zawsze, o każdej porze dnia czy nocy. Mogło się przecież zdarzyć, że zawitawszy na kilka dni do rodziny, będzie musiał popracować i tutaj.

Gabinet był dosłownie zavalony wszystkimi możliwymi przystawkami do komputera i opleciony pajęczyną cienkich, kolorowych drucików. Maciek jednak wiedział, gdzie szukać tego, po co tu przyszedł.

Stos perforowanych arkuszy folii powędrował na podłogę, odsłaniając smukły pojemnik. Pokrywa odskoczyła z cichym trzaskiem. Ze znajdujących się wewnątrz skarbów chłopiec wybrał najpierw małe laser, który można było wbudować do zwykłego zegarka na rękę, a następnie zwój światłowodów, czyli specjalnych przewodów z soczewkami, służącymi zazwyczaj do przesyłania energii lub informacji w okolicach zamieszkałych przez ludzi, gdzie nie wolno manewrować otwartą wiązką promieni. Trafienie z lasera to nie żarty.

Maciek sprawdził działanie aparaciku, wmontował go w zegarek, przekonał się, że zakończenie światłowodu ma odpowiednią nakrętkę, po czym zamknął pojemnik, ułożył na nim z powrotem stertę arkuszy i wycofał się na taras, cicho zamykając za sobą drzwi. Wiedział, że gdyby go ktoś zauważył, byłoby mu bardzo trudno wytłumaczyć, czego szukał w gabinecie ojca. A prawdy przecież nie mógł powiedzieć. Wszyscy, nie wyłączając Leny - najłagodniejszej mamy pod słońcem - uznaliby rzecz za nieuczciwą. Uczciwą! A czy jest uczciwe, żeby sportowca, przyszłego specjalistę od gwiazd, pytać o bitwę pod Maratonem? I wprowadzać takie pytania do programu zawodów? Pokaże im, co warta ich teoria w obliczu prawdziwej techniki! W końcu - technika to także głowa! Zgoda, że Astroniady nie wygrywa się nogami. A jednak Mars-maraton cieszy się chyba największym zainteresowaniem widzów i nigdzie nie napisano w regulaminie, że człowiekowi, który doskonale biega, nie wolno posłużyć się podstępem w konkurencjach teoretycznych. Zresztą, chodzi przecież jedynie o jutrzejszy Turniej Kwalifikacyjny. W czasie prawdziwych zawodów ani ten zmodyfikowany zegarek, ani światłowód nie będą mu już potrzebne.

W połowie ścieżki przystanął. Jeśli wszystko jest w porządku, to czemu tak bardzo nie

chciał, żeby go ktoś zaskoczył w gabinecie ojca?

- Eee! - potrząsnął niecierpliwie głową, jak ktoś usiłujący odpędzić szczególnie natarczywą muchę. Szybko ruszył dalej. Minął otwartą ścianę swojego pokoju i wszedł do korytarza, gdzie zatrzymał się przed wysokim lustrem.

Na wprost siebie widział teraz chłopca całkiem nieźle wyrosniętego jak na swoje piętnaście lat, w miarę chudego, o długich nogach, wąskich biodrach i kościstych ramionach. Z tych ramion wyrastała odrobinę za długa szyja, unosząca dużą głowę, przykrytą nastroszoną strzechą ciemnoblond włosów. Niebieskie oczy patrzyły z uwagą. W tej chwili w ich wyrazie było coś, co Maćkowi niezbyt się spodobało, wołał jednak nie wracać do swoich niepokojących myśli, tylko co zagłuszonych owym rezolutnym „eee!”... Nos był całkiem zwyczajny, ani za długi, ani za krótki, dość wąski. Za to usta mogłyby być stanowczo węższe. Teraz nie było jeszcze najgorzej, bo zaciśnięte wargi tchnęły surowością, jaka cechuje muzealne wizerunki starożytnych mężów, ale w uśmiechu...

I nagle, całkowicie niespodziewanie dla samego siebie, Maciek najpierw uśmiechnął się szeroko, a potem zaśmiał cicho. Co tam! W sumie ten chłopak patrzący z lustra wcale nie wygląda na kogoś, kto chciałby być bezwolną igraszką losu. Taki chłopak mógłby nawet wygrać Astroniadę, a przynajmniej którąś z konkurencji Sześcioboju. Zresztą, dlaczego tylko „któraś”? Słyszycie ten krzyk reporterów trivi? „Maciej Całka mistrzem Astroniady!” To dopiero byłoby boloidalnie!

Tu należy wyjaśnić, że o ile określenie „rupiec” zastępowało Maćkowi najwymyślniejsze i najgorsze wyzwiska, o tyle słówko „boloidalnie”, „boloidalny”, oznaczało coś niebotycznie wspaniałego, obojętnie czy była to szczególnie udana zabawa, bohaterski czyn, najnowszy statek dalekiego zasięgu czy jakakolwiek bardzo przyjemna niespodzianka.

- Boloidalnie... - powtórzył na głos chłopiec widząc siebie oczami duszy na najwyższym podium. W tym samym momencie usłyszał za sobą charakterystyczne, przyciszone dźwięki. Ktoś skradał się za jego plecami... Niestety! Ten ktoś tak nadawał się do skradania, jak hipopotam do podróży na motorowerze. Każdy, w zamyśle bezszelestny, krok odbijał się tępym, metalicznym echem od ścian i sufitu.

- Bum! - krzyknął Maciek odwracając się gwałtownie.

Dwuonożny stwór stanął bez ruchu i opuścił bezradnie ramiona. Na pierwszy rzut oka był trochę podobny do Marka, ale tylko na pierwszy rzut oka i tylko trochę.

- I tak się nie przestraszyłem - powiedział stwór obrażonym tonem. - Mój system nerwowy...

- Ale chciałeś przestraszyć mnie! - przerwał ze śmiechem chłopiec. - Ty mnie!

Tuptaczku!...

Osobnik nazwany „Tuptaczkiem” spojrział z żalem na swoje metalowe stopy. Następnie uniósł głowę i zamigotał błyszczącymi oczami. Maćkowi wydało się, że w spojrzeniu tych oczu dostrzega coś w rodzaju niemego wyrzutu, i zrobiło mu się przykro.

- Przepraszam cię - powiedział. - Wiesz, jak to jest w rodzinie. Mnie także nazywają czasem... no, tak jak tego nie lubię. A ty przecież nie jesteś zwykłym robotem pomocniczym, Skrzaciku.

- Możesz mnie nazywać Tuptaczkiem - zgodził się wspaniałomyślnie Skrzacik. - Ale tylko wtedy, kiedy jesteśmy sami - dodał przezornie.

Chłopiec zaśmiał się:

- W każdym razie nigdy nie próbuj się skradać. A jeśli już koniecznie zechcesz, posmaruj najpierw podłogę grubą warstwą pasty!

- Na twoim miejscu wymazałbym z pamięci ten żalony incydent - powiedział lodowatym tonem Skrzacik.

„Żalony incydent” zaistniał dawno, ale do dzisiaj, ilekroć Maciek naraził się mamie lub braciom, ktoś zawsze przypominał, jak to najmłodszy przedstawiciel rodziny Całków, zirytowany głośnym tupaniem robota, wykorzystał moment, kiedy ten doładowywał swoje baterie, i pokrył mu stopy smarem do konserwacji łodzi. Skrzacik, rzeczywiście bezszelestnie, przemknął wówczas jak błyskawica przez przedpokój, pracownię Marka i pokój mamy, gładko wybijając po drodze wszystkie drzwi, by w końcu, po rozwaleniu głową szklanej ściany, wylądować w ogrodzie.

Powiedziawszy, co myśli o „incydencie”, Tuptaczek podszedł do lustra i zatrzymał się przed nim. Teraz z kolei on przyglądał się przez chwilę swojej szczupłej sylwetce, błękitnej, plastikowej twarzy, potężnym ramionom, zakończonym zgrabnymi uchwytami, i stanowczo za grubym nogom.

- Co tam widzisz? - spytał ze śmiechem Maciek.

- Zastanawiam się tylko, co ty tutaj zobaczyłeś, że wprawiło cię to w tak doskonały nastrój - w głosie Skrzacika zadźwięczała nutka ironii. - „Skradałem się”, jak mówisz, nie tylko po to, żeby cię przestraszyć. Chciałem ci pokazać, jak zmieni się wyraz twojej twarzy, kiedy ktoś krzyknie nagle: „bum”! Szybki refleks będzie ci bardzo potrzebny w czasie zawodów, a poza tym, jak wiesz, zaprogramowano mnie z uwzględnieniem elementów pedagogiki. Jako opiekun rodziny muszę...

- Tuptaczek!

- Ciuciuśka!

- Rupieć!

- O, przepraszam - obruszył się nie na żarty Skrzacik - nie jestem rupieć! Marek mnie dopiero co wyremontował...

- Przecież wiesz, że nie myślałem o... - zaczął pojednawczym tonem Maciek, ale nie skończył. Po przeciwnej stronie domu rozległo się radosne ujadanie Feriego. Równocześnie dobiegły stamtąd zmieszane ludzkie głosy, nad którymi górował pojedynczy, donośny baryton.

- Kto to? - skrzywił się chłopiec.

Skrzacik stał chwilę bez ruchu. Następnie skinął lekko głową i powiedział:

- Przyjechał wuj Alf. Są także Ania Ł..

Maciek jednak już nie słuchał. Rozpromienił się, zawołał: „boloidalnie!” i pobiegł korytarzem w stronę głównego wejścia. Przybycie wuja Alfa, zawsze pełnego najdziwniejszych pomysłów, zapowiadało pyszną zabawę. A Maciek, nie zważając na to, że jego twarz przestawała wtedy przypominać wizerunek rzymskiego senatora, bardzo lubił się śmiać. Poza tym nie należało zapominać, że słynny historyk Alf Nielson będzie nie tylko jednym z jurorów jutrzejszego Turnieju Kwalifikacyjnego, lecz także członkiem kolegium sędziowskiego całej Astroniady.

Nad zalany słońcem wierzchołkami drzew małał, oddalając się, różowy helikopter, którym przybyli goście. Oni sami stali pośrodku trawnika, wiodąc ożywioną rozmowę z mamą Maćka, Leną Całkową, i jej najstarszym synem. Ten ostatni, ujrzawszy brata, wycelował w niego wskazujący palec i przekrzykując pozostałych zawołał:

- A oto i wasz najgroźniejszy rywal! Zetrze was na proszek i posypie nim gwiazdy!

- To się jeszcze okaże! - zagrzmiał wuj Alf.

Maciek zmrużył oczy i teraz dopiero poznał stojącą obok wuja swoją kuzynkę, Annę. Miała na sobie obcisły koralowy kombinezon, znakomicie podkreślający zgrabną sylwetkę i pięknie harmonizujący z jasną cerą i rudozłotymi włosami. Czarne oczy patrzyły na Maćka z niezbyt przyjaznym oczekiwaniem. To prawda, że byli rywalami. Anna także przebrnęła zwycięsko przez eliminacje swojej strefy, jednak ten „proszek” stanowczo mógł sobie Marek darować.

Obok kuzynki stali jeszcze dziewczyna i chłopiec, którzy najwidoczniej także przyjechali z wujem Aliem.

- Poznajcie się - powiedziała swoim cichym, serdecznym głosem Lena - to jest Maciek, a to - wskazała nieznanym - Ina i Roald Sviergowie.

- Cudowne rodzeństwo Strefy Północnej - dodał Marek. - Oboje zdobyli wspólnie

pierwsze miejsce i prawo startu w Sześcioboju. Oglądaliśmy ich w trivi.

Maciek przywitał się z Anną, po czym podszedł do towarzyszącej jej pary. Nastąpiła ceremonialna wymiana słów „Maciek - Ina - Maciek - Roald”, a następnie dziewczyna dodała:

- Rośliny, egzobiologia i taniec. A ty?

- Ja... - Całka Junior zawahał się przez moment - ja tylko kamienie - mruknął wreszcie niechętnie.

- Ja interesuję się muzyką - Roald powiedział to takim tonem, jakby przepraszał obecnych za swoje tak mało kosmiczne hobby. Maciek udał, że uśmiecha się z uznaniem. Trivi rzeczywiście poświęciła Sviergom specjalny program; ostatecznie nieczęsto się zdarza, żeby brat i siostra z jednej Strefy równocześnie zdobyli prawo udziału w Astroniadzie, ale Maciek zapamiętał z tego programu tylko tyle, że Ina i Roald świetnie chodzą po górach swojej ojczystej Arktyki, uprawiają jakieś dziwne rośliny i wspólnie trenują. Autorzy audycji dawali do zrozumienia, że w Sześcioboju Sviergowie mogą się okazać groźni nawet dla najlepszych.

Roald miał ciemne włosy, ostrzyżone na pazia, wesołe oczy, był nieco niższy od Maćka, ale szerszy w ramionach. Liczył sobie piętnaście lat i kilka miesięcy, a już rok temu, na międzyszkolnych zawodach Europy Północnej, zdobył tytuł mistrza pilotażu. „Żeby mistrz pilotażu interesował się akurat muzyką” - pomyślał Maciek i od razu zdecydował, że Roald nie będzie konkurentem, z którym, należałoby się liczyć. Z kolei obdarzył więc swoim zainteresowaniem Inę.

„Cudowna siostra” była cudowna nie tylko dlatego, że coś tam wygrała i miała cudownego brata. Maciek spojrzał na jej uśmiechniętą twarzyczkę i nagle poczuł, że krew gorącą falą zalewa mu policzki. Zły na siebie chciał coś powiedzieć, ale wydał tylko dziwny, świszczący odgłos, jakby w jego gardle obudził się nagle stary, zachrypnięty kaczor.

- Masz czkawkę, młody człowieku?! - zapytał bardzo głośno wuj Alf.

- A mówiłam - odezwała się słodkim głosikiem Anna - że najlepszym sposobem na naszego Maciusia będzie przywieźć tu Inę. On przybiegnie ostatni, żeby tylko przypadkiem nie zrobić jej przykrości. A przy okazji nam odpadnie jeden konkurent...

- Co oni plotą! - roześmiała się cudowna siostra patrząc na Maćka spod lekko zmrużonych powiek. - Me słuchaj, bo się tak rozgniewasz, że zostawisz nas wszystkich daleko za sobą. A ja - dodała ciszej, jakby zwierzała się ze swojego największego sekretu - bardzo chciałabym wygrać...

Ina była jakby o jeden odcień ciemniejsza od Anny. Za to oczy miała złote i tylko

złote.

- Każdy chciałby wygrać! - roześmiał się beztrąsko Roald, a następnie spojrzął ciekawie na Maćka czekając, co odpowie jego siostrze ten sympatycznie wyglądający chłopiec, tak niegodnie zaatakowany przez Annę. I nie czekał długo.

- Ja... ja... ja... - złożył oświadczenie Maciek, po czym natychmiast przypomniał sobie, że nie przywitał się jeszcze z wujem. Podbiegł do historyka i uściskał go serdecznie. Ścisnął go tak długo, że w końcu wuj Alf wybuchnął śmiechem, od którego zadrżały okoliczne drzewa.

- Może mi ktoś powie - potoczył wzrokiem po obecnych - co się stało z tym rezolutnym chłopcem, który kiedyś pouczał mnie z całą surowością, że powinienem mówić wyłącznie szeptem, bo płoszę mu Bolidki!

- Co? Co? - spytali równocześnie Ina i Roald.

Marek zrobił poważną minę i położył palec na ustach.

- Bolidki - zaczął scenicznym szeptem - to były ludziki z gwiazd, które zamieszkały pod tapczanem Ciu... to znaczy Maćka - zreflektował się w ostatniej chwili. - Były bardzo miłe, mądre i ogromnie polubiły mojego braciszka. Równocześnie jednak przejawiały niesłychaną wrażliwość na wszystkie głośniejsze dźwięki. Nie wolno nam było puszczać trivi, biegać po ogrodzie, grać z ojcem w piłkę, a nasz robot, Skrzacik, który rzeczywiście trochę tupie, został wysmarowany...

- O tym była już dzisiaj mowa - dobiegł od strony domu stanowczy głos. - Dzień dobry, Alfie. Dzień dobry, Anno. Dzień dobry...

- Skrzaciku - zawołał w pierwszym porywie Maciek - jesteś prawdziwym ideałem! Udowodnij mojemu bratu, że w twoim programie przewidziano elementy pedagogiki!

- Właśnie to zrobiłem - odpowiedział uprzejmie Tuptaczek robiąc kilka kroków w stronę zebranych. Feri, ciemnozłoty spaniel, podbiegł do niego i bardzo uważnie obwąchał metalowe nogi, jakby rozumiał, że odegrały one poważną rolę w toczącej się rozmowie. Feri tolerował wprawdzie domowego robota, z którym zżył się od szczeniaka, ale ten dziwny, człekopodobny stwór nigdy nie podbił jego psiego serca.

- Dzień dobry, Skrzaciku - powiedział serdecznie wuj Alf. - Zdaje się, że przyszedłeś w samą porę - dodał mrużąc zabawnie prawe oko.

- A mnie bardzo się podoba ta historia z... aha, Bolidkami - przypomniał sobie Roald.

- To świadczy o fantazji...

- Tej nigdy Ciuciúce nie brakowało! - zgodził się skwapliwie Marek.

- Rupieć!

- Marku! - Lena spojrzała na syna z łagodnym wyrzutem.

- Nie przejmujcie się - w spojrzeniu, jakim Anna obdarzyła Inę i Roalda, była sama słodycz. - Moja rodzinka jest w gruncie rzeczy nieszkodliwa. Kiedy minie pierwszy szok, przekonacie się sami. Oni nawet czasem rozmawiają jak zwykli ludzie...

- Cicho! - zagrział wuj Alf. - Rodzina jest przewyborna! Wspaniałe tradycje! Ta młoda dama - wskazał jasnowłosą Lenę, z której twarzy nie schodził pogodny uśmiech - jest znakomitym botanikiem. Tu, nad Bałtykiem - wykonał zamaszysty gest, obejmując nim wszystkie strony świata naraz - prowadzi wielkie laboratorium biochemiczne! Jej mąż, a syn siostry mojego ojca, hula, dzisiaj, jeśli się nie mylę, z jednej planety na drugą, ale zazwyczaj siedzi najspokojniej na orbicie Marsa i od czasu do czasu przylatuje nawet do domu. Ma także pełną szafę dyplomów naukowych, a jego prapraprapradziadek... - urwał zastanowił się przez chwilę - może opuściłem jedno „prą” - rzekł bez przekonania, ale zaraz poweselał znowu i machnął ręką, - Nie będziemy teraz mówić o pra-prapra...

- Bardzo słusznie - wtrącił się Skrzacik. - Przygotowałem obiad i chciałem prosić miłych gości...

- Obiad - powtórzył marzycielskim tonem Marek.

Wuj Ali zdecydowanym ruchem odsunął salaterkę z kompotem i głęboko westchnął.

- Uff... Skrzaciku, przeszedłeś sam siebie - powiedział z podziwem.

- Skrzacik jest niezawodny - potwierdziła Lena posyłając robotowi wdzięczne spojrzenie.

Trzeba przyznać, że jak na niespodziewanie dużą liczbę stołowników, obiad rzeczywiście wypadł okazale.

- Staram się tylko wykonywać to, co do mnie należy - powiedział skromnie Tuptaczek, po czym zebrał naczynia i wrócił do kuchni.

Wuj wstał.

- Idę do ogrodu - oświadczył omiatając zebranych sennym spojrzeniem. - Macie tam niezrównane fotele, a ja jestem człowiekiem starym...

Zanim ktokolwiek zdążył grzecznie zaprotestować, do pokoju wpadł Feri. Porwał z kąta swoją piłeczkę tenisową, podbiegł do historyka i zatrzymał się pod jego nogami. Piłeczka spadła na podłogę, a pies zastygł w wyczekującej pozie. Otwarty pysk czaił się nad zabawką, jedno oko łypało prowokująco w górę. „Stary człowiek” pokazał teraz, co potrafi. Krzyknął „oddaj!”, po czym błyskawicznym ruchem porwał piłeczkę i wymachując nią tryumfalnie wielkimi susami wypadł przez otwarte drzwi do ogrodu. Feri z radosnym ujadaniem podążył za nim.

- Dobrze, że Skrzacik tego nie widział - zauważyła pogodnie Lena. - Pomyślałby, że Alf mimo wszystko wstał głodny od stołu.

- Nasz poważny wuj jest zawsze w siódmym niebie, kiedy może trochę narozrabiać - zaśmiał się Marek.

- Naprawdę w siódmym niebie jest teraz pies - skwitował Maciek. Stwierdziwszy, że odzyskał zdolność mowy, spojrzał śmieiej na ciemnozłote zjawisko siedzące między Anną i Roaldem.

- Nie chcielibyście potrenować? - spytał u-przejmie. - Ja już dzisiaj odwałem swoje... z przyjemnością oddam wam, do dyspozycji mój pokój i aparaturę. Oczywiście, musielibyście ją przestroić na częstotliwość waszej szkoły, ale to kwestia kilku sekund.

- Jesteś bardzo miły - uśmiechnęła się Ina. - Chętnie skorzystam, tylko chyba trochę później. Może wasz wuj wstał rzeczywiście głodny od stołu, ale ja objadłam się jak bąk...

- Później, później - potwierdził Roald tak skwapliwie, że Maciek uśmiechnął się mimo woli. Spojrzał na swojego jutrzejszego rywala i poczuł nagły przyływ sympatii do męskiej części „cudownego rodzeństwa”.

Anna wstała, odruchowo obciągnęła koralowy kombinezon i zmierzyła Maćka chłodnym wzrokiem.

- Czy to zaproszenie dotyczy mnie także? - spytała. - Jeśli tak, natychmiast z niego skorzystam. Jestem jedyną reprezentantką Skandynawii i nie mogę się skompromitować. A mając takich przeciwników... - nie dokończyła.

- Ależ oczywiście - bąknął Maciek. Rozejrzał się niepewnie, następnie szybko wstał i ruszył w stronę swojego pokoju. - Proszę... - stanął przy drzwiach i czekał na kuzynkę, żeby ją przepuścić.

- Nie fatyguj się - powstrzymała go Anna. - Znam rozkład mieszkania. A z aparaturą radzę sobie nie gorzej niż inni - dodała z naciskiem, po czym nie oglądając się zniknęła zgromadzonym z oczu.

- Ambitna dziewczyna - zauważył bez entuzjazmu Marek. - A swoją drogą Ciuciuśka jest wspaniałomyślny. Oddawać konkurentom swoją aparaturę...

- Marku! - Lena znowu pokręciła głową z dezaprobatą.

Marek uderzył się dłonią po ustach, ale w jego roześmianych oczach nie było śladu skruchy.

- Dlaczego „Ciuciuśka”? - spytał niewinnie Roald.

- Tak czasem nazywają mnie moi niedorozwinięci bracia - wyszczał przez zęby Maciek. - Pod względem umysłowym nie wyszli z wieku, kiedy człowiek sepleni i ma

skłonność do zdrabniania imion. Ale „Ciuciuśka” to słowo długie i niewygodne w użyciu. Dlatego radziłbym wszystkim nazywać mnie po prostu Maćkiem.

Tego Marek żadną miarą nie mógł puścić płazem.

- Dlatego „Ciuciuśka” - powiedział dobitnie - że sam tak siebie nazywał... oczywiście wtedy, kiedy to było dla niego wygodne. Mianowicie, po każdej większej rozróbie. Wołał wtedy z płaczem, żeby na niego nie krzyżeć, bo jest maciu-ciu-ciuśki! Sprytne co?! Ale spryt lubi się mścić. Więc został Maciuś-Ciuciuśka. Co do mnie zresztą, wcale nie uważam, żeby to słówko...

- Rupieć!

- A propos słówek - wtrąciła pojednawczym tonem Ina - już drugi czy trzeci raz mówisz: „rupieć”. Co to właściwie znaczy?

- On tak klnie! - wykrzyknął radośnie Marek.

- Dzieci, dzieci... - Lena uniosła w górę ramiona i zastygła w tej błagalnej pozycji.

Na trawie ukazały się kropelki rosy, ale wieczór był bezwietrzny i ciepły. W rogu ogrodu, w wyłożonym kamieniami kręgu płonęło najprawdziwsze ognisko. Czerwone i złote błyski tańczyły na twarzach milczących ludzi oraz na liściach drzew. Oczy Skrzacika świeciły jak lampki.

Pod gwiazdami przesunął się jakiś ciemny kształt. Na trawnik przed domem opadł bezgłośnie mały kulisty helikopter. W otwartym wejściu ukazała się szczupła sylwetka, ale zanim zdążyła zeskoczyć na ziemię, u jej stóp rozpoczął swój najpiękniejszy powitalny taniec uszczęśliwiony Feri.

- Ciocia Basia! - zawołał Maciek.

- No, to jesteśmy w komplecie - westchnął wuj Alf. Blask ognia padł na jego długą, szczupłą postać. Z okrutnie potarganą rudą czupryną, - pociągłą twarzą z wielkimi czarnymi oczyma, w luźnej płóciennej bluzie nieokreślonego koloru i odrobinę przykrótkich spodniach wyglądał teraz jak czarownik ze starożytnej baśni.

Ciocia Basia wyskoczyła z helikoptera: przykucnęła przy Ferim, który z piłką w pysku krążył wokół jej nóg, nie przestając pomrukiwać i skręcać kudłatego tułowia w przymilnych wygibasach. Basia, szczupła brunetka, rodzona siostra jasnowłosej Leny, była jego wielką miłością.

- Pobrudzi cię, ciociu! - zawołał Maciek. - Jest już rosa...

- Przecież wiecie, że jemu wszystko wolno - odpowiedziała z niezmaconym spokojem Basia, głaszcząc psa, który niezgrabnie gramolił się na jej kolana.

- Piękną pogodę zrobiłaś nam dzisiaj - odezwała się Lena. - Czy to specjalnie na pożegnanie przyszłych zwycięzców?

- Oczywiście! - wykrzyknęła Basia. Była auro-technikiem i pracowała niedaleko stąd, w Bałtyckim Instytucie Klimatologicznym. Dbała o życie morza i otaczającej go ziemi, o uprawy podwodne, bezpieczeństwo ludzi pracujących w głębinowych laboratoriach, o plantacje owoców cytrusowych rozciągające się od Kanału Kilońskiego do ujścia Newy.

- To zwierzę tańczy na powitanie - stwierdził z zadumą wuj Alf. - Tak samo robili pierwotni ludzie. Tańcem wyrażali radość, gniew, prośby...

Ciocia Basia usiadła przy ognisku. Przytuliła psa i uśmiechnęła się do wszystkich.

- A kto wygra? - spytała historyka takim tonem, jakby naprawdę zwracała się do tajemniczego wróżbity.

- Wszyscy! - odkrzyknął bez namysłu wuj Alf. - Anna, Ina, Maciek i Roald! Nie będzie pokonanych! *Vae victis!*

- To jakieś zaklęcie? - zainteresował się u-przejmie Roald.

- Dla ciebie to zaklęcie, kozia głowo! - zagrzemiał historyk. - *Asinus asinorum!*

- Alfie! - przestraszyła się Lena.

- Łacina! - zdenerwował się uczonec. - Język starych Europejczyków! Wam wszystkim tylko śrubki w głowie! Automaty, rakiety, komputery, quazary i inne świcidelka. *Vae victis* znaczy biada pokonanym i to miał być żart... taki barbarzyński okrzyk, natomiast *asinus asinorum* - utkwiał straszne spojrzenie w twarzy Roalda - znaczy osioł nad osły! *Dixi!* Czyli: rzekłem!

„Wuj Alf będzie jutro jurorem i ani chybi przypnie się do historii” - pomyślał Maciek. Nazwanie komputerów i quazarów „świcidelkami” najpierw go zdumiało, a potem obudziło w nim nieokreślony lęk. Teoria... odruchowo sięgnął ręką do kieszeni i namacał cienki zwitek światłowodu. Wujowi bardzo, ale to bardzo nie spodobałoby się to, co uczynił. Jeśli go przyłapią...

Dalsze niewesołe rozmyślania przerwał chłopcu pełen wahania głos Iny:

- Niestety, niezbyt dobrze czuję się na wrotkach - westchnęła „cudowna siostra”. Jej brat pokiwał głową.

- Ja najbardziej boję się Mars-maratonu - wyznał. - Przed chwilą na treningu jeszcze raz prześledziłem trasę. Jest trudna... - zawiesił głos.

Przed rozpaleniem ogniska cała trójka rywali Maćka odbyła trening w jego pokoju. On sam, zgodnie z radą, której udzielił mu pan Kulski, nie myślał już o zawodach. A w każdym razie usiłował nie myśleć. I udawało mu się to jakoś... przynajmniej do tej chwili.

- Dla mnie najgorsze są szybowce - powiedziała jakby do siebie Anna. - Czuję się wtedy tak strasznie osamotniona...

- A ja - mruknął mimo woli Maciek - jestem trochę na bakier z teorią - posłał przymilne spojrzenie wujowi Alfowi. - Na przykład dzisiaj powiedzieli mi, że niezbyt dobrze orientuję się w historii.

W nikłym blasku ogniska wuj nie mógł dostrzec wyrazu oczu chłopca, co jednak nie przeszkodziło mu odpowiedzieć bez namysłu:

- *Hominis est errare, insipientis in errore perservare!*

- Tego nawet ja nie zrozumiałam - roześmiała się Lena - chociaż, jako botanik, nie powinnam się pewnie do tego przyznawać.

- Ludzką rzeczą jest błędzić, rzeczą głupców trwać w błędzie - przetłumaczył łaskawie historyk. - Zajmiemy się Maćkiem. Jutro... i potem - dodał obiecująco. - Ale, ale - zmienił nagle ton - co to ja mówiłem o tańcu?

- Że ludzie kiedyś wyrażali nim... - zaczął Marek, wuj jednak nie pozwolił mu skończyć.

- Właśnie! Dzisiaj, przed zawodami, wołamy: *vae victis!*, a po Astroniadzie zakrzyknijemy: *gloria victis!* To jest sport! Teraz: biada zwyciężonym, potem: sława im! Tak trzeba myśleć. W ogóle trzeba myśleć, młodzi ludzie! A teraz, aby nie było pokonanych...

Wyprostował ramiona i uniół je w górę. Stał tak przez chwilę nieruchomo. Wszyscy zamilkli. Nadnaturalnie wielka sylwetka historyka, oświetlona odbłyskami ognia, przypominała stare, tajemnicze rzeźby albo groźne postaci z dawnych legend. Wszystkim zrobiło się trochę nieswojo.

„Dobrze, że wiem, kiedy była ta bitwa pod Maratonem” - pomyślał nagle nieco od rzeczy Maciek.

Wuj Alf jednym ruchem zarzucił sobie na głowę swoją lekką, zbyt obszerną bluzę. Następnie zaczął kołysać się w biodrach, podrygiwać, wreszcie przytupywać, najpierw powoli, potem coraz szybciej. Stopami wybijał dziwny rytm jakby prymitywnych bębnow. Zaniepokojony tym przedziwnym obrazem Feri zaszczekał nagle. Wtedy wuj Alf przemówił:

- Święte zwierzę, odpowiedz, kto wygra?!

- Hau! Hau! Hau! Hau!

- Dzięki wam, tajemne moce! Dzięki wam za pomysłne znaki! Auspicje nie mogły wypaść lepiej! - magiczny taniec historyka uległ raptownemu przyśpieszeniu. Uczony obiegnął dwa razy ognisko, wydając przy tym okrzyki podobne do dalekich grzmotów.

- Hau! Hau! Hau! - wtórował mu Feri.

- Gabarah! Rabragah! Gabaragah!!!

- Przepraszam najmocniej, że przeszkadzam w zabawie - dobiegł spokojny głos od strony domu - ale przyszła depesza od Bolka.

Wuj znieruchomiał. Nastąpiła cisza.

- Przeczytaj, Skrzaciku - powiedziała szybko Lena.

Bolek, średni z trójki braci Całków, studiował teorię literatury, pisał wiersze, a w tej chwili odbywał praktykę uzupełniającą na księżycach Saturna.

- „Rzekła dobra wróżka:

Wygra nasz Ciuciuśka!” - odczytał posłusznie treść depezy Skrzacik.

Maciek, pozostający pod wrażeniem występu wuja Alfa, zapomniał nawet mruknąć „rupieć”, natomiast historyk zakrzyknął z triumfem:

- Widzicie?! Wszystkie wróżby są fenomenalnie pomyślne. Ale Bolek myli się. Wygrają wszyscy. Wszyscy!!! Skrzaciku?

- Słucham?

- Szampana!

- Obawiam się, że nasz barek jest zbyt skromnie zaopatrzone - uśmiechnęła się Lena.

- Szampana? Przed zawodami? - zgorszyła się Anna.

- Słyszeliście, co powiedziałem?! - zaryczał wuj Alf. - Czy muszę tłumaczyć, że bez szampana moje misteria mogą przynieść tragiczne następstwa?! Stare obyczaje! *Historia magistra vitae!* Czy w tym domu nie ma wody sodowej? - dodał nagle przyciszonym głosem mrużąc zabawnie oko do Leny.

- Chyba jest...

- No to na co czekacie? - krzyknął uczonec. - Skrzacik, słyszałeś?! Szampana!!!

ABZ-22, na start!

W wielkiej amfiteatralnej sali Pałacu Sportu panowała pełna skupienia cisza. Każdy z zawodników siedział w oddzielnym zamkniętym boksie, którego wysokie ściany odgradzały go od współzawodników i tłumiły ich głosy. Te głosy odzywały się zresztą rzadko, kandydaci na uczestników Astroniady otrzymywali pytania i odpowiadali na nie przeważnie za pośrednictwem aparatury przypominającej nieco wyposażenie ich uczniowskich pokoi.

Jeszcze przed rozpoczęciem Turnieju Maciek zrealizował swój pomysł. Gdy tylko zajął miejsce w sześciennym boksie, zrobił użytek ze swego „udoskonalonego” zegarka. Przyrząd ten nazywał się tak jak przed wiekami, chociaż w niczym nie przypominał dawnych, zwykłych czasomierzy, bo spełniał równocześnie rolę podręcznego telefonu, kalkulatora oraz wysyłał fale, które w razie jakiegóż przygody pozwalały szybko odnaleźć jego właściciela.

Wmontowany do zegarka laser Maciek połączył cienkim światłowodem z pękiem grubych kabli biegnących pod ścianą boksu. Były to główne przewody łączące stanowiska poszczególnych zawodników z Komisją Sędziowską.

Światło potrafi przenosić znacznie więcej informacji niż fale radiowe, nie mówiąc o zwykłej łączności i przewodowej. Dlatego wszędzie tam, gdzie trzeba szybko porozumieć się - zwłaszcza z większą liczbą ludzi czy robotów, rolę dawnych drutów telefonicznych pełnią światłowody, elastyczne rurki z wmontowanymi specjalnymi soczewkami.

Krótko mówiąc, Maciek zainstalował w swojej kabinie regularny podsłuch. W regulaminie Kryterium Kwalifikacyjnego nie było najmniejszej wzmianki o podsłuchiowaniu rozmów sędziów z innymi zawodnikami. Ale w tymże regulaminie nie wspomniano na przykład o obsypywaniu rywali proszkiem powodującym kichanie i wielu innych rzeczach.

Chłopiec doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że postępuje niezgodnie z duchem regulaminu.

Rzecz jednak w tym, że Maciek bardzo chciał wygrać Sześciobój. Marzył o specjalizacji w Ośrodku Badań Pozaukładowych, a przecież tytuł mistrza Astroniady byłby z pewnością brany pod uwagę przy rozpatrywaniu jego kandydatury po ukończeniu nauki na Ziemi. I chociaż buntował się przeciw obarczaniu umysłu bezużyteczną, jego zdaniem, dla badacza kosmosu znajomością drogi, jaką przebył człowiek od jaskiń do gwiazd, wiedział równocześnie, że z jakichś niezrozumiałych powodów sportowcy muszą także wykazać się znajomością teorii. Pierwszy wuj Alf... e, szkoda słów!

Wyniki ostatniego Turnieju Kwalifikacyjnego miały być ogłoszone dopiero po

południu, a to oznaczało całą wieczność oczekiwania. Gdyby wiadomo było, jak odpowiadali inni, można by łatwiej od razu ocenić własne szansę. Poza tym jakieś pytanie mogło się przecież powtórzyć. Tej ostatniej myśli Maciek nie dopuszczał wprawdzie do swojej świadomości, ale... fakt pozostawał faktem. Pytania mogły się powtarzać.

Inna rzecz, że na razie to się jeszcze nie zdarzyło. Chłopiec przebrnął już zwycięsko przez pozorowany bieg Mars-maratoński, uzupełnił bezbłędnie kilkanaście wzorów nawigacyjnych, które wyskakiwały na tarczy jego ekranu kontrolnego, opracował program lotu szybowcem słonecznym z Merkurego na asteroidy i rozwiązał szereg zadań testowych, to znaczy głośno wypowiadał swe myśli, podczas gdy na ekranie zmieniały się w błyskawicznym tempie kolorowe rysunki, złożone ze splecionych linii, figur geometrycznych i pulsujących jaskrawymi światełkami kropeczek.

W tej chwili dziewczęcy głos - słyszalny dzięki przemyślanej nielegalnej instalacji - wypowiadał się na temat ewentualnego kontaktu ludzkości z jakąś inną cywilizacją. Zawodniczka miała symbol AZW-16 i mówiła całkiem do rzeczy.

Na pulpicie przed ekranem Maćka zapłonęła zielona lampka. Wzywano go.

Błyskawicznie wduśił właściwy klawisz i powiedział:

- Numer ABZ-22 gotów.

- ABZ-22, co to są tachjony?

- Teoretyczne cząsteczki, które przy szybkości światła mają nieskończoną energię i pęd, a tracąc energię ulegają przyśpieszeniu. Przy dojściu do energii zerowej osiągają prędkość nieskończoną.

- Dziękuję - usłyszał lekko zachrypnięty głos starszego mężczyzny. - Czy możesz podać przykład praktycznego zastosowania tachjonów?

- W laboratoriach uzyskano, na razie na niewielką skalę, możliwość skontaktowania się z minionymi epokami. Powyżej szybkości światła czas staje się... - Maciek szukał przez chwilę właściwego słowa - elastyczny - znalazł wreszcie. - Tachjony wykorzystuje się także przy budowie szybkich radarów, za pomocą których statki kosmiczne wychwytyują meteoryty i inne przeszkody. Zwykłe radary przynosiłyby informacje grubo spóźnione.

- Dziękuję. ABZ-22?

- Słucham?

- W jakiej konkurencji czujesz się najsilniejszy?

- W Mars-maratonie - odpowiedział bez wahania chłopiec.

Wiedział, że komisja zmieni teraz w jego arkuszu ocen ilość punktów za ewentualne zwycięstwo w biegu Mars-maratońskim. Cóż, minęły czasy, kiedy brano pod uwagę jedynie

suche wyniki. Teraz liczą się także indywidualne cechy każdego zawodnika, stopień trudności, jaki przy swojej budowie ciała, swojej osobowości musi pokonać, aby zwyciężyć. Każdy z góry zapowiadał, w jakiej konkurencji jest najmocniejszy, a w jakiej najsłabszy. Za ewentualne zwycięstwo w najmocniejszej dyscyplinie dostawał nieco niższą ocenę niż inni, natomiast za wygranę tej, w której z racji swoich osobistych cech czuł się mniej pewnie, otrzymywał dodatkową premię. Ale wybór tych dwóch konkurencji był tylko jednym z elementów nowoczesnego systemu ocen. Decydujące znaczenie miały badania lekarskie i testy psychologiczne. Jeśli ktoś nie grzeszył na przykład nadmiarem odwagi, otrzymywał więcej punktów za przezwyciężenie strachu. A zawody stwarzały niejedną okazję do wykazania się także pod tym względem.

- A jaka jest twoja najsłabsza konkurencja, ABZ-22?

- Teoria... - mruknął ponuro Maciek.

- Ha! - zawołał donośny baryton, ale ten, kto zadawał pytania, rzucił krótkie „dziękuję” i przerwał łączność.

Z kolei odpowiadała zawodniczka oznaczona symbolem, którego Maciek nie dosłyszał. Przeczytano jej fragment poematu Alka Sosny „Wiatr od słońca”, uzupełniony kilkoma zwrotkami pióra jakiegoś innego autora.

- Rupiec - rzekł Maciek czując, że na czoło występują mu kropelki potu. O poemacie Sosny wiedział tylko tyle, że taki istnieje.

Dziewczyna poradziła sobie jednak zdumiewająco gładko. Odwołała się do swojej aparatury, przy pomocy której zmierzyła temperaturę tekstu - tak się to fachowo nazywało. Każdy autor ma charakterystyczne dla siebie związki między słowami, zwroty i typowe rozmieszczenie wartości informacyjnych. Na podstawie danych otrzymanych od komputera zawodniczka bezbłędnie oddzieliła autentyczne fragmenty poematu od tych, które dopisał ktoś inny.

- Dziękuję - odpowiedział głos należący, jak się zdawało, do jakiejś bardzo młodej kobiety.

Trzech uczestników zawodów odpowiadało teraz na stosunkowo łatwe pytania dotyczące gwiazdnej nawigacji, a następnie ktoś wykonywał pozorowane manewry rakieta zagarniętą przez potok meteorytów.

- AAD-40 - zabręczało z kolei w Maćkowym zegarku.

- Słucham - zgłosił się wezwany.

- Potrafisz opisać matematycznie symfonię olimpijską Mittiego? Pamiętasz główny motyw muzyczny utworu?

- Tak.

Nastąpiła chwila ciszy. Maciek wyobraził sobie wzory wyskakujące na ekraniku tego jakiegoś AAD-40 i na wielkich monitorach komisji. To znaczy, usiłował je sobie wyobrazić. Cóż, kiedy ani rusz nie potrafił zanucić bodaj pierwszych taktów tej przeklętej symfonii.

- Dziękuję - powiedział juror i z tonu jego głosu chłopiec z mimowolnym podziwem wywnioskował, że AAD-40 rozwiązał zadanie. - A teraz - ciągnął sędzia - spróbuj zrobić to samo z jakimkolwiek wybranym utworem Bacha.

Znowu przez jakiś czas trwało milczenie, wreszcie rozległ się niepewny i jakby obrażony głos zawodnika:

- Ja...

- Nie potrafisz?

- Tak. To znaczy nie. Ja... bardzo lubię Bacha...

- Dziękuję.

Zanim Maciek zdążył zastanowić się, co miało znaczyć to „bardzo lubię Bacha” i to „dziękuję”, które zabrzmiało równie życzliwie jak poprzednie, chociaż zawodnik tym razem nie odpowiedział na pytanie, lampka w jego pulpicie ożyła ponownie. Wyprostował się odruchowo.

- ABZ-22, czy wybrałeś już sobie przyszłą specjalizację?

- Tak. Chcę pracować w Ośrodku Badań Poza-układowych.

- A co masz zamiar tam robić?

- Budować... - Maciek zawahał się przez moment, ale nie mógł przecież szukać teraz wybiegów. - Chcę budować gwiazdy - powiedział odrobinę wyzywającym tonem.

- Czy uważasz, że jest ich za mało? - wtrącił ów baryton, który niedawno zakrzyknął „ha!”, a który chłopiec dopiero w tej chwili zidentyfikował jako głos wuja Alfa. Mimo woli zjeżył się i przestraszył. Teraz dopiero zacznie się prawdziwy egzamin. Rupieć! Historia...

- Nie - odburknął krótko.

- Więc czemu chcesz budować nowe? - zainteresował się pierwszy juror.

„Raz kozie śmierć” - pomyślał z desperacją Maciek.

- Słońce ma jedną planetę, na której może istnieć życie, Ziemię - zaczął. - Gwiazdy, które poznaliśmy, także mają po jednej, najwyżej po dwie takie planety. A przecież można by budować sztuczne słońca, posiadające po trzy, cztery globy, na których mógłby żyć człowiek. I to wcale nie musiałyby być bardzo daleko.

- Źle ci na Ziemi... i w naszym Układzie Słonecznym? - to był znowu wuj Alf. Ale tym razem Maciek zachował spokój.

- Nie myślę o sobie - odpowiedział skromnie. - Wydaje mi się tylko, że kiedyś będziemy musieli zamieszkać także w innych układach, i lepiej, żebyśmy wówczas mieli do dyspozycji nie jedną planetę, lecz więcej...

- Na razie nie grozi nam przeludnienie - zauważył pierwszy sędzia.

- Ale za siedem miliardów lat Słońce przestanie być źródłem życia - odparł górnolotnie Maciek. - Najpierw spali otaczające je planety, łącznie z naszą, a potem wystygnie. Wtedy już będziemy musieli mieć inne ziemie.

- My? - zakrzyknął tryumfalnie wuj Alf. - Wydaje ci się, że jesteś nieśmiertelny?!

- Pytanie poza programem - wtrącił jakby trochę speszony pierwszy sędzia.

- Nie szkodzi! Odpowiadaj!

I tu Maciek popełnił błąd. Rozżalony na słynnego historyka dał się ponieść nerwom i... fantazji.

- Nie wiem - rzucił hardo. - Prace nad przedłużeniem życia ludzkiego są tak zaawansowane, że może już niedługo naprawdę będziemy nieśmiertelni...

- Pięknie - głos wuja Alfa brzmiał podejrzanie łagodnie - a mógłbyś mi powiedzieć, po co?

Chłopiec zaniemówił. Jak to, po co? Po co żyć długo?... nieskończenie długo? A cóż to znowu...

- Nie odpowiadasz?! Ha! *Asinus asinorum!* Rozmyślasz o gwiazdach i nieśmiertelności, lecz nie przyszło ci do głowy takie prościutkie pytanie: po co to komu?! Zdaje się, że to ten młodzieniec - grzmiał teraz wuj Alf - wyznał nam przedtem, że najslabiej czuje się w teorii. O, *vae!* O, biada! On w ogóle nie ma o niej pojęcia! Nie wie, że odpowiadać to trudna sztuka, ale stokroć większą sztuką jest umieć stawiać pytania! Tylko śrubki mu w głowie! - zakończył swoim ulubionym zwrotem.

- Spróbuj w takim razie sprecyzować pojęcie nieśmiertelności - usiłował ratować sytuację pierwszy juror.

Maciek wydał kilka cichych, nieartykułowanych odgłosów przypominających jęki pracownika, któremu bez znieczulenia wrywają ząb.

- Świadomość człowieka zmienia się przecież z upływem lat - mówił tonem perswazji nieznanemu sędziemu; - Każdy z nas gromadzi doświadczenia, przyswaja sobie nowe wiadomości, zapomina o tym, co zdarzyło się kiedyś... Pomyśl, ABZ-22: gdybyś żył nieskończenie długo, to ile razy na skutek biegu czasu i tego, co działałoby się dookoła ciebie, zmieniłbyś własną osobowość? Ile razy stawałbyś się innym, zupełnie nowym człowiekiem? I czy w tej sytuacji można, mówić o nieśmiertelności?

Maciek poczuł zupełny mętlik w głowie.

- Ale przecież medycyna... nauka... - wybąkał. - Przecież ludzie marzą...

- Nauka, mówisz? - wykrzyknął wuj Alf. - A czemu, według ciebie służy nauka?

- Nauka, też jest...

- Ja wiem, czym jest! - przerwał historyk. - Pytam, czemu służy?

- Pytanie poza programem - powiedział tym razem zdecydowanym tonem pierwszy juror. Lampka w pulpicie zawodnika ABZ-22 zgasła. Maciek był jednak zbyt oszołomiony, by westchnąć z ulgą. Szczerze mówiąc zaparło mu dech w piersiach. Wpatrywał się osłupiałym wzrokiem w ciemną już lampkę i nie myślał o niczym. Dopiero po dłuższej chwili dotarło do jego świadomości, że siedzi z szeroko otwartymi ustami.

Cała precyzyjna, przemyślna, a równocześnie wstydliva machina podsłuchowa, zainstalowana w kabinie zawodnika ABZ-22, nie zdała się na nic. Opuściwszy Pałac Sportu Maciek czuł tylko żal do wuja Alfa. Nie pamiętał, jak odpowiadali inni, wiedział jedynie, że chętnie by coś stłukł, poszarpał i podeptał. - Poczekajcie tylko - syknął przez zęby jadąc najszybszym ruchomym chodnikiem w kierunku domu. Powtórzył tę obietnicę kilkakrotnie, nie precyzując jednakże, kto mianowicie ma czekać i na co.

W niezmiennym nastroju minął drogę, przy której powinien był zejść z chodnika i skierować się w stronę otoczonych zielenią szklanych domków, porzrzucanych na zboczach niskich, łagodnych wzgórz. Pojechał prosto nad morze.

Wewnątrz szałasów mającego kształt archaicznej rybackiej łodzi panował półmrok. Cień i chłód po spiekocie rozświetlonej plaży sprawiały, że miało się ochotę ułożyć wygodnie na miękkim, piankowym leżaku, przytulić twarz do pomarańczowej poduszki i zamknąć oczy. Było cicho, tylko niecałkiem daleko, nad samym brzegiem, bawiła się gromadka dzieci. Ich zmieszane z szumem morza głosy dolatywały jakby zza ściany z waty i raczej usypiały niż drażniły.

Maciek jednak ani myślał o drzemce. Siedział zasępiony i zły na brzeżku leżaka, wciąż przeżywając swój start w ostatnim przedastronadzkim turnieju. Po co gwiazdy! Po co nieśmiertelność! Czemu służy nauka! Rupieć! A niechże tego wuja Alfa...

Oczywiście, historyk nawiązywał do teorii, a szczególnie do swojej własnej specjalności. Maciek jakby słyszał słowa, które nie zostały wypowiedziane: „gdybyś znał pracę dawnych pokoleń, troski i marzenia swoich przodków, łatwiej byłoby ci zrozumieć twoje własne pragnienia, a przede wszystkim ich sens”. Kto wypowiedział takie zdanie? Kiedy? Któryś z nauczycieli? Ojciec? Zresztą, mniejsza o to. Teoria...

Twarz zawodnika ABZ-22 przybrała wyraz mściwej zawziętości. Właśnie, że będzie budował gwiazdy - takie, żeby miały po kilka planet, na których mogliby mieszkać ludzie. Właśnie, że będzie pracował dla przyszłości jako ceniony specjalista, uczony, konstruktor ciał niebieskich... a tym, co było kiedyś, niech zajmują się inni. Gdyby tak wygrać ten Sześciobój!

Mimo woli zacisnął pięści. I właśnie w tym momencie przed niedomkniętymi drzwiami szalasu stała wysoka, zwałista postać.

Chłopiec z niechęcią odwrócił głowę i zamknął oczy. Pomyślał sobie, że obcy nie zechce chyba przeszkadzać znużonemu pływakowi i zorientowawszy się, że pawilonik jest zajęty, pójdzie dalej. Kiedy jednak po chwili uniósł powieki, ciemna sylwetka wciąż jeszcze tkwiła przed szalasem, nieruchoma jak pomnik.

Szpara była dość wąska, a w dodatku wyjście znajdowało się na wprost słońca, więc Maciek nie mógł dostrzec rysów twarzy nieznanego. Ba, nie widział nawet, jak intruz jest ubrany.

Mijały sekundy, minuty, a tajemniczy przybysz stał na swoim posterunku, jakby oczekując zaproszenia. W końcu cierpliwość chłopca się wyczerpała. Skoczył na równe nogi, podbiegi do drzwi otworzył je szeroko i... zdębiał.

Na wprost niego stał bryłowaty kolos, w niczym nieprzypominający już nawet nie człowieka, ale choćby poczciwego domowego Skrzacika. Zamiast nóg miał trójprzegubowe podpory unoszące korpus w kształcie odwróconego stożka. Na przodzie, tam gdzie u ludzi jest żołądek, widniała wypukła płyta ze skomplikowaną aparaturą łączności, miotaczami, najrozmaitszymi wskaźnikami, wypustkami i u-chwytyami. Z ramion sterczały mu dwie krótkie anteny, pomiędzy którymi tkwiła głowa w kształcie prostopadłościanu, wyposażona w kilkanaście lampek oraz reflektory z grubymi soczewkami. Długie ręce kończyły się poczwórnymi uchwytami. Sam ich widok budził nieprzyjemne uczucia.

- Melduje się ABZ-22-Bis - powiedział stwór spokojnym, odmierzonym głosem i umilkł.

Maciek przyglądał mu się bez słowa. W pierwszej chwili ogarnęło go uczucie radości, ale zaraz przypomniał sobie wuja Alfa i znowu zmarkotniał. Radość była uzasadniona, skoro bowiem przysłano mu robota oznaczonego jego własnym numerem startowym (wyłączając naturalnie dodatek w postaci „Bis”), oznaczało to, że przebrnął pomyślnie przez Turniej Kwalifikacyjny i przeszedł do finału Astronadzkiego Sześcioboju.

Ale... program zawodów obejmował dwie konkurencje tak zwane „historyczne”. Czy wuj Alf, który już dzisiaj wykrzykiwał swoje „ha”, kiedy tylko udało mu się przyprzeć Maćka do muru, nie zastawi na przyszłego konstruktora gwiazd jakiejś podstępnej pułapki w czasie

ostatecznej rozgrywki? Teoria...

- Jak mnie tutaj znalazłeś? - spytał spoglądając nieufnie na osobliwego przybysza.

Robot milczał. Chłopiec poczekał chwilę, po czym potrząsnął głową. Jasne, jak go znalazł. Przecież zegarek Maćka bez przerwy wysyłał sygnały, informując, gdzie znajduje się jego właściciel. Jasne było także, że ABZ-22-Bis nie odpowie. Każdy zawodnik musi mieć swojego robota opiekuńczego, który w razie niebezpieczeństwa pośpieszyłby mu z pomocą. Areną Sześcioboju jest przecież kosmos, gdzie wszystko może się zdarzyć. Ale taki robot kieruje się własnym programem, wprowadzonym do jego „mózgu” przez Komisję Sędziowską. Odzywa się tylko wtedy, kiedy sam uzna to za niezbędne, i sam przystępuje do akcji, jeśli sytuacja tego wymaga. Natomiast zawodnik nie może się do niego zwracać o pomoc. Bywają i inne roboty opiekuńcze, które pilnie wykonują wszystkie polecenia zawodników, dotyczy to jednak tylko najsilniejszej grupy najstarszych i najbardziej doświadczonych Astroniadczyków, którzy otrzymują zadania o największym stopniu trudności lub są surowiej oceniani przez sędziów. A Maciek, ze względu na swój wiek, startował w grupie średniej.

Jedną jeszcze rzecz warto od razu wyjaśnić. Roboty były przygotowywane dla każdego zawodnika osobno. Dlatego uczestnicy Sześcioboju otrzymywali je dopiero po ostatnim konkursie, kiedy Komisja Sędziowska знаła już indywidualne cechy zawodników. Bo zwycięzcą Astroniady, jedynym zwycięzcą, mógł zostać przedstawiciel każdej grupy, choćby najmłodszy, który jednak ze względu na wiek, wrodzone warunki fizyczne i cechy osobowości wykazał się najlepszym przygotowaniem i największą sprawnością. A roboty opiekuńcze nie tylko strzegły Astroniadczyków przed ewentualnym niebezpieczeństwem, lecz skrupulatnie notowały także ich poczynania i reakcje, dostarczając sędziom pełną dokumentację zachowania swoich podopiecznych, na trasach Sześcioboju.

„Mimo wszystko jakby to było boloidalnie - przeszło Maćkowi przez głowę - gdyby ten milczący stwór nie był tak zupełnie milczący. Gdyby w razie czego mógł, na przykład, sprawdzić jakiś wzór nawigacyjny albo obliczyć najlepszy kąt ustawienia płatów nośnych latawca...”

A jeśli by tak spróbować?

- To przecież jeszcze nie zawody - odezwał się chytrze. - Nie mógłbyś ze mną porozmawiać?

Cisza.

Chłopiec przybrał przymilny wyraz twarzy, a nawet udało mu się uśmiechnąć. Był to wprawdzie uśmiech aktora, któremu w najzabawniejszej scenie komedii nagle wpadła do

gardła mucha, ale zawsze uśmiech.

- Czy nie wiesz, jakie numery startowe dostali moja kuzynka i... i to „cudowne rodzeństwo” z Arktyki?

Milczenie. Maciek poczuł, że palce u jego dłoni zaczynają wykonywać jakieś dziwne, niepotrzebne ruchy, ale uśmiechał się nadal. Pomyślał, że ten uparty stwór dysponuje mózgiem tak samo sprawnym i pojemnym jak ten, w który wyposaża się raketę dalekiego zasięgu, więc warto dołożyć starań, aby zdobyć sobie jego przychyłność.

- Zaraz po obiedzie odlatujemy, prawda? - zagadnął lekkim tonem. - Polecisz z nami statkiem, czy spotkamy się dopiero na Marsie?

Nic.

„Nie, w ten sposób mogę się do niego zalecać w nieskończoność” - stwierdził chłopiec i zacisnął zęby. Uśmiech spelzł z jego twarzy. Wpatrywał się teraz w nieme monstrum z narastającym rozdrażnieniem. A jeśliby go tak sprowokować? - błysnęła mu nowa myśl. Skoro nie można po dobroci...

- Będę ci mówić: Klocuś - oświadczył zjadliwym tonem. - Wydaje mi się, że to bardzo odpowiednie imię dla kogoś, kto wygląda jak z grubsza ociosany pomnik i nic nie gada. Podoba ci się?

Przez ułamek sekundy lampki w głowie robota zamigotały złowrogim światłem, ale to było wszystko.

- Czyżbyś się denerwował? - Maciek udał zdumienie. - Przecież reakcji emocjonalnych nie ma chyba w waszych programach?

Bawiące się nad brzegiem dzieci, zwabione widokiem niezwyklej postaci, podeszły bliżej i zatrzymały się w bezpiecznej odległości od ABZ-22-Bis. Ten ostatni jednak nawet nie mruknął.

Tego było już za wiele nawet dla piętnastoletniego mężczyzny, zapatrzonego w swoją górną, gwiazdną przyszłość.

- Rupieć! - krzyknął Maciek i puścił się biegiem w stronę morza. Tuż przed wodą gwałtownie skręcił. Klocuś milcząco podążał za nim.

Pięty chłopca głucho uderzały w twarde, mokry piasek. Sto metrów przed nim drogę zagradzały przeszklone zabudowania przystani jachtowej. Nieco dalej wyrastała na horyzoncie szeroka lśniąca srebrem kopuła. Tam znajdował się instytut mamy.

Maciek dobiegł do przystani i zatrzymał się u wejścia do hali stanowiącej kryty basen portowy. Wewnątrz stały małe, podobne do kolorowych owadów łódki, poduszki, latające jachty i talerzowate łaziki, którymi można było odbywać dalekie wycieczki po

morskim dnie, a które wyposażono w skomplikowaną aparaturę chroniącą pasażerów i pozwalającą równocześnie na prowadzenie przeróżnych podwodnych badań. Zaraz za niskim nabrzeżem ciągnęły się warsztaty naprawcze. Długie, śnieżnobiałe pulpity wystawały z centralnego komputera jak wyciągnięte ramiona.

W całej hali nie było żywego ducha. I właśnie ten fakt, połączony z widokiem wyposażonych w najnowocześniejszy sprzęt warsztatów, natchnął Maćka myślą, z której nie był dumny, kiedy... Ale nie uprzedzajmy wypadków.

Rzucił się w stronę komputera i uruchomił wszystkie jego zespoły. Z szafki w pulpicie wydobyl cienkie, zwinięte łącza. Zabrał podręczny komplet narzędzi i ciągnąc za sobą lekkie kable podbiegł do czekającego na plaży ABZ-22-Bis.

Wielki robot nie odezwał się ani razu, kiedy chłopiec bezceremonialnie majstrował w jego wnętrzu. Bez oporu pozwolił sobie wymontować tablicę z piersi i poświęcając obojętnie lampkami „przyglądał się”, jak wprowadzony w jego informatyczną aparaturę program ulega przeobrażeniu.

Oczywiście, gdyby nie pomoc komputera przystani, chłopcu nigdy nie udało by się zrealizować swojego zamiaru. Przeestrojenie programu Klocusia, odblokowanie systemu porozumiewania się głosem i uczynienie ze sportowego stróża bezpieczeństwa posłusznego pomocnika było zadaniem przekraczającym możliwości człowieka uzbrojonego w zwykłe narzędzia. Ale warsztat w nadmorskiej hali nie był zakładem, do którego przynosiło się, dajmy na to, zepsute dziecinne rowerki z mikroskopijnymi silniczkami odrzutowymi. Elektronowy mózg przystani należał do najnowszej generacji komputerów i był w całym tego słowa znaczeniu uniwersalny.

Maciek skończył. Otarł pot z czoła, sprawdził po raz ostatni, czy dobrze umocował płytę z aparaturą robota, po czym nie śpiesząc się już wszedł ponownie do hali, aby uporządkować kable i schować narzędzia. Wyłączył komputer i... wtedy dopiero uprzytomnił sobie, że znowu złamał regulamin zawodów. Sam, na własną rękę przekonstruował przydzielonego mu przez sędziów robota. Jako przyszły budowniczy gwiazd mógł pławić się w poczuciu dumy. Nie darmo zdobywał medale na międzyszkolnych turniejach inżynieryjnych. Ale jako sportowiec?...

Szedł w stronę wyjścia coraz wolniej i wolniej. Kiedy wreszcie minął otwarte szeroko drzwi i ujrzał czekającego na plaży Klocusia, stanął.

Nie, nie był z siebie dumny. A poza tym, popełnił błąd. Przecież robot opiekuńczy musi mieć kontakt z Komisją Sędziowską i ani chybi powiadomił już, kogo trzeba, o tym, co się stało. Maciek, zamiast zwyciężyć w Sześcioboju, nałyka się tylko wstydu. Zostanie

zdyskwalifikowany jeszcze przed startem. I będzie to miał do zawdzięczenia wyłącznie własnej głupocie.

A może ABZ-22-Bis po przeróbce stał się już tylko posłusznym sługą? Może „zapomniał” tę część swojego dawnego programu, która zakazywała mu porozumiewania się z podopiecznym i wykonywania jego poleceń?

Ta myśl błysnęła jak światełko w najczarniejszej nocy. Wstyd wstydem, ale...

- Która godzina? - bąknął od niechcenia Maciek, usilnie patrząc pod własne nogi.

- Do odlotu na Marsa pozostały cztery godziny i osiemnaście minut - odpowiedział natychmiast robot swoim grubym, spokojnym głosem.

- Jednak mówisz! - nie wytrzymał chłopiec.

- To i tak musiałbym ci powiedzieć - odrzekł „posłuszny sługa”. - Nie możemy się spóźnić.

Maciek poczuł, że ziemia usuwa mu się spod nóg. „I tak bym powiedział”. A więc nie zapomniał. Wiedział, że został przekonstruowany. Być może, pozwalając chłopcu manipulować w swoim programie, poddawał go równocześnie próbie?

Ale jeśli nawet pamiętał, to może jednak mimo wszystko nie poinformował o tym, co zaszło, Komisji Sędziowskiej? Może był zobowiązany do jakiejś, nazwijmy to tak, lojalności wobec swojego podopiecznego?

Gromadka dzieci opuściła już plażę i nikt nie widział ciągnącego brzegiem morza milczącego orszaku złożonego z dwóch tak bardzo różnych postaci. A szkoda. Obraz był bowiem nad wyraz osobliwy i z pewnością mógł zafascynować niejednego malarza, nie mówiąc już o fotografach i filmowcach czyhających na wszelkie dziwolągi.

Zielone wzgórza z ukrytymi wśród drzew domkami zbliżały się bardzo powoli. Chłopiec szedł żółtym krokiem, na próżno usiłując otrząsnąć się z ponurych myśli. Nagle przystanął.

Tuż przed nim leżał na piasku piękny, błyszczący kamień o dziwnym kształcie, trochę podobnym do rozgwiazdy. Był niebiesciutki jak niebo i poprzerastany delikatnymi, srebrnymi żyłkami.

- Lazuryt - mruknął do siebie Maciek schylając się, żeby podnieść dziwny kamień. Obejrzał go dokładnie i pokręcił głową.

- Nie, nie lazuryt. Co to może być?

Postanowił natychmiast po powrocie zbadać swoje znalezisko. Najpierw trzeba będzie zajrzeć do katalogu, a potem ewentualnie zapytać w jakimś instytucie, oczywiście za pośrednictwem domowego komputera. W każdym razie ten kamień stanie się cennym

nabytkiem w jego kolekcji.

Chłopiec poweselał. Może to się wydać dziwne, ale przyszły badacz kosmosu naprawdę bardzo lubił zbierać okruchy skał, minerały, kamienie, klasyfikować je i układać w gablotach.

Wsadził kamyk do kieszeni i zaczął biec. Niebo zasnuło się delikatną mgiełką, widać aurotechnicy doszli do wniosku, że i morze, i plantacje na Wybrzeżu miały już dzisiaj dość słońca. Od wody nadal bił jednak ostry blask, tryskające spod stóp rozbryzgi fal spadały na ciało Maćka jak orzeźwiający, ciepły deszczyk.

W pewnym momencie chłopiec odwrócił się, żeby sprawdzić, czy robot wciąż dotrzymuje mu kroku. ABZ-22-Bis akurat przeskakiwał jedną z niezliczonych płyciutkich zatoczek, powstających i znikających z plaży każdego dnia. Nie był to jednak skok w dosłownym rozumieniu tego słowa. Zwalista sylwetka uniosła się w górę jak poduszkowiec, by następnie opaść ciężko za błyszczącą powierzchnią kałuży. Stopy Klocusia zaryły się w piasku, a sam robot, nagle znieruchomiał, balansował przez chwilę całym swym korpusem, żeby utrzymać równowagę. Sterczące z jego ramion antenki drgały rozpaczliwie. Lampki pośrodku głowy jakby przygasły.

Widok był tak zabawny, że Maciek natychmiast zapomniał o wszystkim, co go trapiło, i roześmiał się głośno.

- Nie widzę powodów do radości - powiedział chłodno robot, kiedy udało mu się wygrzebać z piachu. - Nie jestem przystosowany do lotów w ziemskiej atmosferze. Zobaczmy, kto będzie się śmiał w przestrzeni...

- Znowu raczyłeś przemówić! - zawołał Maciek.

- To i tak przecież bym powiedział - powtórzył ABZ-22-Bis.

Kiedy chłopiec wraz ze swoim towarzyszem dochodzili już do drogi, która wiodła ku zielonej dzielnicy, z morza wybiegła zgrabna dziewczyna. Miała na sobie złotawy kostium i z daleka już machała wesoło do przybywających.

- Hop, hop! - zawołała głosem Iny Svierg.

Maciek zatrzymał się gwałtownie i odwrócił do Klocusia.

- Mam do ciebie prośbę - powiedział wbijając oczy w piasek. - Przy ludziach... nie mów. To znaczy... nie odpowiadaj mi. Ja...

- Dobrze - przerwał obojętnie robot. - Polecenie przyjęte.

Chłopiec przygryzł wargi, postąpił jeszcze chwilę w niezmienionej pozycji, a następnie westchnął ciężko, odwrócił się i ruszył w stronę Iny. Teraz dopiero spostrzegł, że w głębi

plaży, pod wydumą, ciemnieje wielka postać, kubek w kubek podobna do tej, która człapała za nim.

A więc i Ina dostała swojego „opiekuna”, co oznaczało, że także zakwalifikowała się do finału.

Myliłby się, kto posądziłby Maćka, że stwierdzenie tego faktu nie sprawiło mu przyjemności. Przyszły budowniczy gwiazd był z natury życzliwy ludziom i umiał cieszyć się cudzymi radościami. Zwłaszcza gdy te radości spotykały kogoś, kto miał śliczne złote oczy i kto w ogóle był jakiś taki złocisty.

- W domu niepokoił cię o ciebie - powiedziała dziewczyna, kiedy Maciek zatrzymał się trzy kroki przed nią. - Wuj Alf... to znaczy, przepraszam, profesor Nielson, ale on sam powiedział, że bym nazywała go wujem Alfem, wygadywał niestworzone rzeczy! A twoja mama tylko powtarzała: „ależ, Alfie, co ty mówisz?... co ty mówisz?...”

Chłopiec rozchmurzył się. Ina naśladowała głos i sposób łagodnego dziwienia się Leny z mistrzostwem godnym prawdziwej aktorki. Wyprostował się, odetchnął z ulgą, a potem mimowolnym ruchem sięgnął do kieszeni i wydobył z niej swoją niebieską zdobycz.

- Wszyscy okropnie się bali, że nie zdązysz... Co tam masz? - zmieniła nagle ton patrząc z zaciekawieniem na otwartą dłoń Maćka.

- Nic... to znaczy kamyk.

Potrząsnęła głową, żeby ułożyć zmoczone włosy, w których przy tym ruchu zamigotały ciemnozłote gwiazdki. Następnie podeszła bliżej.

- Pokaż - wyciągnęła rękę. - Ładny...

- Taki sobie. Brakowało mi akurat podobnego w kolekcji, więc go zabrałem. - Maciek nie wiedząc czemu zarumienił się i zmieszał, co próbował zamaskować niedbałym tonem.

- Prawda, że ty zbierasz kamienie - przypomniała sobie. - Mnie interesuje tylko to, co żyje... bardzo lubię rośliny. Ale gwiazdy, które masz zamiar budować, będą przecież martwe?

- znowu potrząsnęła głową i zaśmiała się. - Nie znam się na tym, myślę jednak, że trzeba będzie je zlepić z materii rozproszonej we wszechświecie. Więc dlatego zajmujesz się kamieniami?

Maciek szybko wyjął jej z dłoni niebieską rozgwieżdżoną i schował ją do kieszeni.

- Skąd wiesz, że myślę o budowaniu gwiazd? - spytał zaczepnym tonem. - Podśluchiwałaś? - Co? Ja? Kiedy? - złocista twarz Iny gwałtownie pociemniała. - Co cię ugryzło?

Chłopiec zreflektował się. Nie, ona nie podśluchuje.

- Wuj Alf ci powiedział - domyślił się. - Chodźmy, bo sama mówiłaś, że już się

niepokoją. Biedny wuj Alf... - dorzucił z przekąsem. Następnie, nie patrząc na Inę, która przypatrywała mu się z wyrzutem, ruszył w stronę przejścia przez wydmy, gdzie czekał robot jego jutrzejszej rywalki.

Kiedy wspinał się już po grząskiej, piaszczystej dróżce, z tyłu dobiegł go lekko zdyszany głosik:

- Jesteś niesympatyczny. Wuj Alf ma rację, że za mało myślisz. To znaczy, że zanim przemyślisz coś do końca, ulegasz różnym nastrojom i to ci przeszkadza w... - nie dokończyła. - Wcale nie chciałam cię urazić - oświadczyła po chwili przyciszonym głosem.

Maciek stanął na szczycie wydmy i odwrócił się. Ujrzał wpatrzone w siebie złote, lekko zmrużone oczy i zrobiło mu się jakoś niewyraźnie.

- Tym razem przemyślałem sprawę - zaczął pokonując lekki opór krtani - i doszedłem do wniosku, że ty jesteś bardzo sympatyczna. Widzisz, wuj Alf tam, podczas Kryterium, nie był... no, krótko mówiąc, robił wszystko, żeby mnie zagiąć. Dlatego się teraz zezłościłem. Przepraszam.

- Wuj Alf bardzo cię kocha - odpowiedziała Ina - ale nie powinnam była mówić w ten sposób o twoim hobby. Czasem jestem trochę lekkomyślna - westchnęła. - Kamienie... - uśmiechnęła się tak, że przyszedły budowniczy gwiazd znowu poczuł żenujące ciepło na policzkach.

- Moje gwiazdy wcale nie będą martwe - powiedział na wszelki wypadek bardzo szybko i z nie najlepszą dykcją. - Właśnie o to chodzi, żeby miały po kilka planet, na których ludzie czuliby się tak samo dobrze, jak na Ziemi. A kamienie nawet na martwych globach są bardzo przydatne. Ze skał można otrzymać olej, który służy do produkcji żywności. Z różnych minerałów i wody krystalicznej można, uwalniać tlen. Kamienie są znakomitym paliwem dla naszych baz...

- Do startu na Marsa pozostały trzy godziny i jedna minuta - odezwał się miękkim basem robot opiekuńczy Iny.

- Już idziemy - powiedziała dziewczyna i jeszcze raz uśmiechnęła się do Maćka. - To natomiast jest AZW-10-Bis i odnalazł mnie tutaj, na plaży. Jaki masz numer?

- ABZ-22 - rzekł machinalnie chłopiec przypominając sobie, że podczas ostatniego Kryterium jakiś dziewczęcy głos, odpowiadając na pytanie skierowane do AŻ W-16, bardzo rozsądnie mówił o perspektywach kontaktu Ziemi z inną cywilizacją kosmiczną. A więc to była ona?

- No, to poznajcie się - Ina rozłożyła ramiona, jakby chciała objąć równocześnie obie wielkie sylwetki. - To jest ABZ-22-Bis - wskazała robota, który przyszedł za Maćkiem - a to

AZW-16-Bis. Przywitajcie się ładnie - dygnęła z wdziękiem.

Posępne stwory odpowiedziały migotaniem lampeczek w swoich bryłowatych głowach, ale nawet nie mruknęły.

- Widzisz - zaśmiała się dziewczyna - mój nie odezwał się do mnie ani jednym słówkiem. Przepraszam, dwa razy powtórzył, że do odlotu na Marsa pozostało już niewiele czasu. A poza tym jest zupełnie nieużyty.

- A mój - zaczął bezwiednie Maciek i głos mu się załamał. Poczul raptem, że miałby wielką ochotę opowiedzieć Inie o wszystkim. O tym, co zrobił w swojej kabinie w czasie Turnieju Kwalifikacyjnego, i o wielkiej operacji w hali przystani. Równocześnie uświadomił sobie, że jeśli nic nie powie, to nie dlatego, żeby uniknąć dyskwalifikacji i napiętnowania przez Komisję Sędziowską, a najzwyczajniej w świecie ze wstydu. Ze wstydu przed tą wesołą, śliczną dziewczyną, która... której... ee!

- Chodźmy - wykrztusił, po czym odwrócił się i zbiegł z wydmy na łeb, na szyję, w takim tempie, że Ina dłuższą chwilę stała oszołomiona, zanim zdołała pokręcić z niedowierzaniem głową i ruszyć w jego ślady.

Jechali ruchomym chodnikiem między kępami krzewów i drzew, przez które przeświecały szklane ściany domków. Ina spojrzała na zegarek i przestraszyła się.

- Naprawdę późno! - zawołała. - Kiedy wychodziłam, wszyscy byli już gotowi do drogi. Niepokoili się, że cię nie ma, i dlatego ja... to znaczy, wuj Alf powiedział, że pewnie poszedłeś się wykapać, więc pobiegłam poszukać cię na plaży.

„Dlaczego właśnie ty?” - chciał zapytać Maciek, ale zamiast tego powiedział:

- Włożę tylko kombinezon i mogę jechać. Nie wiesz przypadkiem - dodał jakby od niechcienia - czy nie było jakiejś wiadomości od ojca?

- Nie słyszałam... nie, chyba nie - odpowiedziała niepewnie.

Chłopiec westchnął. „Wszyscy”. No tak. Na Marsa, do astroniadzkiej wioski, wyjadą z ich domku oprócz czwórki zawodników także wuj Alf, ciocia Basia, która miała obsługiwać aparaturę klimatyczną na jakiejś stacji kosmicznej, Marek jako asystent członka jury, profesora Badandajewa - no i oczywiście mama w charakterze zwykłego widza czy, jak to się dawniej mówiło, kibica. Ale ojciec...

Maćkowi stanęła przed oczami pogodna twarz z szeroko rozstawionymi, niebieskimi oczami i bujna, wiecznie potargana czupryna, nieco tylko ciemniejsza od niemal białych włosów Leny. Tę czuprynę Michał Całka odziedziczył zapewne po swoich skandynawskich przodkach. Nie darmo jego matka była rodzoną siostrą ojca wuja Alfa.

Ojca nie będzie. Szkoda. Może właśnie tylko jemu można by powiedzieć... - tu chłopiec odruchowo omiółł niechętnym spojrzeniem swojego „przerobionego” robota. Nie będzie także Bolka, który nie może przerwać praktyki na księżycach Saturna, ale o to mniejsza. Bolkowi, jako poecie, i tak nie można ufać. Natomiast ojciec...

I Maciek znowu westchnął ciężko, jak ktoś, kogo niezasłużenie prześladowuje bezlitosny los.

- Proszę, kto raczył zawitać pod nasz skromny dach! - wykrzyknął wuj Alf na widok wchodzących do domu Iny i Maćka. - A więc jednak startujesz? Także w konkurencjach historycznych? Proszę, proszę!...

- Gdzie ty byłeś? - spytała z niepokojem Lena. - Mało brakowało, a byłbyś się spóźnił. Nie wróciłeś po Turnieju. Czekaliśmy... - w jej głosie zabrzmiał wyrzut.

- Przepraszam - bąknął chłopiec.

Z ogrodu dobiegło gwałtowne ujadanie Feriego. Po chwili w drzwiach ukazała się głowa Skrzacika.

- Przed domem stoją cztery roboty, które bardzo denerwują psa - oświadczył z urazą Tupta-czek. - Czy naprawdę muszą czekać w naszym ogrodzie?

- Skrzacik jest zazdrosny! - stwierdził ze śmiechem Marek. - Nie martw się - pocieszył wiernego opiekuna rodziny. - Wkrótce polecimy, a one razem z nami. Zostaniesz sam na gospodarstwie i znowu nie będziesz miał konkurencji.

- One nie mogą być konkurencją dla domowego robota - odpowiedział z godnością Skrzacik i oddalił się.

- Pójdę uspokoić psa - ciocia Basia zerwała się z miejsca i pobiegła ku drzwiom. - Biedny Feri! Ma tyle kłopotów z Tuptaczkiem, a teraz jeszcze te milczące monstra!

- Ona by najchętniej została z psem tutaj, żeby go nie narażać na spacer w kosmosie! - zaburczał wuj Alf. - Mogę się założyć, że na swojej stacji posadzi drzewka, żeby Feri miał gdzie podnosić tylną łapę.

- To bardzo ładnie ze strony Basi - ujęła się za swoją starszą krewniaczkę Anna.

- Ja też lubię psy - podtrzymał ją Roald.

Maciek ogarnął wzrokiem wszystkich zgromadzonych w pokoju. Teraz dopiero dotarło do niego, co oznaczała obecność czterech dodatkowych robotów.

- A więc jesteśmy w finale - powiedział bez zastanowienia.

Nastąpiła chwila ciszy. Przerwał ją śmiech historyka:

- Nikt w to nie wątpił, młody człowieku! Zapomnieliście, jak wypadły auspacje?!

Wróżby?! *Summa cum laude!* Z największą chwałą! Cała czwórka, ha, ha, ha! - zaśmiał się tak, aż szyby odpowiedziały niespokojnym brzęczeniem. - Ten młodzieniec - utkwiał pałający wzrok w twarzy Maćka - skompromitował mnie ze szczeniem! Żeby w mojej rodzinie wyrósł tak przerażający ignorant... ale co tam - machnął zamasyście ręką. - *Sumtina cum laude!* - powtórzył z zapalem. - Wszyscy wygrają! *DIXI*, Czemu się śmiejesz? - spytał ponuro, patrząc podejrzliwie na rozjaśnioną nagłym uśmiechem twarz Maćka.

- Nic, nic - wycofał się pośpiesznie chłopiec, któremu tylko co błysnęła szalona myśl, żeby pokazać wujowi język. Wyobraził sobie miny obecnych... i musiał się uśmiechnąć, choć skądinąd wcale nie było mu wesoło.

- One chcą wejść - zabrzmiał od progu nadąsany głos Skrzacika.

- Kto chce wejść? - przestraszyła się Lena.

Ale cztery roboty Bis, bo to właśnie one „chciały wejść”, wcale nie czekały na zaproszenie. W drzwiach ukazały się cztery nieludzkie głowy, tak blisko siebie, jakby należały do jednego metalowego smoka.

- Czas udać się na pole startowe - powiedziały cztery głosy.

- Już musicie iść - Skrzacik ostentacyjnie odwrócił się plecami do drzwi. Nie wytrzymał jednak i rzucił z przekąsem, zerkając za siebie: - Sam przypomniałbym o tym. Od tego tu jestem.

Wuj Alf trzepnął Maćka po ramieniu, aż chłopiec przysiadł.

- Należy ci się za ten podejrzany uśmieszek - historykowi nie sposób było odmówić przenikliwości. - A teraz: *Alea iacta est!* Kości zostały rzucone... nic, nic, piesku - dodał szybko, bo Feri, który wdarł się do pokoju zaniepokojony obecnością obcych potworów, na dźwięk słowa „kości” przysiadł przed uczonym i otworzył pysk zerkając z wyrazem nagle rozbudzonego apetytu.

- W górę serca! - krzyknął historyk, tym razem jednak nie do psa, tylko do swojego siostrzeńca. - ABZ-22, na start!

Siedemdziesiąt pięć sekund

Trasa Ziemia-Mars biegła dzisiaj jakby tunelem, którego ściany tworzyły świecące wszystkimi barwami afisze i mapy, informacje przeznaczone dla widzów oraz monstrualnych rozmiarów przestrzenne zdjęcia zawodników. W pewnym momencie Maciek ujrzał wykrzywioną w sztucznym uśmiechu swoją własną twarz i szybko odsunął się od iluminatora. Ale nie on jeden obserwował fotoatrakcje przygotowane dla gości Astroniady.

- O, to jesteś ty! - ucieszył się Roald.

- Jaki ładny - dodał mlaskając z uznaniem Marek. - Zaraz widać, że mój brat!

Na szczęście, wśród dziesiątek innych, w przestrzeni załśniła z kolei wdzięcznie uśmiechnięta twarz Anny. To odwróciło uwagę pasażerów specjalnego statku od zawodnika ABZ-22. A tuż za Anną przesłoniła gwiazdy czarna głowa jakiejś smagłokórej dziewczyny, ukazującej zęby tak olśniewającej białości, jakby każdy z nich miał wprawiony reflektor. Dziewczyna patrzyła spod współprzymkniętych powiek tak, że ledwie było widać jej wielkie oczy koloru dojrzałych kasztanów. Marek tym razem nie powiedział nic, tylko uniósł się w fotelu i odprowadził wzrokiem znikające za rufą zdjęcie, które nosiło krótki podpis: Dahra. Nic więcej. Wszystkie inne fotografie były opatrzone pełnymi imionami i nazwiskami zawodników, wymieniono też Strefy, które reprezentowali. Ciemna piękność zadowolila się imieniem Dahra.

- Podobała ci się, Mareczku? - zagadnął od niechcienia wuj Alf. - Mogę ci powiedzieć, że świetnie przeszła przez Turniej Kwalifikacyjny. Jest niewiele starsza od czwórki naszych bohaterów, a kiedy ukazała się na kontrolnych ekranach Komisji dwóch moich uczonych kolegów jurorów zapomniało języka w gębie.

- Eee! - zachnął się niezbyt szczerze Marek.

- Oho - mruknęli równocześnie Maciek, ciocia Basia i Lena, ta ostatnia nie bez pewnego niepokoju. Jej najstarszy syn znany był nie tylko jako obiecujący naukowiec, asystent słynnego Abaja Badandajewa.

Na tym urwała się tak mile rozpoczęta rozmowa, ponieważ komputer statku zawiadomił przez głośniki, że lądowanie pod wioską olimpijską nastąpi za niecałą minutę. Jurorzy, zawodnicy i towarzyszący im goście zaczęli przygotowywać się do wyjścia.

Statek osiadł wewnątrz olbrzymiej kopuły - niewidocznej, bo zamkniętej tylko polem siłowym - nakrywającej obszar kilku osiedli oraz część pól uprawnych i skrawek rezerwatu Doliny Marinera. Pod jej gigantyczną czaszą można było oddychać zwykłym ziemskim

powietrzem, panowała tam również sprzyjająca ludziom temperatura. Takich stref chronionych urządzono już na Marsie kilka, planeta stawała się powoli swojska i zamieszkana, jakby nigdy nie była martwym czerwonym globem pozbawionym wody, jeśli nie liczyć jej drobinek w czapach śniegowych na biegunach i zlodowaciałych podziemnych jezior.

Wioska przypominała porozrzucone bezładnie sześciennie klocki. Domki tworzyły małe, nieregularne piramidy, a gdzieniegdzie rozstępowały się, odsłaniając widok na góry. Niebo było barwy brzoskwiowej, ale na łądzie zielone trawniki, fontanny, szpalery kwitnących krzewów i wspaniale rozrośnięte drzewa dawały przybyszom złudzenie, że nigdy nie opuścili Starej Ziemi.

Na spotkanie gości wyszła młoda kobieta nadzorująca automaty obsługujące mieszkańców hoteli. Po powitaniu zawodnicy musieli zgłosić się w odświętnie ustrojonej sali, gdzie urzędowała komisja Astroniady. Formalności trwały krótko. Każdy z zawodników potwierdził swoje przybycie i otrzymał specjalnie dla siebie przygotowaną paczkę zawierającą harmonogram Sześcioboju, maleńką centralkę łączności - tak zwaną muszkę - i informacje o sposobie porozumiewania się ze stacjami kontrolnymi. Bardziej szczegółowe instrukcje miały być doręczone sportowcom bezpośrednio przed startem do każdej kolejnej konkurencji.

Kiedy pasażerowie ostatniego statku rozgościli się już w swoich pokojach, ujmujący mezzosopran zaprosił ich przez głośniki do świetlicy. Znajdowała się ona na skraju wioski, w oddzielnym pawilonie najeżonym kolorowymi antenami. Pawilon stał na krawędzi stromej skarpy, pod którą płaska jak stół łąka rozciągała się aż do niezbyt szerokiej rzeki. Zazwyczaj zamknięta wielkimi szybami ściana była teraz otwarta.

- No, bohaterowie - powiedział wuj Alf, kiedy niebieskozłoty robot wprowadził całą gromadkę na amfiteatralną widownię - dalej musicie sobie radzić sami. Lena zostanie na górze, jak przystało zwykłemu, skromnemu widzowi - pogroził palcem mamie Maćka, która odpowiedziała pokornym ukłonem. - Marek pójdzie ze mną, bo dostrzegani już przy stolikach sędziowskich zacne oblicze mojego uczonego kolegi, Badandajewa. Basia ma, zdaje się, jakieś swoje sprawy, o których nie chcę nic wiedzieć - uniósł ręce, jakby się przed czymś bronił - a czwórka przyszłych medalistów zajmie miejsca na dole, w pierwszych rzędach. Tutaj oni są najważniejsi... przynajmniej musimy udawać, że tak naprawdę myślimy, ha, ha, ha!

- My tak nie myślimy - zaprotestowała przesadnie przymilnym głosem Anna. - Dla nas najważniejsi są jurorzy...

- O, podle stworzenie - zaintonował w odpowiedzi historyk - poczekaj, przekonasz się, jak sprawiedliwi mężowie płacą za pochlebstwa!

Złożywszy tę górnolotną, choć niezbyt zachęcającą obietnicę, wuj Alf łypnął złowrogo oczami, po czym zbiegł w dół po szerokich stopniach amfiteatru. Zawodnikom nie pozostało nic innego, jak pójść w jego ślady.

Maciek usiadł na miejscu oznaczonym jego symbolem startowym i rozejrzał się. Obok niego uśmiechał się szeroko jakiś czarnoskóry dryblas. Za nim jaśniały głowy dwóch dziewcząt w jednakowych niebieskich kombinezonach, a dalej rudy jak lis chłopiec usiłował doprowadzić do porządku swoją nie dość, że płomienną, to jeszcze szczególnie niesforną czuprynę. Natomiast rząd przed nim, nieco z boku, zajęła miejsce dziewczyna, której przestrzenna fotografia zrobiła takie wrażenie na Marku. Jakże ona się nazywała? Jakoś dziwnie i jednocześnie krótko. Dahra... tak, Dahra.

W rzeczywistości była jeszcze piękniejsza niż na zdjęciu. Jej brązowe, lekko skośne oczy patrzyły spod czarnych brwi zrosniętych nad wąskim, prostym nosem. Olśniewająco białe zęby aż kusiły, żeby na ich widok odpowiedzieć uśmiechem. Włosy opadały jej kruczą falą na ramiona. Maciek potrząsnął z niedowierzaniem głową. Wuj Alf mówił, że ta Dahra znakomicie spisała się w Turnieju Kwalifikacyjnym. Gdyby Markowi udało się...

Tę interesującą myśl przerwał chłopcu dźwięk fanfar. Rozpoczęła się uroczystość inauguracji Astroniady.

Po krótkim kwadrofonicznym koncercie, złożonym z fragmentów symfonii olimpijskich, zebrani obejrzeni występy artystów ze wszystkich Stref, których reprezentanci zakwalifikowali się do Sześcioboju. Na zakończenie pierwszej części wygłosił przemówienie przewodniczący jury, profesor Alan Tunner, słynny nie tylko ze swych prac matematycznych, lecz również pięknych, refleksyjnych wierszy, pisanych jakby dla zabawy, ale zawierających wiele głębokich myśli.

- Przed wiekami sport pomagał człowiekowi sprawdzić siebie samego wobec przyrody i wobec rozdartego konfliktami świata, przygotować się na niespodzianki, jakie niesło życie, i zdobyć hart, który pozwoliłby mu stawić czoła tym niespodziankom - mówił Tunner. - Ale już wtedy idea szlachetnej rywalizacji sportowej zawierała najpiękniejsze wartości: równość, braterstwo i zgodne działanie wszystkich ludzi. Teraz nie musimy zmagać się z naturą, niepotrzebna nam sprawność fizyczna i odporność nerwowa, aby spokojnie żyć w zbiorowości. Niebawem jednak ruszymy do gwiazd. Spotkamy nowe problemy i, być może, nowe, inne niż my, rozumne istoty. Dziś sport jest sprawdzaniem siebie wobec wszechświata i wobec przyszłości. A także wobec naszych przodków, tych, którzy poprzez mroki historii

nieśli olimpijski znicz idei braterstwa i postępu. Życzę wam, żebyście z tego sprawdzianu wyszli zadowoleni z siebie. Niech zwycięży najlepszy!

Zerwały się brawa, zagłuszone przez fanfary. Wszyscy wstali z miejsc, a w kilka minut później wielka, amfiteatralna sala opustoszała. Zawodnicy i goście wyszli przez otwartą ścianę na łąkę, wokół której na tle czerwono-czarnego nocnego nieba Marsa rozgorzały miliony kolorowych świateł. Zapłonęła zorza polarna, oczywiście ani zorza, ani polarna, ale po prostu bajecznie kolorowy spektakl, przygotowany przez aurotechników. Maciek zrozumiał teraz, jakie to „sprawy” miała tutaj do załatwienia ciocia Basia.

Nastąpiła uroczysta chwila przysięgi zawodników i wciągnięcia na maszt białej flagi Astroniady. Nad halą, na szczycie igły skalnej wkomponowanej w architekturę wioski zapłonął wielki znicz. Odegrano hymn i uroczystość inauguracji dobiegła końca.

Maciek stał, przez chwilę wpatrując się w niebo płonące ruchomymi obrazami, po czym bez żadnej myśli ruszył powoli przed siebie. Dźwięczały mu w uszach słowa profesora Tunnera: „sport jest sprawdzianem wobec przodków”... Uwzięli się na tę historię!

Skrzywił się odruchowo i przyspieszył. Przeszedł już połowę szerokości łąki, hala za nim zmalęła, a jej światła przybladły, ale on nadal nie zwracał uwagi na otoczenie. Był sam, wszyscy udali się na wielki festyn. Niech się bawią, skoro im tak wesoło.

Przecież rakiety, wioska olimpijska, świetlny spektakl na marsjańskim niebie - to dzieło konstruktorów. Czy wykonując swoją pracę myśleli o historii i przodkach?...

- Dokąd idziesz? - spytał tuż za Mackiem niski, spokojny głos.. Chłopiec aż podskoczył z wrażenia i odwrócił się błyskawicznie. Przed nim stał ABZ-22-Bis.

- Jeszcze tylko pięćdziesiąt metrów i znajdziesz się na granicy strefy chronionej - mówił daleki robot. - Czy zamierzasz wyjść na zewnątrz?

Maciek nie zamierzał niczego, ale teraz rzucił bez zastanowienia:

- Tak. Nie podoba ci się?

- Nie dzielę zjawisk na takie, które mi się podobają lub nie - odrzekł Klocuś. - Musiałem jednak opuścić moje stanowisko. Jeśli masz zamiar wyjść poza rejon zamieszkania, będę ci towarzyszył.

- Chcę być sam!

- To, niestety, niemożliwe. Zawodnikom nie wolno oddalać się od wioski bez opieki.

Chłopiec rozejrzał się wokół siebie. Zaszedł rzeczywiście daleko. Po lewej stronie łąka przechodziła w gładką, jakby wypolerowaną płytę, pomalowaną w biało-czarne kwadraty. Na każdym z nich stała rakietka w pozycji startowej. Pod smukłymi cygarami trwały nieruchomo sylwetki opiekuńczych robotów. W drugim rzędzie jedna z raket nosiła symbol

ABZ-22 i tam nie było nikogo. Klocuś natychmiast zareagował, kiedy jego podopieczny znalazł się samotnie na granicy owej niewidocznej kopuły, pod którą człowiek mógł się czuć jak u siebie na Ziemi.

- To są nasze rakiety? - spytał Maciek, chociaż odpowiedź była aż nazbyt oczywista.

- Tak.

A więc już jutro usiądzie za sterami tego stateczku, aby pokonywać odległości dzielące Marsa od jego księżyców, naturalnych i sztucznych, a także od asteroidów. Areną większości konkurencji będzie kosmos oraz różne globy i satelity. Tylko „bieg historyczny” i „Mars-maraton” miały się odbyć w bezpośrednim sąsiedztwie wioski olimpijskiej.

„Nie zdyskwalifikowali mnie” - pomyślał chłopiec i zdziwił się, że dopiero teraz przyszło mu to do głowy. A tak się bał, kiedy zaraz po opuszczeniu statku podchodził do stolika, przy którym siedzieli sędziowie, żeby odebrać od nich swój pakunek z mapami, muszką i planem konkurencji.

- No to chodźmy - rzucił niemal wesoło do Klocusia, który w odpowiedzi tylko skinął bryłowatą głową.

Posterunek strażniczy, jeden z kilkudziesięciu, przez które musiał przejść każdy, kto chciał wyjść z zamieszkałej strefy, mieścił się w długim, wąskim bunkrze. Granica niewidocznej półkuli przebiegała dokładnie przez jego środek. Wchodziło się do budynku w lekkiej, letniej koszulce, a wychodziło w próżniowym skafandrze wprost na marsjańską pustynię, przez potężny, pancerny właz.

Wewnątrz dyżurował robot, który spytał bardzo uprzejmie, czy Maciek ma pozwolenie dyspozytora wioski na opuszczenie jej terenu.

- Nie... a czy to potrzebne? - zafrasował się chłopiec.

- Tak. Możesz wezwać dyspozytornię przez swoją centralkę - robot wskazał muszkę, która wystawała z kieszeni kombinezonu Maćka.

- Dyżurny dyspozytor - zabrzączał cicho, ale wyraźnie męski głos, gdy tylko chłopiec wduśił odpowiedni klawisz.

- ABZ-22 prosi o pozwolenie wyjścia poza strefę chronioną. Jestem na posterunku numer... - zająknął się.

- Wiem, skąd mówisz - uspokoił go dyspozytor. - W jakim celu chcesz wyjść na pustynię?

Maciek poruszył bezradnie ramionami, co jednak nie mogło stanowić żadnej wskazówki dla odległego o całe kilometry dyspozytora.

- Tak sobie... to znaczy - nadał swojemu głosowi poważne brzmienie - chcę trochę

pochodzić w skafandrze przed jutrzejszym startem. Dość długo ostatnio przebywałem na Ziemi i...

- Rozumiem - przerwał uprzejmie dyspozytor. - Czy jest z tobą robot opiekuńczy? Jeśli tak, niech się zgłosi.

Maciek odwrócił się i spojrzał wyczekująco na ABZ-22-Bis, ale Klocuś nie wydał żadnego dźwięku.

- No!... - zniecierpliwił się chłopiec.

- Dziękuję - ton dyspozytora wskazywał, że rozmowa dobiegła końca. - Pozwalam zawodnikowi ABZ-22 opuścić strefę chronioną.

- Proszę przejść do garderoby i włożyć skafander - rzekł dyżurujący robot, zanim Maciek zdążył się zdziwić, że Klocuś nie potrzebuje wcale posługiwać się mową, kiedy chce „porozmawiać” z dyspozytorem. I zapewne nie tylko z nim, lecz także z jurorami. Nie było to najprzyjemniejsze odkrycie.

- Rupieć! - mruknął chłopiec chwytając ze złością pierwszy z brzegu skafander.

Klocuś pomigotał lampkami, ale kiedy się odezwał, jego głos brzmiał, jak zawsze, grzecznie:

- Ten będzie za mały. Radzę wziąć pomarańczowy...

Chłopiec zachnął się, ale równocześnie spostrzegł, że ubiór, po który sięgnął, byłby w sam raz dla pięcioletniej dziewczynki. Posłusznie podszedł więc do pomarańczowego. Począł cierpliwie, aż automat obsługi sprawdzi szczelność zapięcia, po czym szybko wszedł do śluzu. Pancerna płyta zamknęła się za nim bezgłośnie. Jeszcze trzydzieści sekund i nad zewnętrznym włazem zapłonęła zielona lampka. Zaraz potem płyta odsunęła się, odsłaniając widok na czarnofioletowe niebo i ledwie rysujące się na jego tle szczyty gór.

Milcząca dwójka wędrowała już od dwudziestu minut. Światła zamieszkanego strefy pozostały daleko w tyle, dokoła panowały nieprzeniknione ciemności, tylko góry rysowały się coraz wyraźniej. A zwłaszcza zaokrąglony, ale tym potężniejszy w swoim ogromie wierzchołek Olimpu, szczytu liczącego sobie - bagatelka! - dwadzieścia pięć tysięcy metrów wysokości! Średnica tego giganta u podnóża wynosiła sześćset kilometrów. Prawdziwy Olimp! Nie ta jakaś mała górka w Grecji, od której wzięły pośrednio nazwę dawne olimpiady. A jednak to właśnie fakt, że starożytnym astronomom spodobało się ochrzcić kolosa imieniem „Olimp” natchnął organizatorów nowoczesnych Astroniad myślą, by u jego stóp zbudować wioskę olimpijską i wytyczyć trasy niektórych konkurencji.

„Znowu historia” - pomyślał z niechęcią Maciek i obejrzał się. Czarny stwór z ledwie

widocznymi lampkami, wyglądającymi jak bardzo dalekie gwiazdy, kroczył godnie i sztywno tuż za nim. Nie miał najmniejszych kłopotów z miałkim pyłem pokrywającym gdzieś tam pustynię i nie ślizgał się na wystających spod niego, wygładzonych przez burzę skałach.

- Uwaga - powiedział ABZ-22-Bis, jakby tylko czekał na moment, kiedy chłopiec się odwróci.

Stanęli obaj. Maciek rozejrzył się błyskawicznie. Co, u licha...

Właśnie zamierzał spytać, o co Klocusiowi chodzi, kiedy nagle w czarnym masywie Olimpu dostrzegł nikłe światełko. Zapaliło się i zaraz zgasło. Minęła sekunda i słaby płomyk ukazał się znowu. A po następnej sekundzie błysnęło raz jeszcze.

„Trzy razy - pomyślał gorączkowo Maciek. Jeśli to się powtórzy”...

Powtórzyło się.

Chłopiec natychmiast sięgnął do swojej muszki. Nacisnął klawisz i powiedział do ukrytego w kasku mikrofonu:

- Uwaga, dyspozytor. ABZ-22 odebrał optyczne wezwanie alarmowe. Ktoś wzywa pomocy z masywu Olimpu. Odbiór.

- ABZ-22 - odpowiedział znany już Maćkowi głos - czy potrafisz zlokalizować miejsce, z którego dochodzi sygnał?

- Nie. Nie mam danych.

- Wiem, gdzie jesteś - rzekł dyspozytor - Wysyłam ekipę ratunkową. Będzie u ciebie za... - mężczyzna zawahał się przez moment - za siedemdziesiąt pięć sekund. Słuchaj teraz, ABZ-22. Czy masz możliwość dotarcia do wzywającego pomocy drogą powietrzną?

Maciek zacisnął zęby. Czy ma? Może i tak. Z pewnością tak, ale...

Jego robot był zdolny do samodzielnych lotów, i to nie tylko w atmosferze, ziemskiej czy marsjańskiej, lecz także w próżni. Przecież podobnie jak wszystkie inne, całą drogę z Ziemi odbył na zewnątrz statku, którym podróżowali zawodnicy. Chłopiec mógł teraz wydać polecenie Klocusiowi, by ten poleciał w stronę Olimpu, gdzie jakiś człowiek znajdował się w niebezpieczeństwie. Ale nie mógł tego zrobić nie dekonspirując się przed dyspozytorem. Bo zwykły, nieprzerobiony robot nie przyjąłby żadnego polecenia od swojego podopiecznego zawodnika startującego w średniej grupie. Więc jednak dyskwalifikacja tuż przed startem. Nie! Wszystko, tylko nie to!

Wszystko? A jeśli ten człowiek... Siedemdziesiąt pięć sekund! Niby nic. Ale dla kogoś, komu na przykład skończył się zapas tlenu...

- Tak - powiedział Maciek. - Mam możliwość dotarcia do wzywającego pomocy drogą powietrzną. Proszę o pozwolenie na start.

- ABZ-22, startuj. Ekipa podąży twoim śladem.

- Zrozumiałem. Koniec.

Wyłączył muszkę i zwrócił się do Klocusia:

- Widzisz to światełko?

- Owszem - odpowiedział lakonicznie robot.

- Obejmij mnie i startuj. Musimy tam dotrzeć jak najprędzej.

- Dobrze - zgodził się Klocuś. W następnej chwili chłopiec poczuł, że jego ramiona i plecy obejmuje potężna stalowa obręcz i nagle ujrzał marsjański grunt dobre dwa metry pod swoimi nogami.

ABZ-22-Bis nie uruchomił głównych silników. Ich dysze znajdowały się wprawdzie w jego stalowych stopach, ale strumień rozżarzonych gazów mógłby mimo wszystko porazić człowieka podróżującego na oklep na grzbiecie robota, gdyby napęd tego ostatniego pracował pełną mocą. Mimo to lecieli szybko. Lampka uwięzionego w górach nieszczęśnika błyskała coraz silniej. Przed oczami chłopca zaczęła gęstnieć ponura, czarna skała. Z daleka Olimp przypominał wielką, niegroźną kopę. Niestety, ta kopa stała jakby na cokole, którego pionowe ściany liczyły kilkaset metrów wysokości.

Robot zwolnił, a następnie z sykiem silników zawisł nieruchomo w marsjańskim powietrzu.

- Co się stało? - wykrztusił Maciek. Usiłował spojrzeć za siebie, ale Klocuś w odpowiedzi uściśnął go tylko odrobinę mocniej. Widać bał się, żeby jego podopiecznego nie poniosła ciekawość.

- Nic - brzmiała odpowiedź.

- Odwróć mnie tak, żebym widział miejsce, z którego ktoś świeci tą latarką.

Gwiazdy na niebie zmieniły położenie, a następnie zniknęły. Maciek wyteżył wzrok i ujrzał, że skalna ściana jest już bardzo blisko. Dlatego zapewne stali nieruchomo w miejscu. Robot uznał, że, dalsza droga byłaby zbyt ryzykowna dla chłopca.

W tym momencie dokładnie na wprost nich błysnęła lampka.

- Zapal reflektor! - rzucił Maciek.

Snop światła padł na urwisko. Wyglądało przerażająco. Ściana uciekała do góry i wybrzuszała się tam, tworząc groźną przewieszkę. Przez jej środek biegła szczelina o zębatych, poszarpanych krawędziach. W blasku reflektora zaśniła biała nitka liny asekuracyjnej, która spadła z owej przewieszki i zniknęła między brzegami szczeliny. Kilkanaście metrów niżej ułamana igła skalna tworzyła coś w rodzaju poziomej wieżyczki, a tuż obok widniała zwisająca bezradnie biaława sylwetka.

- Widzisz już człowieka, który wzywał pomocy? - spytał Maciek.

- Tak.

- Zbliź się do niego i zabierz go tak samo jak mnie.

- Nie mogę. Nie utrzymam równocześnie dwóch ludzi. Muszę dbać o ciebie. Jestem specjalnie zaprogramowany...

- Musisz wykonywać moje polecenia - rzekł chłopiec dodając sobie otuchy surowym tonem.

- Tego polecenia nie mogę wykonać - odpowiedział spokojnie Klocuś. - Was dwóch absolutnie nie utrzymam...

- W takim razie - Maciek poczuł, że ogarnia go jakiś zimny, nienaturalny spokój - posadź mnie na tej skalnej półce, a sam polec po tego człowieka Najpierw weź go na plecy, a dopiero potem odwiąż linę. Zrozumiałeś?

- Tak - rzekł po chwili wahania ABZ-22-Bis.

Dziesięć sekund później chłopiec zszedł ostrożnie na czarną, lśniącą w świetle reflektora skałę. Grzbiet iglicy odstającej od pionowej ściany nie był zbyt szeroki. Na wszelki wypadek Maciek od razu usiadł i postanowił sobie, że do powrotu Klocusia nie ruszy się z miejsca.

Robot zniknął. Z dołu widniały jedynie poruszające się plamy bladego światła. Jednak po chwili światło uciekło w głąb i nastąpiła zupełna ciemność.

Maciek czekał spokojnie, tylko jego czoło zaczęło nie wiedzieć czemu wilgotnieć. Może w tym skafandrze jest rzeczywiście odrobinę za ciepło?

Daleko, daleko, za martwą płaszczyzną pustyni, migotają jak błędne ogniki światełka olimpijskiej wioski i odświętna iluminacja otaczającego ją parku. Ale pustynia, która dzieli Olimp od powietrza i ludzi, rozciąga się dobre trzysta metrów niżej. Trzysta metrów pionowej ściany. Jeśli Klocuś zawiedzie...

W słuchawkach przezroczystego kasku Maćka zabrzmiało, jakby w odpowiedzi na tę niezbyt pokrzepiającą myśl, cichutkie świergotanie. Zaraz potem trysnął oślepiający snop światła. Chłopiec odruchowo zmrużył oczy i dlatego nie widział, jak robot wylądował spokojnie tuż obok niego i ostrożnie rozchylając swoje potężne ramiona opuścił na skałę człowieka w jasnym skafandrze.

- Dziękuję - odezwał się cichy głos. - Przyszliście w samą porę... ale czemu jesteś sam?

Upłynęło trochę czasu, zanim Maciek zrozumiał, że uratowany bierze go za członka ekipy ratowniczej.

- Zgaś to - mruknął do robota, a kiedy ten posłusznie wyłączył reflektor, powiedział: - Byłem na spacerze i dostrzegłem twoje sygnały. Ponieważ miałem ze sobą... miałem... - zająknął się - no, mogłem do ciebie polecieć - wybrnął wreszcie - więc jestem.

- To dobrze - wyszeptał nieznajomy. - Startujesz w Sześcioboju?

- Tak.

- Nazywam się Ito Oyo.

Maciek oniemiał. Otworzył usta, ale zdołał tylko wyjąkać:

- O... o... o...

- Nie „0,0,0”, tylko Ito Oyo - uratowany zaśmiał się z wysiłkiem. - W moim imieniu i nazwisku są istotnie aż trzy „o”, ale poza tym jest tam także kilka innych głosek.

- Przepraszam - chłopiec odchrząknął, żeby usunąć z gardła jakąś idiotyczną przeszkodę, która utrudniała mu mówienie - to pan jest tym słynnym uczonym?

- Nie wiem, czy słynnym, ale obawiam się, że jak na uczonego nie zawsze potrafię postępować dostatecznie rozważnie. Na przykład dzisiaj, zamiast dyskutować z moimi szacownymi kolegami o nowych teoriach, uciekłem na małą wspinaczkę. W dodatku teraz siedzę i gawędzę z tobą jakby nigdy nic, a przecież kończy mi się tlen. Uderzyłem jedną butlą o skałę i chyba ją rozbiłem. A druga jest już pusta...

Jakby na potwierdzenie tych słów w słuchawkach chłopca zabrzmiał chrapliwy, zduszony kaszel.

Maciek próbował się zerwać i byłby to niechybnie zrobił, gdyby w ostatniej chwili nie powstrzymały go stalowe wysięgniki robota...

- ABZ-22-Bis - rzucił.

- Słucham?

- Weź profesora Ito Oyo i, jak najszybciej możesz, poleć z nim do zamieszkaney Strefy. Po drodze zawiadom dyspozytora, żeby w strażnicy czekał lekarz. Startuj. Potem wróć po mnie.

- Nie mogę cię tutaj zostawić. Jestem twoim...

- Wykonaj polecenie!

- Tak - odpowiedział niechętnie Klocuś, po czym niezwłocznie przystąpił do ładowania sobie na plecy bardzo już osłabionego profesora.

- Dziękuję - zaszemrało w słuchawkach. - I przepraszam...

Maciek został sam. Rozsiadł się nieco wygodniej i oparł o skałę rękami.

- Uratowałem Ito Oyo - rzekł w pewnej chwili do siebie. - Naprawdę - dodał po krótkim namyśle. - No, no... - zakończył znaczącym mruknięciem.

Profesor Ito Oyo był powszechnie uznaną znakomitością. Zasłynął jako bionik, dyrektor Instytutu Pacyfiku, ale cieszył się ogromnym autorytetem także jako matematyk, który wniósł rewolucyjne myśli do teorii gier. Był wreszcie wspaniałym sportowcem, zdobywcą wielu szczytów na wszystkich możliwych globach Układu Słonecznego. Tylko że Maciek wyobrażał sobie zawsze słynnego uczonego jako siwowłosego staruszka, podczas gdy człowiek, który przed chwilą siedział obok niego na grzbiecie skalnej igły, miał sylwetkę kilkunastoletniego chłopca.

Bohater górskiej przygody wzdrygnął się w tym momencie. Pomyślał, że sam jest kilkunastoletnim chłopcem, że otaczają go dzikie, obce skały Marsa, że odesłał swojego opiekuna, pozbawiając się jego niezawodnej pomocy, i że ekipa ratunkowa stanowczo powinna poruszać się nieco różnie.

- To nic - powiedział na głos. - Oni zaraz wrócą. W każdym razie Klocuś.

Wrócili wcześniej, niż się chłopiec mógł spodziewać, a właściwie nie tyle wrócili, co przylecieli. I nie Klocuś, a właśnie ekipa wysłana przez dyspozytora.

Z lewej i z prawej strony kamiennej igły, na której siedział, zawisły małe talerzowate pojazdy. Z otwartych włazów wyłaniały się głowy ludzi.

- Jesteś tam? - zapytał ktoś.

- Jestem - odpowiedział Maciek starając się nadać swojemu głosowi normalne brzmienie.

- To dobrze. Wstań i chodź tutaj - powiedział mężczyzna, który przybył w stateczku znajdującym się teraz z prawej strony skały.

- Jak to? - chłopiec pomyślał, że albo ten człowiek zwariował, albo on musiał się przesłyszeć. Przecież przepaść...

- Nic się nie bój. Chodź! Tak, jakbyś szedł po deptaku nad morzem... na Ziemi.

Wzmianka o deptaku nad morzem była szczególnie absurdalna w tym groźnym, mrocznym miejscu, ale przyniosła nadspodziewany skutek. Maciek zamknął oczy, ujrzał pod powiekami bezkresną, rozświetloną plażę i dał krok w pustkę. O dziwo, zamiast runąć w przepaść, poczuł pod nogami lekko uginającą się, ale pewną kładkę.

- Hej - zawołał zaniepokojony głos - a dokąd to?!

Chłopiec otworzył oczy. W ostatniej chwili. Właśnie mijał otwartą klapę ratunkowego pojazdu, z którego wychylał się jakiś człowiek, wyciągając ramiona w stronę powietrznego spacerowicza. Maciek natychmiast zmienił kierunek i po chwili stał już bezpiecznie obok nieznanego, wewnątrz stateczku. Odetchnął głęboko i dopiero teraz poczuł, że ta wilgoć, która zrosiła jego czoło, przemieniła się w ściekające za kołnierz zimne strużki.

- Ufff! - wyrwało mu się - co to właściwie takiego?

- Już wszystko w porządku - przez szybę kasku widać było jasną, uśmiechniętą twarz mówiącego. - Mamy swoje sposoby na takich jak wy. Malutkie pole siłowe... trochę podobne do tego, które tworzy nakrycie strefy chronionej. Przyjemnie się wędrowało?

- Dziękuję, owszem - odrzekł z samozaparciem zapytany.

Tymczasem drugi z pojazdów gdzieś zniknął. Przez minutę, może dwie, nic się nie działo. Chłopiec chciał już spytać, na co jeszcze czekają, kiedy z góry błysnęło światło i w jego blasku ukazała się lina. Ta nieszczęsna lina, na której zawisł profesor Ito Oyo.

- Popatrzcie - zabrzmiał skądś głos innego mężczyzny - zaklinowała się w skalnej szczelinie i przetała, kiedy ten niefortunny turysta próbował ją uwolnić. Wystarczyło, że jej dotknąłem, a puściły ostatnie włókienka. Wątpię, czy zdążylibyśmy na czas, gdyby nie... jak ty się właściwie nazywasz? - zakończył bezceremonialnie drugi ratownik, którego statek w tym momencie wypłynął z ciemności i zatrzymał się tuż obok pierwszego.

Maciek poczuł się w obowiązku stanąć w obronie honoru ocalonego przez siebie uczonego.

- Mniejsza o mnie - powiedział nosowym głosem. - Jestem zawodnikiem ABZ-22. Ale ten, którego nazywacie „niefortunnym turystą”, to profesor Ito Oyo...

- Cooo? - spytały zgodnym chórem dwa męskie głosy.

Dopiero ten chór uświadomił chłopcu, co znaczy fakt, że naprawdę uratował samego Ito Oyo. Proszę. Jeśli się nawet zdekonspirował, jeśli zostanie wykluczony z zawodów, to w każdym razie wróci z tarczą, a nie na tarczy. Zaraz... kto tak powiedział? Oczywiście, wuj Alf. Wspomniał wtedy o jakichś rycerzach... Historia! Phi! Jeśli Ito Oyo żyje, to nie dlatego, że on, Maciek, chciał się sprawdzić „wobec swoich przodków”, jak mówił Tunner, tylko dlatego, że przekonstrował swojego robota. Technika! Ot, co!

Kiedy zdjęli już skafandry i wyszli z wartowni na zieloną łąkę, pierwszy ratownik powiedział:

- Cześć, stary. Jakbyś kiedy szukał pracy, to zgłoś się do naszej centrali.

- Dobrze - chłopiec uśmiechnął się mimo woli. - Dziękuję.

- To my dziękujemy - odpowiedzieli obaj młodzi mężczyźni wsiadając do swych stateczków i zaraz zniknęli ponad dachami wioski, a raczej poza wciąż jeszcze płonąca świąteczną tęczą.

- Tutaj odchodzę - oznajmił Klocuś skręcając w stronę wymalowanej na płycie szachownicy, na której stały rakiety zawodników. ABZ-22-Bis przyleciał natychmiast po

odstawieniu Ito Oyo do lekarza i towarzyszył Maćkowi, kiedy ten wracał ze swojej wycieczki, która miała być zwykłym spacerkiem, a stała się wielką przygodą.

- Dziękuję ci - powiedział serdecznie chłopiec odprowadzając wzrokiem zwalistą sylwetkę robota. Z oddali dobiegł go cichy pomruk:

- Wszyscy wszystkim dziękują. Co do mnie, nie ma za co. Nie zrobiłbym, tego, gdyby...

Dalsze słowa Klocusia były już niezrozumiałe, ale Maciek pomyślał ze zdumieniem, że jego robot i tak stał się nagle niezwykle rozmowny.

Otwarta hala świetlicy nadal rozbrzmiewała wesołym gwarem. Z głośników płynęła rytmiczna muzyka, na placykach pośród zielonych skwerów widać było tańczące pary. Ale coraz więcej okien wioski olimpijskiej zapalało się łagodnym światłem. Zawodnicy opuszczali powoli festyn. Nic dziwnego, jutro rano - start.

Maciek zboczył z głównej ścieżki. Nie miał ochoty na rozmowy, a już wcale - na tańce. Znowu ogarnęły go wątpliwości. Wielki Ito Oyo jest z pewnością wdzięczny za uratowanie życia, ale nie do tego stopnia, by miał poniechać zawiadomienia Komisji, że robot zawodnika ABZ-22 przyjmuje polecenia od swego podopiecznego. Osłabiony brakiem tlenu uczony mógł w pierwszej chwili nie zwrócić uwagi na ten drobny fakcik. Kiedy jednak przyjdzie do siebie, ani chybi zastanowi się nad tym, co zaszło na przepaścistej skale marsjańskiego Olimpu.

Obok przebiegła roześmiana grupa chłopców i dziewcząt. Maciek zszedł im szybko z drogi i wcisnął się między wielkie, białe stoły, przy których nie było już nikogo. Wszędzie dokoła widniały ślady uroczystego przyjęcia, wydanego na cześć zawodników, tu i ówdzie pozostały jeszcze kosze pełne owoców i butelek helio-coli. Chłopiec zatrzymał się i wychylił duszkiem dwa pełne kubki cierpkiego, musującego napoju.

Zaspokoiwszy pragnienie Maciek dopiero teraz przypomniał sobie, że od przedpołudnia nie miał nic w ustach. Wziął z najbliższego kosza truskawkę, przekroił ją na pół i z rozkoszą wbił zęby w soczysty miąższ. Zjadł całą połówkę, chociaż truskawka była wielkości dorodnej dyni. Na Ziemi nie spotykało się aż tak wielkich. Rosły tylko tutaj, na Marsie, zresztą wyłącznie na plantacjach wysypanych tunitem, czyli specjalnie sprowadzaną księżycową glebą.,

Osuszył wargi wierzchem dłoni, starannie wytarł ręce o wysoką trawę, po czym statecznym krokiem ruszył w stronę swojej kwatery.

Feri demonstrował jeszcze swój powitalny taniec, trzymając w pysku gumową piłeczkę, co pomagało mu wydawać zduszone, przepojone zachwytem pomruki, ale wuj Alf nie uszanował psiego szczęścia.

- A ty gdzie się włączysz, zakało rodziny?! - krzyknął wstając z Maćkowego tapczanu.

- Wszyscy się bawią, by *more maiorum*, obyczajem przodków, uczcić ostatni dzień przed walką, a ty uciekasz w mysia dziurę i...

- ...tam raczysz się w cichości festynowymi przysmakami - wpadła mu w słowo Anna wskazując oskarżycielskim gestem pierś „zakały rodziny”. Maciek spojrzał na punkt, w który mierzył palec kuzynki, i spostrzegł, że spory kawałek dorodnej; truskawki znalazł wygodne leże w kieszonce jego koszulki.

Strzepnął gestem pełnym godności nieszczęsny dowód rzeczowy i potoczył wyzywającym wzrokiem po obecnych.

- Co właściwie robicie wszyscy w moim pokoju? - spytał dobitnie. - Zawodnicy przed startem powinni mieć spokój. Poskarżę się jurorom - utkwiał wzrok w twarzy wuja Alfa, ale natychmiast musiał spuścić głowę sprawiając tym wielką, choć niezupełnie zamierzoną przyjemność Feriemu.

- Maćku! - wykrzyknęła cicho Lena.

- Oto i cały Ciucińska! - wybuchnął brzydkim śmiechem Marek.

- Miałeś być sympatyczny - szepnęła Ina i w tym momencie chłopcu zrobiłoby się zapewne przykro, gdyby wuj Alf zostawił mu na to choć ułamek sekundy.

- O, *vae!* - ryknął. - Biada! Wyhodowaliśmy zmię na własnej piersi! - wykrzywił swoją podłużną, ruchliwą twarz w okrutnym grymasie. - O, *anima vilis!* Podła duszo! Te biedne kobiety zamartwiają się o ciebie, a ty?!

Wzrok Maćka prześliznął się po twarzach „biednych kobiet” i utknął na złotych oczach Iny. Wtedy poczuł, że jemu z kolei uważnie przygląda się ktoś inny. Niechętnie odwrócił głowę i napotkał badawcze spojrzenie Roalda. Cudowny brat cudownej siostry sprawiał wrażenie, że trapi go jakaś szczególna myśl, która właśnie przyszła mu do głowy i wprowadziła do niej odrobinę zamętu. Trwało to jednak krótko. Roald uśmiechnął się do Maćka z wyrazem milczącego porozumienia. A równocześnie z odcieniem satysfakcji, jakby chciał powiedzieć: „A, widzisz?!”

Tego ranka świetlica wyglądała zupełnie inaczej niż wczoraj, podczas Inauguracji. Tylko nieliczną grupkę gości wpuszczono na najwyższe rzędy krzesel. W dole trwała spokojna, ale pełna napięcia krzątanina. Do Komisji Sędziowskiej podchodzili kolejno

uczestnicy Sześcioboju i po krótkiej chwili rozmowy wracali ze szczegółowym opisem pierwszej konkurencji, z wyliczonymi torami, po których miały podążyć ich rakiety, i dodatkowymi zadaniami. Siadali z powrotem na swoich miejscach i przystępowali natychmiast do przeglądania materiałów. Niektórzy uruchamiali swoje muszki i nawiązawszy kontakt z komputerem przydzielonej im rakiety sprawdzali programy, systemy łączności i pilotażu.

- ABZ-22 - padło z głośnika.

Maciek zbliżył się do środkowego stołu i utkwiał nieco niespokojne spojrzenie w pomarszczonej twarzy Alana Tunnera. Przewodniczący jury, zamiast - jak to robił dotychczas - powitać zawodnika i od razu przystąpić do omówienia przygotowanych dla niego dokumentów, nagle wstał. Chłopiec zdrętwiał. Spojrzał gorączkowo po pozostałych sędziach i natrafił na rozjaśnione szerokim uśmiechem oblicze, które mogło należeć do dwudziestoletniego chłopca, ale naprawdę należało do słynnego uczonego. Maciek po raz pierwszy ujrzał profesora Ito Oyo bez próżniowego kasku i nawet w stanie trwożnego oszołomienia, w jaki wprawilo go zachowanie przewodniczącego jury, zdołał się jednak ponownie zdziwić, że wielki bionik wygląda tak młodo.

- Wczoraj wieczorem - powiedział do mikrofonu Alan Tunner - kiedy bawiliśmy się na festynie, jeden z zawodników wolał pójść na spacer w stronę gór. Traf chciał, że w tym samym czasie na ścianie Olimpu utknął znakomity uczoney i sportowiec, profesor Ito Oyo.

Po sali przebiegł leciutki szmerek, ale do Maćka docierało tylko i wyłącznie to, co mówił Tunner. Na razie wszystko w porządku. Co będzie dalej?...

- Zawodnik, o którym mowa, pierwszy spostrzegł sygnały i pośpieszył na ratunek. Zdażył w ostatniej chwili, ponieważ lina, na której zawisł profesor, była już niemal do cna przetarta. Poza tym profesor Ito Oyo miał rozbitą butlę tlenową. Dzięki przytomności umysłu tego oto młodego człowieka - tu przewodniczący ceremonialnie skłonił głowę przed Maćkiem - który potrafił znakomicie pokierować swoim robotem opiekuńczym, nie doszło do tragedii. Mój uczoney kolega - Tunner posłał uśmiechnięte spojrzenie słynnemu bionikowi - prosił mnie, żebym oficjalnie podziękował zawodnikowi ABZ-22 za uratowanie mu życia. Równocześnie profesor Ito Oyo złożył uroczyste przyrzeczenie, że przynajmniej do zakończenia Sześcioboju nie będzie podejmował samotnych wypraw w góry...

Ostatnie słowa Tunnera sala powitała cichym śmiechem, który jednak natychmiast przeszedł w gromkie brawa.

- O, podła duszo! O, zakało rodziny! - dobiegł od sąsiedniego stolika grzmiący baryton wuja Alfa. - Nic nam nie powiedział!

- Brawo, Ciuciuśka! - zawtórował historykowi z górnej części sali inny znajomy głos, który podziałał na chłopca jak zimny prysznic. Otrząsnął się z obrzydzeniem i głęboko wciągnął do płuc powietrze.

- Profesor Ito Oyo - w głosie Tunnera brzmiał teraz tłumiony śmiech - będzie miał z pewnością szczególne względy dla swego wybawcy, wobec tego, gwoli sprawiedliwości, wypada mi polecić go czulej uwadze pozostałych kolegów jurorów - zanim ktokolwiek zdążył się roześmiać, przewodniczący nagle spowaźniał. - To wszystko. Przepraszam za zakłócenie porządku przygotowań do startu... i dziękuję ci, ABZ-22, w imieniu nas wszystkich.

Maciek nie mógł sobie przypomnieć, w jaki sposób wrócił na swoje miejsce. Kiedy oprzytomniał, dokoła niego panował szmer przyciszonych głosów. Przetarł oczy i próbował zająć się swoimi instrukcjami. Nie zdążył im jednak poświęcić należytej uwagi, bo z głośnika popłynął sygnał Astroniady, po którym rozległy się słowa:

- Uwaga, zawodnicy! Proszę się przygotować!

- Maćku - wuj Alf posłużył się tym razem scenicznym szeptem - od *multos annos!* Długich lat! Powodzenia, gwiazdor obie!

Tego ostatniego epitetu przyszył konstruktor Ośrodka Badań Pozaukładowych nie puściłby mimo uszu, gdyby nie to, że właśnie padła komenda:

- Zawodnicy, do raket!

S.O.S.

- Kurs: zero, zero, siedem - powiedział Maciek patrząc z uwagą w ekran.

- Zero, zero, siedem - odpowiedział jak echo komputer.

Na seledynowej tarczy, umieszczonej z lewej strony fotela, ukazał się już cel lotu. Maleńki świecący punkcik w mrowiu asteroidów. Wawel. Ciało, a raczej ciało niebieskie, noszące swoją dumną zamkową nazwę od prawieków, na pamiątkę rodzinnego kraju odkrywcy.

Przedziwnie wygiętą linią zmierzała do tego celu trasa, którą pokonywał stateczek zawodnika ABZ-22. Zadanie było niby proste. Po pierwsze - lot w nieważkości. Po drugie - lądowanie na asteroidzie i założenie tam prowizorycznej bazy. Ale tak, jak to robili pierwsi kosmonauci, penetrujący obszar między Marsem a Jowiszem. Dlatego zawodnik nie miał do dyspozycji nowoczesnego sprzętu, tylko najprostsze laserowe koparki. No cóż. Konkurencja była „historyczna” i rozgrywano ją właśnie na pamiątkę tych, którzy jako pierwsi przekroczyli orbitę Marsa.

Wokół głowy pilota pływały powoli, jak na zwolnionym filmie, nieliczne luźne przedmioty znajdujące się w maleńkiej kabinie. To, co najważniejsze, płyty folii ze szczegółowymi danymi dotyczącymi kursu, były starannie przymocowane do krawędzi głównego ekranu.

Jak dotąd wszystko szło nieźle. Maciek panował nad swymi ruchami pamiętając o tym, że jego ręce, głowa i nogi nie ważą nic. Pierś opasywała mu szeroka wstęga przymocowana do fotela. Tak właśnie latali piloci pierwszych prymitywnych statków.

Tor wytyczony przez jurorów przebiegał z dala od wszystkich ruchliwych szlaków. Dlatego od samego startu chłopiec nie ujrzał ani jednej świetlnej boi, ani jednego swojskiego znaku informującego, że jest na właściwym kursie. Wiedział, rzecz jasna, że gdzieś w przestrzeni, niedaleko niego, posuwają się rakiety kontrolne Komisji, że tuż nad jego stateczkiem sunie bezgłośnie ABZ-22-Bis, ale to nie łagodziło uczucia osamotnienia.

Mniej więcej w połowie drogi mignął mu za iluminatorem czarny na tle gwiazd kontur bliźniaczej rakiety. Jakiś inny zawodnik szedł zbliżonym torem. Wkrótce jednak rozpląnął się wśród gwiazd. Nie było dwóch takich samych tras. To nie bieg przełajowy na Ziemi, lecz Sześciobój Kosmiczny.

Na pulpicie pod ekranem zapaliła się i zgasła czerwona lampka. „Cóż to znowu...” - zachnął się Maciek. Czekał przez chwilę, po czym zerknął na ekran. Dosłownie w ostatniej

chwili.

- Kurs: jeden, zero, trzy - rzucił gorączkowo.

- Kurs: jeden, zero, trzy - powtórzył komputer jakby z nutką ulgi.

Na czoło Maćka wystąpiły kropelki potu. Uff... Jeszcze ułamek sekundy, a byłby przegapił kolejny zakręt i wypadł z trasy. Rupieć!

Ponownie spojrzął na pulpit i wtedy czerwona lampka ożyła znowu. Tym razem zapaliła się i zgasła dwukrotnie, a jej światło było odrobinę ostrzejsze.

- Sygnał alarmowy - oznajmił komputer.

„Zaczynają się sztuczki” - pomyślał chłopiec. No cóż, było jasne od początku, że jurorzy nie poprzestaną na samym tylko „pionierskim” locie, lecz poddadzą zawodników dodatkowym próbom.

- Weź namiar - powiedział szybko. - Nic nie słyszę...

To było najdziwniejsze. Sygnał alarmowy nadaje się na wszystkich pasmach częstotliwości. Maciek powinien był go usłyszeć, nie tylko zobaczyć. Może ten, kto wzywa ratunku, ma uszkodzony nadajnik?

- Trzy, zero, zero, jeden - padło z głośnika.

Chłopiec poprawił się ostrożnie w fotelu, po czym sięgnął do pulpitu łączności.

- Uwaga, wszystkie bazy w rejonie asteroidów - powiedział regulaminowo. - Uwaga, dyspozytorzy. Zawodnik ABZ-22 odebrał sygnał alarmowy. Sektor trzy, zero, zero, jeden. Czekam na dyspozycje.

- Uwaga, ABZ-22 - zabrzmiał tuż przy głowie chłopca łagodny, męski głos. - Meldunek przyjęty. Jesteś najbliższej uszkodzonej jednostki. Polecam ci zejść z kursu i udać się na ratunek. Koniec.

Maciek poruszył sterami. Raketka posłusznie zatoczyła ostry łuk i wzięła kurs prosto na Syriusza. To właśnie w kierunku wskazywanym przez tę jasną gwiazdę znajdowała się jednostka, którą należało „uratować”.

Minęły zaledwie trzy minuty i chłopiec mógł ponownie wezwać punkt kontrolny Komisji.

- Tu ABZ-22 - powiedział. - Widzę statek wzywający pomocy, ale nic nie słyszę. Chyba ma uszkodzone nadajniki. Przystępuję do akcji.

- Co masz zamiar zrobić?

- Podejść do uszkodzonej jednostki, a następnie opuścić raketę i udać się na ratunek w samym skafandrze. Przedtem zaprogramuję automatycznego pilota.

- Dobrze. Koniec.

Regulamin akcji ratowniczych był jedną z mocniejszych stron przyszłego konstruktora gwiazd. Maciek nie odczuwał niemal żadnych emocji, kiedy po wydaniu poleceń automatycznemu pilotowi otworzył właz i posługując się małym pistolecikiem gazowym dał nura w czerń próżni, pomiędzy światelka dalekich słońc.

Zaledwie dwa razy pociągnął za spust, a już popchnięty odrzutem pistoleciku, dotknął pancerza unieruchomionego statku. Był znacznie większy niż sportowa rakietka, toteż upłynęła dobra chwila, zanim szorując rękawicami po jego chropowatej powłoce dotarł do włazu. Odsunął rygiel, uruchomił półautomat zamka i sekundę później wpływał już głową naprzód do śluzy.

- Hau! Hau!

No, i na nic zdała się świadomość, że cała ta „akcja ratownicza” jest tylko dodatkową przeszkodą wymyśloną przez jurorów. W statku był pies. Szczekał zupełnie jak Feri... Maciek rzucił się rozpaczliwie przed siebie. Uderzył kaskiem o framugę wewnętrznych drzwi śluzy, aż mu w oczach pociemniało. Następnie odbił się kolanami od podłogi i z kolei powędrował pod sufit.

- Hau! Hau!

Zaraz... czy to szczekanie nie jest jakieś dziwne? Jakby ktoś udawał...

- Hau! Hau!

Żaden pies nie szczeka tak regularnie. Dwa razy i przerwa. Dwa razy i przerwa...

Maciek nie bez pewnych trudności powrócił do pozycji pionowej i zapalił reflektor. Światło wyłuskało z mroku pocziwy, wąsaty pysk, załśniło na gładkiej głowie, odbiło się w wielkich, ciemnych oczach... Feri! Naprawdę, Feri!

Chłopiec rozejrzał się gorączkowo. Tuż obok, w specjalnej niszy, wisiały skafandry. Zwykle, ludzkie skafandry. O wiele za duże jak na przeciętnie wyrosniętego spaniela. Ale co było robić? Maciek porwał pierwszy z brzegu, chwycił nieszczęsnego czworonoga za kark i zaczął wpychać biedny psi łeb w otwór skafandra.

- Dobrze już, dobrze - powiedział pies. - Możesz sobie darować. Ja nie potrzebuję powietrza.

Upłynęło co najmniej pięć sekund, zanim chłopiec mógł mruknąć:

- Rupiec...

- Co powiedziałeś? - zainteresował się rzekomy Feri.

- Powiedziałem, że jak długo żyję, nie słyszałem o głupszym dowcipie - rzekł głośno Maciek wiedząc, że każde jego słowo dociera do jurorów. - Ja bardzo lubię mojego psa... Uważam, że zbudowanie automatu, który jest tak bardzo do niego podobny, i porzucenie go w

próżni, to zwykle świństwo.

- Po pierwsze - odpowiedział nieprawdziwy pies - nie żyjesz aż tak długo, żebyś mógł się na to powoływać...

- Mądrała!

- Po drugie - ciągnął z niezmaconym spokojem osobliwy pasażer zepsutego statku - jeśli buduje się automaty podobne do ludzi, to nie widzę powodu, dla którego nie miało być takich, które przypominają psy. Co do mnie, mam zaprogramowane instynkty typowe właśnie dla tego gatunku. Po trzecie wreszcie, jeśli jestem podobny do jakiegoś tam Feriego, to możesz mięć, o to pretensje tylko do Marka. To on mnie skonstruował i nadał mi taką postać.

- Rupieć! - wrzasnął Maciek robiąc ruch, jakby miał zamiar pognać do rakiety i natychmiast wyruszyć na poszukiwanie swojego mądrego brata. - Na razie jednak znowu stuknął kaskiem o framugę i to przywołało go do porządku. Mareczek drogo mu zapłaci za swoje, w dosłownym tego słowa znaczeniu, psie figle, ale teraz trwa wyścig. Kto pierwszy zamelduje o zbudowaniu bazy na wskazanej mu przez Komisję asteroidzie...

- Mówi ABZ-22 - powiedział już mniej więcej normalnym tonem. - Wewnątrz uszkodzonego statku znajduje się automat o postaci psa. Zgodnie z regulaminem zabieram go ze sobą. Czy mam wziąć na hol zepsutą raketę?

- ABZ-22, wracaj na swój tor i wykonuj dalej zadanie. Statek zostaw tam, gdzie jest. Koniec.

- Nie trzeba - mruknął Feri-Bis, kiedy chłopiec, ponownie wypływając w próżnię, chciał go wziąć pod pachę. - Mam własny napęd.

- W takim razie leć jak najszybciej do mojego statku, a ja przytrzymam się twojego ogona - wykorzystał sytuację Maciek. - No, już!

Pies otworzył pysk ukazując nieco zbyt równe i białe zęby, ale posłusznie wykonał polecenie. „Nie jest najgorzej” - pomyślał chłopiec. Najniespodziewaniej zdobył robota, który zupełnie legalnie może przyjmować od niego rozkazy...

Łatwo zejść z wytyczonego szlaku, ale znacznie trudniej trafić na niego z powrotem. Mimo to Maciek poradził sobie dość gładko. Wrócił na swój fotel, umieścił „psa” obok siebie, a następnie pewnym ruchem ustawił stery i podał kurs komputerowi:

- Dwa, dwa, zero.

- Kurs: dwa, dwa, zero - powtórzył głośniczek.

Minutę później na tarczę kontrolnego ekranu znów wpłynął srebrny symbol stateczku. Chłopiec odetchnął z ulgą, jeszcze raz skorygował kurs i wtedy dopiero odezwał się do

swojego osobliwego gościa:

- Właściwie powinienes lecieć z Klocusiem na zewnątrz. Tylko że to mogłoby się nie spodobać panom sędziom. Musiałem cię wziąć na pokład jako „uratowanego”. Inaczej nie zaliczyliby mi tego etapu.

- Osobiście nie mam nic przeciwko temu, że jestem z tobą, a nie w próżni - odpowiedział leniwie pies. Jego trochę sztywny ogon wykonał kilka wahadłowych ruchów. - Pomijając fakt, że tutaj jest jednak bezpieczniej, czuję twój zapach. Lubię to. Powiedziałem ci już przecież, że oprócz zwykłych elementów programu wprowadzono do mojego systemu nerwowego psie instynkty.

„Systemu nerwowego - powtórzył w myśli Maciek z melancholijną ironią. - Też coś!...”

Rakietka wykonała kolejny łuk, a potem jeszcze jeden. Na wykresie pozostał ostatni ostry zakręt, za którym zupełnie prosty odcinek prowadził bezpośrednio do celu. Wawel rozrósł się na ekranie do rozmiarów małej, lekko świecącej poziomki.

Chłopiec obejrzał uważnie drgające wskazówki zegarów. Silnik pracował bez zarzutu, a Maciek poprawnie wchodził w łuki i nawet podczas najgwałtowniejszych zmian kursu nie tracił szybkości. Jeśli pominąć tę idiotyczną „akcję ratunkową”... ale sędziowie musieli przecież odliczyć czas stracony na wyprawę po „Feriego”.

Stateczek przeskakiwał właśnie przez ten ostatni ostry zakręt, kiedy słuchawki odezwały się piskliwym staroświeckim kodem: S.O.S! S.O.S! S.O.S!...

Maciek wycedził przez zaciśnięte zęby:

- ABZ-22 odebrał wezwanie o pomoc, nadane z... - przez moment patrzył w ekran, na którym zapłonęła nowa, czerwona gwiazda - Sektora siedemnaście, zero, osiem. Przystępuję do akcji.

- Zrozumiałem, ABZ-22. Podejdz do jednostki wzywającej pomocy i przekonaj się, co tam jest. Koniec.

Maćkowi wydawało się, że nieznany juror, wydając mu to ostatnie polecenie, uśmiechał się. „Dobrze się bawią” - pomyślał z wściekłością i pchnął stery nieco gwałtowniej niż należało.

Tym razem nie był to statek, lecz niewielki satelita zwiadowczy, od jakich roi się w okolicach asteroidów. Nie miał ani świateł pozycyjnych, ani oznakowanego - jak nakazują przepisy - lądowiska. Chłopiec nie zawahał się jednak ani chwili. Zapalił reflektory, a następnie usiadł spokojnie na szerokiej stalowej łapie, przystosowanej do przyjmowania gości przybywających z kosmosu.

Sztuczny księżyc zbudowano z metalu i magnetyczne buty Maćka zapewniały mu względną swobodę ruchów. Przeszedł przez lądowisko w towarzystwie Klocusia, który spłynął z góry jak monstrualny nietoperz, po czym nie zwlekając przystąpił do odmykania włazu. Wszedł do śluzy, uruchomił sprężarki i cierpliwie poczekał, aż ciasna komórka wypełni się powietrzem. Dopiero kiedy nad wejściem prowadzącym do wnętrza satelity błysnęła zielona strzałka, otworzył je i wszedł do środka.

- Hau! Hau! Hau! Krrrr - odezwało się w zupełnej ciemności.

Chłopiec jęknął głośno. Czy oni już nigdy nie wymyślą niczego innego?! Czy wszędzie, gdzie zostanie wezwany, będą go witać sztuczne psy?!

- Krrrrr...

Coś otarło się Maćkowi o nogi. Poczul dotknięcie miękkiej sierści, spazmatyczne ruchy krótkiego ogona z miękką kitką na końcu i to mruczenie, specjalność zastrzeżona dla nielicznych wybranych...

Chłopiec zapalił podręczny reflektorek i skierował jego światło pod nogi. Trzeba przyznać, że Marek nabrał wprawy. Żywy, rozdziawiony w uśmiechu pysk, jedyny w swoim rodzaju powitalny taniec polegający na wymyślnych wygibasach nagle skróconego tułowia...

- No, trudno - westchnął. Skoro tak się podoba panom jurorom, musi „uratować” jeszcze jednego psa.

Próżniowe skafandry i tutaj wisiały obok śluzy. Chłopiec zdjął pierwszy z brzegu i kucnął.

- No, chodź - zwrócił się zapraszająco do psa. W odpowiedzi usłyszał głośniejszy pomruk, a zaraz potem po szybie jego kasku przesunął się różowy język, pozostawiając wyraźny, mokry ślad.

„Czy sztuczny...” - zdążył pomyśleć chłopiec, gdy nagle kabinę „opuszczonego” satelity zalało łagodne, mleczne światło. Pod przeciwległą ścianą ukazał się jakiś mężczyzna, a obok niego uśmiechnięta... ciocia Basia. Mężczyzna, który na ramieniu swojego śnieżnego kombinezonu nosił odznakę jurora, powiedział oficjalnym tonem:

- Zawodnik ABZ-22 zameldował się na punkcie kontrolnym.

- Jestem tutaj, bo na Czerze zepsuły się urządzenia klimatyzacyjne i proszono mnie, żebym w drodze powrotnej je obejrzała - wyjaśniła swoją obecność na pokładzie sędziowskiego satelity ciocia Basia.

Maciek niezbyt przytomnie odebrał z rąk mężczyzny kartę potwierdzającą, że pomyślnie przebrnął przez pierwszy etap pierwszej konkurencji, po czym odruchowo pogłaskał psa. Jak mógł choć przez chwilę pomyśleć, że to jeszcze jeden popis Marcuszka!

- Radzę się pośpieszyć - powiedział z lekkim uśmiechem sędzia. - Inni nie bawią się teraz z psami, tylko pędzą do mety. Przed tobą jeszcze budowa bazy.

Maciek wyprostował się od razu.

- ABZ-22 prosi o pozwolenie na start.

- Przecież ci mówię, żebyś leciał - ponaglił go całkiem nieregulaminowo mężczyzna, a ciocia Basia dodała: - Powodzenia...

„Dobrze, że nie: gwiazdorobie” - przypomniał sobie chłopiec i mimo woli zacisnął pięści. Był zły jeszcze wtedy, kiedy już siedział z powrotem w swoim fotelu i patrzył na przesuające się leniwie gwiazdy.

- Żałuję, że cię nie wziąłem - odezwał się w pewnym momencie, zerkając na swojego pasażera. Wyobraził sobie powitanie dwóch Ferich i uśmiechnął się na myśl o tym prawdziwym, żywym.

- Ja wiedziałem, że on tam jest - odpowiedział spokojnie Feri-Bis. - Dlatego wołałem zostać tutaj. Inaczej nie czekałbym na twoje zaproszenie.

- Nie jesteś moim robotem opiekuńczym i powinienesz robić to, co ci każę - odparł niegrzecznie Maciek.

- Owszem. Ale nie zabraniałeś mi iść z sobą.

- Czy ty zawsze musisz mieć rację?

- Nie - sztuczny pies jakby westchnął. - Ale przeważnie tak bywa. Nie moja wina - zakończył przepaszająco.

Chłopiec umilkł. Rakietka leciała prościuteńkim torem ku Wawelowi, małej, zagubionej w przestrzeni asteroidzie, na której zawodnik ABZ-22 miał zbudować „pionierską” bazę.

Niestety, okazało się, że spotkanie z żywym tym razem Ferim nie było ostatnią przygodą, która przeszkodziła Maćkowi w szybkim dotarciu do mety pierwszego etapu. Pulpit sterowniczy jego statku raptem rozjarzył się czerwoną łuną. Równocześnie i głośnik, i słuchawki ryknęły sygnałem alarmu.

- Uwaga, zawodnicy BAW-3 i ABZ-22! Zawodnicy BAW-3 i ABZ-22, zgłosić się!

- ABZ-22 odebrał sygnał alarmowy - powiedział nieswoim głosem Maciek.

- Ostrzeżenie specjalne. Alarm nie ma nic wspólnego z zawodami. Za osiemnaście sekund Wasze rakiety dostaną się w strumień meteorów pozaukładowych. Przekażcie stery automatycznym pilotom i włączcie awaryjne programy.

Maciek machinalnie przesunął rączki sterownicze. Ni stąd, ni zowąd stanęła mu przed oczami postać Iny. Powiedział:

- ABZ-22. Wykonałem. Czy oprócz dwóch wymienionych inne statki także dostaną się między te meteory?

- Nie. BAW-3, ty znajdziesz się na skraju strumienia. Manewruj tak, żeby wyjść na wolną przestrzeń. Tobie, ABZ-22, to się nie uda. Opóźniaj lot. Lawiruj między meteorami i pozwól im się wyprzedzić. Ławica nie jest zbyt duża. To nie powinno trwać dłużej niż pół minuty. Pamiętaj, że jesteś już blisko Wawelu. Uważaj. Powtarzam: staraj się opóźnić lot. Melduj o wszystkim.

- Zrozumiałem - odparł Maciek odruchowo poprawiając się w fotelu. W tym samym momencie rakieta podskoczyła jak wózek, który w największym pędzie trafił na pień zwalonego drzewa. Pół sekundy Spokoju i drugi wstrząs. Ściany kabiny zadrgały. W słuchawkach zaczęło narastać chrapliwe wycie. Meteory nie przerwały łączności, ale ją zniekształcały.

- Głupia historia - powiedział pies, który właśnie wyrznął łbem w sufit, a następnie przetoczył się przez oparcie fotela i wylądował na zamkniętej klapie bocznego awaryjnego wjazdu. - Bardzo głupia historia - powtórzył z przekonaniem, wymachując rozpaczliwie wszystkimi czterema łapami, by wrócić na poprzednie, względnie wygodne miejsce.

Chłopiec był skłonny z nim się zgodzić, nie miał jednak czasu na rozmowy. Wprawdzie raketę prowadził automatyczny pilot, ale sytuacja wymagała zachowania najwyższej uwagi. W każdej chwili mogło dojść do uszkodzenia którejś z anten, a wtedy nie wiadomo, czy komputer, który odbierał radarowe echa nadciągających z przestrzeni meteorów, potrafiłby nadal tak samo sprawnie bronić stateczku przed zderzeniem.

Poza tym spróbujcie oddać się nieobowiązującej wymianie zdań - chociażby z własnym sztucznym psem, kiedy co sekundę, lub nawet częściej żołądek uderza wam o brodę, a stalowa klatka, w której tkwicie, wykonuje najdziksze podskoki. Maciek miał wrażenie, że jego ciało składa się z luźnych, rozklekotanych cząsteczek i że kiedy cały ten piekielny taniec wreszcie ustanie, rozsypie się po prostu jak źle złożony budzik.

Tymczasem „zabawa” szła dalej na całego. Automatyczny pilot w setnych częściach sekundy to hamował gwałtownie, to pośpieszał, to uciekał na boki, byle tylko ominąć mknące w próżni śmiercionośne okruchy dalekich globów.

W pewnym momencie odezwał się znowu zniekształcony głos tego samego dyspozytora, który pierwszy ostrzegł zawodników przed niebezpieczeństwem:

- Brawo, BAW-3! Udało ci się, jesteś już poza zagrożoną strefą. Odczekaj pół minuty, a potem wracaj na swój tor i walcz dalej. Odliczymy ci ten czas zabrany przez meteory. Uwaga, ABZ-22!

- Słuuuuucham - jęknął Maciek, który akurat w tym momencie wykonał wraz ze swoją rakieta okrutny skok do tyłu.

- Widzę, że idzie ci nie najgorzej - mówiący najwyraźniej nie był zbyt przejęty sytuacją. - Jeszcze osiem sekund... widzimy cię na naszych ekranach... jeszcze pięć sekund... kiedy to się skończy, zrób tak samo jak BAW-3. Potem ląduj na Wawelu i zabieraj się do roboty. Nic ci już nie grozi.

- U mnie spokój - odpowiedział z ulgą Maciek, który nagle poczuł się cudownie lekki.
- Zrozumiałem.

Ciszę przerwał po chwili spokojny głos Feriego-Bis:

- No, jeden-zero dla nas. Czy myślisz, że on wytrzymałby tę huśtawkę?

Maciek spojrzał ze zdziwieniem pod nogi i raptem zdał sobie sprawę, że automat ma na myśli swojego żywego sobowtóra.

- Nie wiem - powiedział. - Dlaczego o to pytasz?

- Tak sobie - niewyraźnie mruknął sztuczny czworonóg.

Ale chłopiec zrozumiał i aż uniósł się ze zdziwienia.

- Czyżbyś był o niego zazdrosny? Ty? O żywego psa?

- Ależ skąd... - bąknął bez przekonania automat. Zamruczał coś niezrozumiale, po czym niespodziewanie dodał: - A właściwie dlaczegoż by nie? Jeszcze raz przypominam, że w moim programie uwzględniono psie instynkty. Przyzwyczałem się do twojego zapachu, a o ile mi wiadomo, psy są zazdrosne... i nikt się temu nie dziwi.

Maciek pokręcił z niedowierzaniem głową, ale nic już nie powiedział. Pół minuty minęło i trzeba było na powrót zająć się pilotażem.

Wawel wyłonił się z mroku jak odłamek skorupy ogromnego, rozbitego siwaka. Z planetki sterczały wysokie, zaostrome skalne sopte i graniaste głazy. Tu i ówdzie otwierały się w niej głębokie rozpadliny i przepaściste studnie.

Maciek osadził rakieta na maleńkiej platformce pokrytej kamiennym rumowiskiem; dokładnie tam, gdzie na otrzymanej od Tunnera mapce widniał czerwony krzyżyk.

Otworzył właz i przez chwila rozglądał się po otoczeniu. W świetle reflektora poruszały się wydłużone, groźne cienie padające od skał. Krajobraz był, co się zowie, dziki.

- Szkoda czasu - mruknął pod nosem i jednym susem zeskoczył z rakiety. Odbił się i byłby niechybnie poszybował w otaczającą asteroidę przestrzeń, gdyby nie to, że w ostatniej chwili udało mu się przytrzymać anteny.

- Rupieć! - syknął. Zapomniał, że na tym maleńkim globie człowiek nie waży prawie

nic i że każdy nieostrożny ruch może się skończyć nieobliczalną, samotną podróżą. Oczywiście, robot opiekuńczy i sędziowie nie daliby mu zginąć, ale straciłby tyle punktów, że o zajęciu dobrego miejsca w Sześcioboju nie byłoby co marzyć.

- Szkoda czasu - zgodził się Feri-Bis ukazując rozdziawiony pysk nad krawędzią wjazdu. W pierwszej chwili chłopiec chciał mu powiedzieć, żeby wracał do stateczku, ale rozmyślił się. W górze, ledwie widoczny na tle gwiazd, wisiał ABZ-22-Bis. Ten się nie liczy, a w końcu lepiej mieć choćby takiego towarzysza jak sztuczny pies, niż nie mieć nikogo.

Powoli, krok za krokiem, Maciek obszedł placyk dokoła rakiety. Miejscami stopy grzęzły mu w skalnym usypisku, gdzieś tam głazy przebijały na zewnątrz i trzeba było bardzo uważać, żeby się na nich nie pośliznąć. Upadek groził uszkodzeniem skafandra, a to oznaczałoby katastrofę.

Mimo woli chłopiec pomyślał o ludziach, którzy w taki oto sposób, pozbawieni nowoczesnego sprzętu, lądowali na obcych globach, badali je, zakładali pierwsze śmieszne bazy, podobne do przekrojonych piłek o bardzo grubych ścianach. Przecież teraz, aby zbudować bazę, wystarczyłoby użyć zwykłego zestawu konstrukcyjnego. W okamgnieniu płomienisty język przejechałby po rumowisku zmieniając je w idealnie gładką płytę. Zanim grunt zastygłby na dobre, automaty wbudowałyby w półpłynną masę prowadzące do wnętrza asteroidy szyby, którymi potem wydobywałoby się paliwo, wodę, żywność i tlen, przetwarzane ze skał. Następnie przykryłyby to wszystko cienką pancerną kopułą. Nad nią rozciągnęłyby niewidoczną pajęczynę, chroniącą przed promieniowaniem i meteoritami. Wszystko razem zajęłoby nie więcej niż pięć, sześć minut.

Ale dawniej? Kiedy przed takim, jak on teraz zadaniem stawali nie sportowcy, „sprawdzający siebie wobec przodków”, tylko kosmonauci zdani wyłącznie na swój prymitywny sprzęt, przywiezione zapasy tlenu, wody, żywności?

- Szkoda czasu - powtórzył z naciskiem „pies”. Maciek aż przysiadł, tak ostro i niespodziewanie zabrzmiał na tym pustkowiu głos kosmatego robota. Mruknął: „rupiec”, po czym potrząsnął głową i nie zwlekając już dłużej wziął się do pracy.

Wybrał skrawek rumowiska przytykający do pionowej skały tworzącej naturalną osłonę przyszłej „bazy”. Następnie okrążył jej obwód, paląc przed sobą grunt skupioną wiązką promieni. Dobrze, że przynajmniej lasery wynaleziono, zanim w kosmos ruszyli pierwsi badacze. Dzięki temu stosunkowo szybko powstał teraz zarys fundamentów przyszłej budowli.

Chłopiec ruszył w powrotną drogę do rakiety po łopatę, kilof i dwa prymitywne półautomaty, które stanowiły całe jego wyposażenie. Wykopał dół, następnie maszyny

wzniosą ściany, które Maciek spoi także laserem, drzwi zrobi z folii, a potem? Jeszcze anteny, śluza, sprężarki...

Jakoś to będzie. Najpierw trzeba wryć się w rumowisko przynajmniej na głębokość dwóch metrów.

Wszedł do rakiety, przeciskając się obok „psa”, który ani myślał ustąpić mu z drogi, i nagle olśnił go pewien pomysł. ABZ-22-Bis mógł postawić bazę bez najmniejszego trudu, ale zawodnikowi nie wolno wydawać poleceń robotowi opiekuńczemu. Dziwna rzecz: Maćkowi, który poświęcił tyle wysiłku, by nielegalnie przekonstruować swojego robota, teraz nie przyszło nawet do głowy skorzystać z własnej przedsiębiorczości. Klocus odpada. No tak. Ale przecież w regulaminie nie ma ani słowa o automatach podrzuconych sportowcom po drodze. Chcieli, żeby Maciek „uratował” psa? Świetnie! Co to takiego mówił ten sztuczny Feri o wbudowanych do jego programu psich instynktach?...

- Hej, mały! - zawołał patrząc prosto w błyszczące, ciemne psie oczy - chcesz kamyczek?!

Ogon sztucznego czworonoga poruszył się kilkakrotnie, Maciek zatarł ręce.

- Choć no tutaj! - zeskoczył ze statku, nie zapominając przytrzymać się anteny, i wrócił na teren przyszłej bazy. Przekroczył wypaloną bruzdę i odwrócił się. „Pies” stał w wyczekującej pozycji i przyglądał mu się badawczo.

- Szukaj, piesku, szukaj - krzyknął chłopiec rozgarniając zapraszająco obiema rękami luźne kamienie.

Robot jakby tylko na to czekał. Wydał krótki, gardłowy dźwięk i zaczął zajadle kopać. Większe i mniejsze okruchy skał śmigały na wszystkie strony, pod węższą nieustannie psią mordą zaczął się pogłębiać szeroki otwór.

- A teraz tutaj - Maciek, który zaczął „zabawę” od środka zarysowanego koła, teraz stopniowo zmierzał ku jego okręgowi. Czworonóg posłusznie postępował za nim, nadal skwapliwie i szybko przebierając przednimi łapami.

- Dobry piesek, dobry - mówił od czasu do czasu chłopiec. Ale ten Feri nie potrzebował żadnej zachęty. Kopał tak zajadle i systematycznie, że żaden specjalistyczny automat nie spisałby się lepiej. Kiedy docierał do wytyczonej granicy bazy, Maciek wracał ku środkowi i zabawa zaczynała się od początku. Każdy prawdziwy spaniel, ba, nawet największy dog, dawno padłby już ze zmęczenia. Ale mechaniczne łapy zwierza pracowały bez wytchnienia. „To dopiero zrobi minę, kiedy się dowie - pomyślał Maciek o najstarszym potomku rodziny Całków i uśmiechnął się szeroko. - Swoją drogą, sprytnie to wykombinowałem - pochwalił sam siebie. - Przechytryć wroga, to dopiero sztuka!”

Po jedenastu minutach wykop był gotów.

- No, piesku, dosyć! - zawołał chłopiec. - Dosyć, mówię! - przestraszył się, bo „pies” kopał i kopał, całkiem jak żywy Feri, kiedy uznał, że zabawa jest zbyt dobra, aby ją przerywać.

Maciek raz jeszcze okazał istic szatańską chytróść.

- Piesku! - podniósł kamień i ostentacyjnie zaczął go ważyć w dłoni. - Piesku, tutaj!

Czworonożny robot znieruchomiał. Chwilę patrzył wyczekująco, a następnie zaczął się powoli skradać na lekko ugiętych łapach. Chłopiec zaśmiał się tryumfalnie.

- Łap! - krzyknął rzucając kamień w stronę rakiety.

„Pies” pognął natychmiast, przeskakując sterczące z osypiska głązy, i zniknął w ciemności.

Przed zawodnikiem ABZ-22 widniał gotowy wykop pod fundamenty. Przyjrzał mu się z zadowoleniem, po czym przywołał półautomaty. Wydał im polecenia i najspokojniej usiadł na kamieniu. Teraz pozostało mu tylko czekać, aż maszyny wzniosą surowe mury bazy.

W tym momencie czerwona lampka pod okapem jego kasku zapaliła się ostrym, kłującym światłem.

„Znowu?” - pomyślał ze złością chłopiec, ale posłusznie wcisnął klawisz swojej muszki.

- Brghkwrrr... - warknęło w słuchawkach.

- ABZ-22 odebrał sygnał alarmowy - rzucił nie zrażony tym niezrozumiałym bełkotem Maciek. - Odbiór,

- Hrh... - znowu chrobotnęło coś okropnie, po czym nastąpiła nagle cisza. Chłopiec wstał. To nie wyglądało na jeszcze jeden „żart” Komisji Sędziowskiej.

Rozejrzał się niespokojnie. Półautomaty pracowały spokojnie jakby nigdy nic. W górze lśniły gwiazdy, dalekie, nieruchome. Dokoła cisza i bezruch. Co, u licha!...

- Mówi ABZ-22-Bis - zaszepotało w słuchawkach. - Uwaga! Obcy obiekt... tracę łączność...

- Co się stało, ABZ-22-Bis?! Odpowiadaj!

Przez chwilę trwała zupełna cisza, a po chwili raz jeszcze zaszemrał głos robota:

- Tracę energię... nie mooogę...

Chłopiec rozejrzał się rozpaczliwie.

- ABZ-22! ABZ-22! - rzucił gorączkowo. - Mój robot traci energię! Nie mam kontaktu! Halo!!!

Brak odpowiedzi.

Wokół nadal spokój. W świetle reflektorów poruszały się miarowo pająkowane sylwetki półautomatów. Kontury rakiety czerniały wyraźnie na tle gwiazd.

U stóp Maćka stanął sztuczny pies. Zapomniał już o zabawie i kamyczkach.

- Co się stało? - spytał swoim nieco zbyt spokojnym ludzkim głosem.

- Nie mam łączności! Mój robot wspomniał o jakimś obcym obiekcie, a potem zameldował, że traci energię...

- Porozumiałeś się z komputerem rakiety?

Chłopiec już, już podnosił rękę, żeby palnąć się otwartą dłonią w czoło, ale przypomniał sobie w porę, że to czoło tkwi za pancerną szybą kasku. Przycisnął dwa klawisze wmontowane w oprawę muszki i spytał:

- Co się stało?

- Nie wiem.

Maciek jęknął, a potem zachnął się.

- Jak to, nie wiesz?! Co to za „obcy obiekt”?! Gdzie jest? Czemu stacje Komisji Sędziowskiej nie odpowiadają? Co się stało?...

- Nie wiem - powtórzył ciszej komputer i niespodziewanie dodał: - Tracę energię... proszę o poomoc... tracę...

Nastąpiło milczenie. Pracujące w wykopie półautomaty wykonały jeszcze kilka leniwych ruchów, po czym zamarły.

Nagle Feriemu-Bis zjeżyła się sierść na grzbiecie. Zadarł pysk do góry i zawarczał odslaniając groźnie swoje nedorzecznie równe zęby. Utkwił ślepią gdzieś w próżni, w czarnym niebie Wawelu, i sprężył się do skoku.

Maciek odruchowo spojrział w górę. Przez mgnienie wydało mu się, że nad majaczącym w mroku kadłubem Klocusia przesuwa się pod gwiazdami jakiś inny, również czarny przedmiot.

W tym momencie Feri-Bis skoczył. Z jego gardła wydobyło się złowrogie bulgotanie, następnie spod psich łap trysnęły smugi odrzutowego ognia. Czworonogi robot z szybkością błyskawicy pomknął w gwiazdy.

- Hej! - zawołał Maciek, na wszelki wypadek jednak niezbyt głośno.

Sierść atakującego psa ostatni raz zaślniła w słabnącym świetle reflektora i znowu nastąpiła cisza. Nie trwała jednak długo.

W górze coś błysnęło, a po chwili rozległ się huk, jakby ktoś uderzył wielkim młotem w skalną ścianę. Zaraz potem niebo opustoszało. Nad sobą Maciek miał już tylko gwiazdy i czern, jeśli - oczywiście - nie liczyć nieruchomego Klocusia. A po kilku sekundach w

słuchawkach zabrzmiały słowa:

- ABZ-22, odezwij się! ABZ-22...

- Jestem... - wykrztusił chłopiec.

- Halo?!

- Tu ABZ-22 - Maciek stwierdził, że jego głos brzmi dziwnie cienko, by nie rzec: piskliwie, ale nie zrażony tym odkryciem mówił dalej: - Jestem na i Wawelu. Zacząłem budować bazę, ale najpierw robot, a potem komputer rakiety odmówiły posłuszeństwa. Co mam robić?

- ABZ-22, bardzo słabo cię słyszę. Wraz ze strumieniem meteorów wpłynął do twojej strefy jakiś obiekt, który zakłóca łączność. Nasza ekipa jest już w drodze. Na razie nie rób nic.

- Jaki obiekt?! A co z zawodami?!

- ABZ-22, nie słyszę cię! Halo, ABZ-22...

Maciek zerknął na kontrolne światelko muszki i zrozumiał, dlaczego tak źle go słychać. Baterijki aparaciku były niemal zupełnie wyczerpane. Włókienka w małej żarówce żarzyły się jeszcze przez moment ciemną czerwienią, po czym zgasły.

„Koniec” - pomyślał. Postał chwilę, wpatrując się w ciemniejący pod jego stopami wykop, po czym zrobił w tył zwrot i bez pośpiechu pomaszzerował w stronę swojego stateczku.

Lampki wskaźników, ekrany, kontrolne światelka pulpitu sterowniczego - wszystko to było ślepe i martwe. Maciek wrócił do wjazdu, wystawił głowę na zewnątrz i zamknął oczy. Czekał.

Spoza skały, pod którą miała powstać prowizoryczna baza, błysnęła ogień. Początkowo jaskrawo-żółty, zmienił barwę na wiśniową i wtedy zza ostrego szczytu wypłynęła duża rakietka. Zatrzymała się tryskając zimnymi już gazami ze wszystkich dyszy i omiotła kamienisty placyk potężnym reflektorem. Snop światła zatrzymał się na kasku Maćka, spełzył z niego, błysnęła w wykopie i tam stanął. A w kilka sekund później statek, rozkładając długie amortyzatory, usiadł dokładnie w miejscu wybranym przez ABZ-22 pod budowę „pionierskiej” stacji kosmicznej.

Jeszcze drgały amortyzatory, kiedy kłapa wjazdu otworzyła się gwałtownie i na ład wyskoczyli ludzie. Trzy męskie sylwetki, dwie wysokie, jedna natomiast tak drobna, jakby na pokładzie specjalnej jednostki Komisji Sędziowskiej przybyło dziecko.

- Za chwilę wszystko będzie jak dawniej. Momencik... - powiedział ten najmniejszy, który był szefem załogi. Jeden z pozostałych mężczyzn minął chłopca i zniknął we wjazdzie

jego stateczku, natomiast drugi wrócił do dużej rakiety, otworzył wąż ciężarowy i wyprowadził talerzowaty pojazd, trochę podobny do tego, w jakim wczoraj wieczorem przybyli ratownicy po profesora Ito Oyo. Wsiadł do niego, zapuścił silnik i wystartował. Po krótkim pionowym locie zatrzymał się obok wiszącego bezwładnie Klocusia i przytknął do tablicy na jego piersi jakiś przyrząd. Odczekał kilkanaście sekund, po czym odepchnął się od robota, ponownie uruchomił silnik i zniknął w przestrzeni.

- Tu ABZ-22-Bis - usłyszał Maciek tak wyraźnie, jakby nigdy nie było mowy o utracie energii, zaniku łączności i obcym obiekcie. - Jak się czujesz?

- No dobrze już, dobrze - dobiegł z daleka jeszcze inny głos. - To co, że pies? Mogą być automaty w kształcie kuli, sześcianu, nawet człowieka, dlaczego nie miałyby wyglądać jak psy?

- W porządku - przez szklany kask Maciek ujrzał uśmiechniętą twarz tego małego, który cały czas czekał tuż obok niego i nagle uprzytomnił sobie, że twarz jest mu bardzo dobrze znana. „Dziecko!” Rzeczywiście, ładne dziecko!

- Zdaje się, panie profesorze, że jesteśmy kwita - powiedział nieco drżącym głosem.

- O, nie! - zaśmiał się Ito Oyo. - Ja przyleciałem tutaj, bo to należy do moich obowiązków, podczas gdy ty wcale nie musiałeś biegać po nocy i ściągać ze skały niedołęgi, który nie potrafił zejść...

- ABZ-22, wszystko w porządku? - robot opiekuńczy odzyskawszy mowę skorzystał z niej, by przypomnieć, że nie otrzymał odpowiedzi na poprzednie pytanie.

- Tak, tak! - odkrzyknął wesoło Maciek. - A co z moim psem? - przeniósł wzrok z powrotem na profesora.

- Nic się nie martw, zaraz będą - odpowiedział zagadnięty.

Tak się też stało. W słuchawkach nie przebrzmiały jeszcze ostatnie słowa słynnego bionika, gdy tuż obok wielkiego statku usiadł talerzowaty pojazd. Z jego otwartego wężu wychylały się dwie głowy. Ściśle mówiąc jedna głowa i jeden złocisty, kosmaty łeb.

- Powinniśmy mu podziękować - powiedział. Ito Oyo patrząc na sztucznego Feriego. - Widzieliśmy wszystko na ekranach, chociaż nie mogliśmy się z tobą porozumieć. Jakieś przedziwne paskudztwo przyfrunęło do nas z przestrzeni wraz z meteorami. Nie tylko pochłania fale, ale jakby to powiedzieć... wysysa energię ze wszystkiego, co spotka na swojej drodze. Dlatego baterie twojego robota i komputera, a nawet centralki łączności nagle zamieniły się w bezużyteczne rupiecie...

„Rupiecie?” - powtórzył w myśli chłopiec z niejakim zdziwieniem.

- Ta rzecz zbliżała się do Wawelu i nie wiadomo, co by się stało, gdyby podeszła zbyt

blisko ciebie. Ludzki organizm także potrzebuje energii, chociaż, zdaje się, to pożera tylko zapasy zgromadzone w akumulatorach.

Maciek natychmiast przestał powtarzać sobie w myśli słówko: „rupiecie”.

- Co to może być? - przerwał niezbyt grzecznie.

Słynny uczony rozłożył bezradnie ramiona.

- Nie wiem. Trzeba będzie zorganizować poszukiwania, bo po zderzeniu z robotem, to znaczy z „psem” - uśmiechnął się znowu - ten obiekt uciekł w przestrzeń. Może być groźny i dlatego musimy się śpieszyć.

- W takim razie zawody zostaną przerwane?

Ito Oyo zawahał się:

- Nie... sądzę, że nie. Dwie następne konkurencje odbędą się przecież na Marsie, a potem zobaczymy...

- No, a ja?! - przestraszył się chłopiec. Spojrzał z rozpaczą w swój piękny wykop zajęty przez statek. - Ja nie mogłem zbudować bazy, a teraz wy usiedliście akurat w fundamentach!

- Ukończyłeś konkurencję - oświadczył oficjalnym tonem bionik. - Komisja Sędziowska postanowiła przyznać ci premię za przejście nadprogramowej próby. Policzymy ci tylko średni czas potrzebny na wzniesienie murów bazy. Lot miałeś dobry, a dół pod fundamenty wykopałeś bardzo ładny - dodał z uśmiechem.

- Pies mi pomógł... - bąknął bez zastanowienia Maciek i dopiero kiedy to powiedział, odetchnął z ulgą. Premia? „Średni czas”? No cóż, mury każdy buduje mniej więcej tak samo długo. Robią to przecież półautomaty. Więc nie jest najgorzej.

- Tego „psa” powinieneś ozłocić. Gdyby nie jego bohaterski skok...

Może to dziwne, jednak faktem jest, iż Maciek natychmiast zapomniał o tym, że na przekór wszystkiemu z honorem ukończył pierwszą konkurencję.

- Ale jak on to mógł zrobić? - mruknął z zastanowieniem. Przyszło mu bowiem na myśl, że ten Feri-Bis był przecież także automatem, a mimo to wykonał swój „bohaterski skok” wtedy, kiedy potężny Klocuś odmówił już posłuszeństwa. - Czy jego baterie nie zostały pozbawione energii?

- Oczywiście, że nie miałem energii - odezwał się lekko urażonym głosem sam zainteresowany, który właśnie w tym momencie wychynął z cienia, - Inaczej wróciłbym przecież o własnych siłach. Ale kiedy zbierałem się do skoku, byłem jeszcze sprawny - wyjaśnił. - A potem... no cóż, już Mika razy mówiłem, że zakodowano we mnie psie instynkty. Czy ktoś widział, żeby pies porzucił zająca, choćby kosmicznego? Skoro już raz

skoczyłem...

Chłopiec mimo woli uśmiechnął się blado.

- Widzę, że jesteś z siebie bardzo zadowolony - zauważył, ale przerwał mu inny, poważny głos:

- On ma prawo do zadowolenia z siebie. Uratował cię, chociaż to należało do moich obowiązków. Przepraszam...

- A cóż to za gaduły! - wykrzyknął z udaną zgrozą profesor Ito Oyo. - ABZ-22-Bis, wzywam cię do porządku!

- O, przepraszam - obruszył się Klocuś - działałam zgodnie z programem,

- Dobrze, już dobrze - słynny uczyony podniósł ramiona, jakby się poddawał. - Powiedz - spojrzał w dół, pod swoje stopy - czym uderzyłeś ten przedmiot tam, w przestrzeni?

- Nosem - mruknął osobnik wyposażony w cudowny psi instynkt.

- Nosem?... A tak, oczywiście - zgodził się skwapliwie bionik. - Czy zapamiętałeś, jak to coś wyglądało?

- Skądże - odpowiedział czworonóg. - Przecież wtedy byłem już pozbawiony energii. Moje przystawki pamięciowe nie działały. Niczego nie mogłem zapamiętać.

- Tak, naturalnie, przepraszam... - wycofał się profesor. - Więc uderzyłeś w to nosem?

- Stuknąłem raz i tyle - przerwał niemiłym tonem „pies”. - Czy musimy stale mówić o moim nosie?...

- Niestety, tak - odrzekł z pewnym zażenowaniem Ito Oyo. - Skoro nic nie pamiętasz, to tylko twój nos może nam dostarczyć jakichś informacji o nieproszonych gościach z kosmosu. Kto wie, czy na jego pięknym czarnym czubku nie pozostały cząsteczki materiału, z którego był zbudowany ten obiekt... jeśli naprawdę mocno uderzyłeś.

- Pewnie, że mocno - Maćkowi wydało się, że w głosie rzekomego „Feriego” zadźwięczała boleściwa nutka. - Pewnie, że mocno...

- W takim razie będziemy cię musieli wziąć do laboratorium - uczyony uśmiechnął się przepraszająco - ale nie martw się. Badania nie potrważą długo, a poza tym na trasie drugiej i trzeciej konkurencji i tak nie mógłbyś towarzyszyć ABZ-22.

- Ja jednak będę mu towarzyszył - zastrzegł się z góry Klocuś. - Dostałem, zdaje się, takiego podopiecznego, którego szczególnie kochają wszelkie możliwe przygody. A ja nie chcę pójść na złom za to, że czegoś nie dopilnowałem.

- Nie martw się, nie pójdziesz - odpowiedział Maciek i uśmiechnął się do czarnej sylwetki zawieszanej na tle gwiazd. A jeszcze piękniejszy uśmiech przeznaczył dla

mniejszego automatu pokrytego rudozłotą sierścią i obdarzonego najmiłym w świecie instynktem.

Druga „historyczna”

Było wczesne popołudnie. Przez wielkie otwarte okno wpadały promienie słońca. Bezchmurne brzoskwiniowe niebo nad majestatycznym szczytem Olimpu wyglądało jak teatralna dekoracja przedstawiająca łunę dalekiego pożaru. Mimo to było jakieś dobroduszne, a nawet swojskie. Błękit nad Bałtykiem jest cudowny, ale i do różowego nieba można, się przyzwyczać.

Pierwsza „historyczna” konkurencja zakończyła się już dobre dwie godziny temu. Komisja Sędziowska, zaalarmowana przygodą ABZ-22, ściągnęła wszystkich zawodników do Parku Asteroidów i zorganizowała zbiorowy powrót na Marsa. Daleko, w przestrzeni pozostały ekipy nadal tropiące niepożądanych „gości” z kosmosu. Pozostał tam także sztuczny pies, który tak dzielnie spisał się w obliczu niebezpieczeństwa, oraz jego pomysłowy konstruktor. Dlatego Maciek nie mógł - jak to sobie obiecywał - natychmiast po powrocie powiedzieć bratu, co myśli o jego inżynierskich popisach i o jego dowcipie.

Mieszkańcy wioski olimpijskiej wiedzieli, co zaszło w okolicy Wawelu. Kiedy zamilkły nadajniki Maćka i Klocusia, ogłoszono alarm. Kto żył, przybiegł natychmiast pod stację dyspozytorską. Milczący tłum stał tam tak długo, oczekując kolejnych komunikatów, aż z głośnika popłynął niezbyt pewny, ale zupełnie wyraźny głos zawodnika ABZ-22, a potem jego opiekuńczego robota i jeszcze jednego robota, który zaczął z dziwną niechęcią odpowiadać na pytania dotyczące jego własnego nosa.

- No, no - powiedziała wtedy cicho Lena i odwróciła twarz, żeby nikt nie zobaczył wyrazu jej oczu.

Maćka powitało mrowie ludzi. Szedł otoczony rozradowanym tłumem, odpowiadał na pytania, uśmiechał się nawet, ale wszystko to robił najzupełniej bezwiednie, powtarzając sobie w duchu, że to jakiś sen, który zaraz się skończy. W pewnym momencie przepchał się do niego ciemnoskóry zawodnik w granatowym kombinezonie.

- Miałeś więcej szczęścia! - zawołał. - Ja od razu wyszedłem z tego strumienia meteorów i poleciałem na Amora. Gdyby tak sędziowie mnie kazali lądować na Wawelu, może też byłbym teraz bohaterem!

Do Maćka dotarło tylko jedno słowo: „sędziowie”. Wyprostował się dumnie.

- Wykopałem bardzo duży dół pod fundamenty - oświadczył twardo. - I skończyłem konkurencję.

Na twarzy granatowego odmalowało się niebotyczne zdumienie.

- Wiem... - wyjąkał - wiem, chciałem ci pogratulować... tylko my dwaj zostaliśmy ogarnięci tym strumieniem, pamiętasz? Jestem BAW-3. Nazywam się Ibn Kazi.,

Maciek spojrział zamglonym wzrokiem na smagłą, podłużną twarz o dużym, zakrzywionym nosie i powtórzył:

- Przygotowałem wykop. Ale oni usiedli akurat w jego środku...

Ibn Kazi zrezygnował, a twórca wspaniałego wykopu pod „pionierską” bazą poszedł z godnością dalej.

Oprzytomniał dopiero w swoim pokoju, do czego walenie przyczyniła się powitalna mowa wuja Alfa. Brzmiała ona tak)

- *Summa cum laude!* Może jeszcze nie zbłąznisz się z kretesem! Całka! Ha!!!

- Dlaczego miałby się zbłąźnić? - spytała, jak zwykle łagodnie, Lena. - Uważam, że możemy być z niego dumni...

- Dlatego mówię: Całka! - odpowiedział nie zmieszany wuj. - To zobowiązuje! Tradycja! Historia!

- Trochę się o ciebie bałam - wyznała z niezbyt dobrze maskowanym przejęciem ciocia Basia. - Miałaś taki świetny czas, kiedy zameldowałeś się w naszym punkcie kontrolnym, a potem... - urwała.

- Dum spzro, *spero!* - zakrzyknął wuj Alf. - Dopóki oddycham, nie tracę nadziei! Muszę tłumaczyć, co mówię, jak pięcioletnim dzieciom - potoczył dokoła groźnym wzrokiem. - Ale pies się przydał, co?!

Feri, usłyszawszy słowo „pies”, uniósł aksamitny łeb i spojrział na Maćka z nagłą nadzieją. A nuż padnie następne, magiczne słówko: „spacer”?

Niestety. W dalszej części rozmowy była wprawdzie mowa o psie, ale jakimś dziwnym. Nikt nie zwrócił uwagi na wdzięcznie przekrzywioną mordę i merdający na kredyt ogon zwykłego, ziemskiego spaniela.

- To idiotyczny pomysł - zaperzył się Maciek. - Najpierw jeden, sztuczny, a potem drugi. Czy myśleliście, że wyjdę z nim bez skafandra?

- Ależ, Maćku - ciocia Basia zrobiła wielkie oczy - przecież za drugim razem to nie była żadna próba! Po prostu pies był ze mną, bo Lena poszła zwiedzić tutejsze plantacje, a ty i tak musiałeś przylecieć na punkt kontrolny. Więc pomyślałam, że zrobimy ci niespodziankę...

- Rzeczywiście - odburknął niezbyt udobruchany chłopiec - na brak niespodzianek nie mogę narzekać.

- Powinieneś się cieszyć - stwierdziła Anna. Była już w swoim koralowym kombinezonie i wyglądała tak, jakby właśnie wróciła od fryzjera. - Znaleźliby się i tacy,

którzy by ci pozazdrościli przygód. Ja pierwsza - zaśmiała się z przymusem.

- Ja także - przytaknęła z zapalem Ina. Zrobiła smutną minę i dodała: - Nie poszło mi nadzwyczajnie. Ani rusz nie mogłam sobie poradzić z budową tej bazy.

- Nie miałaś psa! - ucieszył się wuj Alf.

- A ja łupałem tak, że teraz ledwo trzymam się na nogach - poinformował zebranych Roald. - Nie wiem, jak będę jutro biegał, ale wolałbym być sto razy bardziej połamany, lecz przeżyć to, co ty - spojrzał z podziwem na Maćka. - Obcy obiekt! Kto wie, może z jakichś dalekich gwiazd. A może... - nie skończył. Dla wszystkich jednak było jasne, co chciał powiedzieć. Ba, od ilu to już wieków ludzie marzą o spotkaniu w kosmosie innej rozumnej rasy!

- Wszystko furda! - krzyknął historyk - Będzie dobrze, ja wam to mówię! - spojrzał na Maćka z uśmiechem, który nie wróżył niczego dobrego. - Jeszcze zaprzyjaźnisz się z bardzo mądrym mieszkańcem sąsiedniej galaktyki, który będzie miał jedną nogę, brzuch jak orzeszek, ale za to trzy głowy. Może on potrafi cię czegoś nauczyć! Żeby sobie tylko nie wyrobił fałszywego pojęcia o nas wszystkich! Jeśli zamieni z tobą choć parę słów, gotów dać z powrotem drapak i więcej nigdy już nie wyściubić nosa poza tę swoją galaktykę!

Wszystko to wydarzyło się godzinę temu, bezpośrednio po powrocie zawodników z asteroidów. W tej chwili bohaterowie sportowej wyprawy - wykąpani i nakarmieni - wypoczywali w wygodnych, przepaścistych fotelach. Znowu wszyscy zebrali się u Maćka, ale tym razem w rozjaśnionym słonecznym świetle pokoju panowała cisza. Przerwał ją dopiero sam gospodarz, który od dłuższego czasu siedział bez ruchu, wpatrując się w jakiś punkt na ścianie nad głową Anny, i usilnie nad czymś rozmyślał. W pewnym momencie odwrócił się do wuja Alfa i spytał:

- Co to właściwie była za historia, która przytrafiła się temu jakiemuś Całce, to znaczy mojemu praprapra?... - zawiesił głos.

Historyk przewrócił ze zgrozą oczami.

- *O, vae!* Biada! - zawołał, ale zaraz umilkł. Następnie uśmiechnął się melancholijnie, przy czym jego twarz nie tylko złagodniała, ale stała się wręcz pocziwa. Każdy z obecnych doskonale wiedział, że wuj Alf, kiedy nie udaje, potrafi być naprawdę sympatyczny.

- Nie mów „jakiemuś Całce” - powiedział teraz, spoglądając na swojego młodego krewniaka z dobrotliwym wyrzutem. - Ten twój prapra... i tak dalej był jednym z pierwszych ludzi, którzy badali tę okolicę - wyciągnął rękę w stronę okna. - Zginął na posterunku jako badacz i uczonec...

W tym momencie w uchylonych drzwiach ukazała się Dahra.

Widać nie spodziewała się tak licznego zgromadzenia, bo przemknęła po obecnych spłoszonym spojrzeniem brązowych oczu i zrobiła gest, jakby chciała cofnąć się z powrotem. Zatrzymał ją jednak głos wuja Alfa:

- Dahra! - zawołał historyk, najwidoczniej wcale nie zagniewany, że przerwano mu wzniosły wywód o praprapra... i tak dalej. - Chodź, chodź!

- Dzień dobry - powiedziała melodyjnym głosem przybyła. - Przepraszam, że przychodzę nieproszona, ale to nie moja wina... - obejrzała się. Wówczas zza jej czarnej głowy wyjrzało rozanielone oblicze Marka.

- Cześć! - zawołał wesoło. - Przyprowadziłem Dahrę, bo bardzo chciała poznać naszego dzisiejszego bohatera, ha, ha, ha! - zakończył głupkowskim, jak to z miejsca osądził Maciek, wybuchem śmiechu.

- I wczorajszego - dodała piękna zawodniczka. - I wczorajszego. - Zrobiła kilka kroków w stronę mamy Maćka, po czym zatrzymała się niepewnie.!

- Ależ, proszę - Lena wstała i wyciągnęła rękę do ciemnoskórej wielbicielki jej syna... czy może synów? - Widzieliśmy twoje zdjęcie - uśmiechnęła się. - Szkoda, że zaginął zwyczaj wybierania miss Astroniady, wiedziałabym, na kogo głosować.

- Oh! - wykrzyknęła cicho dziewczyna odsłaniając białe jak śnieg zęby. Była tak śliczna, że Maciek musiał spojrzeć z mimowolnym uznaniem na swojego najstarszego brata, ani przez chwilę nie zapominając jednak o tym, że ma z nim do wyrównania ponure rachunki. Następnie pomyślał, że gość zasługuje na to, aby mu się pokazać z jak najlepszej strony, i postanowił połączyć przyjemne z pożytecznym.

Wstał, przybrał teatralną pozę i zaczął powoli obracać się w miejscu, demonstrując swój profil, a także plecy.

- No, więc taki jestem - powiedział. Stał ponownie twarzą do dziewczyny i ciągnął: - Ale proszę cię o jedno. Nie myśl, że uwierzyłem Markowi, jakoby przyprowadził cię tutaj dlatego, żebyś mogła mnie poznać. Nie chciałbym uchodzić w twoich oczach za naiwną ofiarę starszych braci...

- Maćku! - obruszyła się Lena, ale zaraz i ona musiała się roześmiać.

- Ratowanie profesorów i szczucie psami przybyszów z gwiazd to, jak widzisz, nie jedyne, co potrafi Ciucińska - zauważył lekkim tonem Marek. - Olśniewający dowcip. To u nas rodzinne. Zapytaj wuja Alfa.

- Co do psów... - zaczął zmienionym tonem Maciek, ale nie dane mu było skończyć. Tak się jakoś składało tego popołudnia, że ciągle ktoś komuś przerywał. Tym razem z

głośnika popłynęły słowa wypowiedziane miłym, kobiecym głosem:

- Prosimy wszystkich zawodników i gości do świetlicy. Zgodnie ze zwyczajem, po pierwszej konkurencji organizujemy skromny wieczorek towarzyski. Dziękuję.

- Będą tańce! - wykrzyknęli chórem Ina i Marek. Roald spojrział niepewnie na Annę, która nagle, nie wiedząc czemu, zarumieniła się po korzonki włosów.

„Oho! - pomyślał Maciek. - Najpierw Marek, a teraz...”

Tu dzisiejszy, a także wczorajszy bohater najzupełniej przypadkowo zerknął w stronę Iny i zaraz zaczął myśleć o czym innym.

- Oj, dziewczyny, dziewczyny! - westchnął wuj Alf podnosząc się ociężale z fotela. Raptem podskoczył jak na sprężynie i krzyknął na całe gardło:

- *Carpe diem!* Korzystaj z dnia! Tańce, hulanki, swawole! *Vivat!* Żyje się raz! *Dixi!*

Wyrzuciwszy z siebie jednym tchem wszystkie te na wół zrozumiałe słowa porwał Lenę i ciągnąc ją za, sobą wypadł na korytarz.

Program towarzyskiego spotkania nie przewidywał tańców, co wszakże nie znaczy, że obyło się bez zgoła zdumiewających atrakcji.

Początek jednak był zupełnie niewinny. Najpierw Alan Tunner przeprosił w imieniu organizatorów Astroniady za niespodziewane zajście w kosmosie.

- To istoty z Węgi powinny przeprosić, nie ty - „dyskretny” szept wuja Alfa, który zajął należne mu miejsce między jurorami, słychać było w najdalszych rzędach.

- Dlaczego akurat z Węgi? - zdumiał się przewodniczący, ale szybko wrócił do poprzedniego tematu. Poinformował zebranych o wstępnych wynikach badań przeprowadzonych w rejonie, gdzie zauważono nie jeden, lecz dwa, jak się okazało, nie znane nauce kosmiczne obiekty. Tylko jeden z nich wszakże posiadał ową dziwną i niesympatyczną zdolność „wysysania” energii z wszystkich urządzeń, jakie miały pecha znaleźć się w jego sąsiedztwie. Drugi obiekt natomiast był prawie na pewno nieszkodliwy.

Po zagajeniu Alana Tunnera profesor Badandajew omówił charakter strumienia meteorów. Zebrani słuchali z tym większą uwagą słów słynnego astrofizyka, że to on sam kierował badaniami nie tylko meteorów, lecz także osobliwych ciał, które przyleciały wraz z nimi. W pewnym momencie uczony wymienił Marka jako konstruktora owego robota, który tak silnie uderzył drugi z tajemniczych obiektów, że powrócił z cząsteczkami substancji, z jakiej ten był zbudowany. Dzięki temu udało się stwierdzić, że tą substancją był stop różnych metali. Odepchnięty gwałtownie, drugi obiekt ruszył następnie w stronę swojego towarzysza, po czym obydwa odpłynęły w przestrzeń.

Maciek mimo woli poszukał wzrokiem brata i nie bez pewnej satysfakcji odkrył, że wielki konstruktor z cielecym wyrazem twarzy wpatruje się w siedzącą obok niego Dahrę.

„Oho!” - pomyślał po raz któryś, po czym pobiegł oczami ku miejscom zajęтым przez Lenę, ciocię Basie, Annę, Roalda i...

- Maciek Całka! - zawołał jakiś głos. Rozległy się brawa.

Chłopiec z trudem oderwał wzrok od Iny i rozejrzał się po sali. Wszędzie napotykał utkwione w sobie oczy wyrażające życzliwe oczekiwanie.

- Czy nie ma wśród nas Macieja Całki? - zatroskał się ten sam głos, który przed chwilą wyrwał chłopca z jego snu na jawie.

- Jest, tylko zbaraniał! - tożsamość osoby, która wymówiła te ostatnie słowa, nie mogła budzić najmniejszej wątpliwości. Kochany, zacny wuj Alf. Jeszcze raz pośpieszył z pomocą swojemu siostrzeńcowi. I chociaż znowu zrobił to po swojemu, to jednak, trzeba przyznać, skutecznie. Maciek oprzytomniał w mgnieniu oka.

- Przepraszam, nie słuchałem... - wyznał rozkładając bezradnie ramiona.

- Ha! - zawołał historyk tocząc tryumfalnym spojrzeniem po swoich kolegach-jurorach. - I temu śpiochowi przyznaliście najlepszy czas!

W innej sytuacji Maciek z pewnością próbowałby dociec, co mogą znaczyć pięknie brzmiące słowa: „najlepszy czas”, teraz jednak był zbyt wstrząśnięty faktem, że wszyscy nagle czegoś od niego chcą. W dodatku ten Tunner tak dziwnie patrzy...

- Jest taki zwyczaj - odezwał się „ten” Tunner - że po pierwszej konkurencji, aby się lepiej nawzajem poznać, poszczególni astroniadczyzy opowiadają nam o Strefie, którą reprezentują, i o swoim kraju. Wprawdzie odkąd nie ma granic, pojęcie „kraj” to właściwie tylko tradycja, ale zawsze żywa i zawsze bardzo droga. Jesteś bohaterem dnia - Tunner uśmiechnął się serdecznie - więc padła propozycja, żeby oddać ci głos jako pierwszemu. Proszę, ABZ-22, słuchamy...

Maciek wstał.

- Ja... ja... - wykrztusił.

- Zaczęło się obiecująco - zauważył po chwili ciszy jakiś optymista.

- Pst!... - zgromił go drugi.

- Mój kraj... - zaczął ponownie Maciek i nagle ujrzał pod powiekami zielone sosny, prześwietlony słońcem krajobraz wydm, szafirowy Bałtyk i plażę, złotą jak oczy pewnej dziewczyny... może tylko odrobinę jaśniejszą.

- Mój kraj - powtórzył - jest bardzo piękny. Mamy dużo parków, rezerwatów... góry i jeziora... ale najładniejsze jest morze. Blisko stolicy są niziny z małymi piaszczystymi

wzniesieniami, porośłe ciemnymi sosnami. Takie same sosny, a miejscami wysokie, wąskie topole, rosną nad brzegami naszej rzeki. Tam, w środku kraju, ludzie wyglądają tak, jakby obejmowali wzrokiem i góry na południu, i jeziora na północy, i puszcze na wschodzie... jakby uśmiechali się do tego wszystkiego, czego przecież nie mogą widzieć, bo i od gór, i od jezior, i od leśnych rezerwatów dzielą ich setki kilometrów. A po morzu pływają kolorowe łódki i jachty... mieszkam tam, to znaczy nie w łódce - zastrzegł się szybko - ale nad brzegiem... w takim mieście... mamy tam domek...

Coś się zacięło. Bohater dnia omiółł nieprzytomnym spojrzeniem wpatrzone w siebie twarze i umilkł.

Cisza przeciągała się. Marek poczuł, że zaczyna się pocić, zabrakło mu powietrza, więc otworzył szeroko usta... I nagle doznał olśnienia.

- W moim kraju są najpiękniejsze kamienie na świecie! - wykrzyknął rozpaczliwie, ale za to z najgłębszym przekonaniem.

Teraz już sala odpowiedziała przyciszonym śmiechem. I chociaż był to życzliwy śmiech, chłopca ogarnęła złość.

- Nie ma się z czego śmiać! - zawołał przekrzykując hałas. - Ja zbieram kamienie! Mam dużą kolekcję! A najładniejsze okazy znalazłem właśnie w moim, kraju!

- O, *vae!* - zaryczał znajomy baryton. - Kamienie! O, nieszczęsny gwiazdorobie! Kamienie!

Śmiech buchnął nową falą, ale zaraz ucichł. Zza stolika jurorów podniósł się profesor Ito Oyo i uniósł rękę na znak, zachce mówić.

- Ja urodziłem się na zielonej wyspie u stóp wygasłego wulkanu - zaczął słynny bionik - i mógłbym o moim kraju mówić bardzo długo... ale wątpię, czy powiedziałbym więcej, niż przed chwilą Maciej Całka. Wszyscy uczyliśmy się geografii, a teraz chodzi nam głównie o to, żeby się lepiej nawzajem poznać. Co do mnie, to z tych kilku słów dowiedziałem się o Maćku więcej, niż gdyby mówił płynnie przez godzinę... co niechybnie potrafiłby niejeden z moich uczonych kolegów - zmrzył zabawnie oko - a także wielu zawodników, nie wspominając już o zawodniczkach.

Uczony odczekał, aż na sali ucichną odgłosy wesołości, po czym ciągnął:

- Jednak mimo wszystko chciałbym dorzucić kilka zdań do tego, co usłyszeliśmy. Bo Maciek nie wspomniał o tradycjach swoich ziomków. Kiedy istniały jeszcze granice, jego kraj był jednym z pierwszych, gdzie zniesiono kult posiadania, to przekleństwo okresu przełomu cywilizacyjnego. Ludzie pracowali dla wspólnej przyszłości, zamiast samotnie szamotać się w celu zdobywania sprzętów i pieniędzy dla siebie i swojej rodziny, do czego

byli zmuszeni inni, żyjący wtedy w państwach, gdzie człowieka ceniło się w zależności od tego, co i ile posiadał. A kiedy zaczęła się era podboju kosmosu, ustanowiono, nie bez trudności, prawa dotyczące przestrzeni pozaziemskiej. Zabraniały one wykorzystywania kosmosu do celów wojennych. Już wtedy postanowiono także, że wszystkie globy układu słonecznego są wspólną własnością ludzkości. Że nikt nie może przywłaszczyć sobie na przykład Marsa czy księżyców Jowisza tylko dlatego, że jego statek wylądował tam jako pierwszy. Te przepisy opracował Komitet Pokojowy Przestrzeni Kosmicznej Organizacji Narodów Zjednoczonych. Jego pierwszym przewodniczącym, bodajże od roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego drugiego, obecni tu historycy niech mnie poprawią, jeśli się mylę...

- Jak na bionika, zupełnie nieźle - uznał za stosowne wtrącić Alf Nielson, co mówca skwitował pełnym szacunku ukłonem.

- ...otóż pierwszym przewodniczącym tego Komitetu był rodak Maćka Całka. A drugim z kolei przewodniczącym został również przedstawiciel kraju leżącego nad Wisłą i Bałtykiem. No i jeszcze jedno. Kiedy człowiek pierwszy raz ruszył poza orbitę Marsa, w skład dwuosobowej załogi pionierskiej bazy na asteroidach wszedł młody uczonec, Janusz Całka. Zdążył przesłać bardzo ciekawe meldunki i opracować hipotezę, która dała podstawy nowej gałęzi wiedzy o wszechświecie, niestety sam nigdy na Ziemię nie wrócił. Do dziś nie znamy okoliczności jego śmierci.

Maciek usiadł. Nie słyszał oklasków, które nagrodziły przemówienie profesora Ito Oyo. Kołatała mu w głowie jedna myśl: skąd ten człowiek, wychowany na pięknych japońskich wyspach, wie tyle o jego kraju. I w ogóle jakim cudem bionik, sportowiec, dyrektor słynnego Instytutu Pacyfiku potrafi sypać datami i nazwiskami sprzed wieków... Całka? Że też wuj Alf nie zdążył przed zebraniem dokończyć opowieści o tym praprapra... Może wtedy Maciek nie wyskoczyłby tak idiotycznie ze swoimi kamieniami.

Wspomnienie śmiechu, którym przyjęto jego wiekopomne słowa, ozdobiło policzki chłopca buraczkowymi wypiekami. Spuścił głowę i siedział zasępiony, starannie unikając wzroku sąsiadów. Nie dotarło do niego ani jedno zdanie jego kolegów, którzy teraz kolejno opowiadali o swoich krajach. Z odrętwienia wyrwał go dopiero głos profesora Tunnera:

- Na dzisiaj dosyć. Dziękuję wszystkim. Spotkanie było bardzo interesujące. A teraz spać! Jutro rano ruszamy przeciw do boju.

Zawodnicy wstawali z miejsc, ale jakoś nie kwapili się do wyjścia. Kiedy Maciek precyzyjnie się do schodów, zaczęli bić brawo i wtedy chłopiec zrozumiał, że czekali właśnie na niego.

„Zabawiłem ich” - pomyślał ponuro. Zaczął skakać po dwa stopnie naraz, potknął się i kto wie czy na ukoronowanie fatalnego wieczoru nie zaryłby nosem w podłogę, gdyby nie podtrzymało go silne męskie ramię. Odwrócił się niechętnie i ujrzał... kogóż by, jak nie ukochanego Mareczka.

- Poczekaj, poczekaj - przestrzegł go dobrotliwym tonem brat - to jeszcze nie kosmos. Zdążysz pójść w ślady przodków, ale nie połam sobie przedtem gnatów na schodach.

- Rupieć! - syknął Maciek zduszonym szeptem, żeby nie usłyszała Dahra, która obok Marka.

- Nie powiem ci, jak się spisałeś, bo sam wiesz - ciągnął z obrzydliwym uśmiechem konstruktor sztucznych psów. - Ciekawie, co będzie dalej. Z tego wszystkiego on jeszcze naprawdę gotów wygrać - odwrócił się do swojej pięknej towarzyszki.

- Jestem pewna, że pokona wszystkich - odpowiedziała Dahra mrużąc w uśmiechu lekko skośne oczy.

Marek zaśmiał się głośno i machnął ręką.

- Na razie narobił tylko zamieszania - prychnął. - Następne kosmiczne konkurencje będą rozgrywane pod osłoną specjalnych obronnych ekip. Uczeni sądzą, że to coś, co napędziło takiego stracha naszemu bohaterowi” może tutaj wrócić...

- Wcale się nie bałem - zaprotestował żywo „bohater”.

- Neeee - Marek zrobił przesadnie poważną minę - oczywiście, że nie! Tylko że odtąd będziesz latał pod eskortą wielkich rakiet uzbrojonych w miotacze, które mogą w ułamku sekundy roztopić glob wielkości Merkurego. A ja - dodał od niechcienia - mam wejść w skład załogi jednego z tych statków. Zajmiemy stanowiska w rejonie asteroidów.

- To może być niebezpieczne - przestraszyła się dziewczyna.

Marek uśmiechnął się z lekceważeniem.

- Co tam taki obiekcik! Nawet mój pies poradził sobie z nim bez trudu. Przewietrzę się trochę - dodał leniwie, rozprostowując ramiona, jak człowiek do cna znudzony codzienną szarzyzną. Dahra przyglądała mu się z milczącym podziwem, a Maciek mimo woli pomyślał, jak by to było ładnie, gdyby Mareczek właśnie w tej chwili dostał, na przykład, ataku czkawki.

W pokoju panował mrok, chociaż dokładnie w środku otwartego na oścież okna widniał Phobos, jeden z dwóch naturalnych księżyców Marsa.

Drzwi uchyliły się ostrożnie i stanęła w nich Lena.

- Nie śpisz jeszcze?

- Nie, mam - odpowiedział Maciek unosząc się na łokciach.

- Leż, leż - Lena podeszła i usiadła na brzeżku tapczanu. Następnie pochyliła się i pocałowała Maćka w czoło.

- Wiesz, jestem z ciebie dumna... - powiedziała synowi wprost do ucha.

- Nie widzę powodu - mruknął chłopiec, równocześnie, jakby przypadkiem, opierając głowę na ramieniu mamy.

- Nie szkodzi. Najważniejsze, że inni go widzą - odruchowo poprawiła lekki koc, który Maciek narzucił sobie na nogi. - Wuj Alf rozplątał się nad tobą. Nie może tylko odżałować, że tak zupełnie nie interesujesz się historią. Anna zapowiedziała, że musi z tobą poważnie porozmawiać, bo chce dokładnie zanotować w swoim pamiętniku twoje wrażenia. A Ina kazała cię ucałować.

- Co?

- Nic, nic - mama wstała i zaczęła iść z powrotem w stronę drzwi. - Zapomnij o tym, co powiedziałam - zaśmiała się - bo inaczej będziesz miał dziwne sny i nie wyśpisz się porządnie.

- Mam -!

- Słucham?

- Ina... czy ona jeszcze nie śpi?

- Teraz już śpi. Kto wie, czy i jej się coś nie przyśni. No, dosyć już. Dobranoc.

- Dobranoc. Mam?

- Co jeszcze?

- Czy tato nie przyleci?

Lena westchnęła.

- Nie wiem. Jeśli tylko będzie mógł, z pewnością przyleci, choćby na zakończenie zawodów. Bardzo chciałby być z nami, ale tak się pechowo złożyło, że akurat teraz musiał opuścić rejon asteroidów, żeby przeprowadzić jakieś pilne badania na granicy Układu Słonecznego...

- Wiem. Czy... mam, jak myślisz, czy tato dlatego wybrał sobie taką specjalizację, żeby... czy on zna historię tego naszego prapradziadka?

- Michał? Oczywiście, że zna. Kiedyś nawet powiedział... - Lena zamyśliła się. Przez chwilę w ciemnym pokoju panowała zupełna cisza.

- Co powiedział?

- Nic takiego. Wspomniał po prostu, że bardzo chciałby wyjaśnić zagadkę śmierci tego Janusza Całki, o którym mówił Ito Oyo. Ale to już przecież przeszło dwa wieki.

Maciek zastanowił się przez moment, po czym opadł na poduszkę i ponownie utkwiał wzrok w gwiazdach za oknem.

- Dobranoc, mammo.

- Spij dobrze, synku.

Na placu startowym panowało milczenie. Głośnik wywoływał kolejnych zawodników, którzy wskakiwali do małych, archaicznych pojazdów, zapuszczali ciche silniczki elektryczne i pędzili na trasę.

Maciek jeszcze raz obejrzał plan konkurencji. Najpierw jazda cudacznym wehikułem, zbudowanym na wzór staroświeckich samochodów, a potem - miasto. Miasto-skansen z przełomu dwudziestego i dwudziestego pierwszego wieku. Zatłoczone, brudne, kamienne, pełne automatów zachowujących się rzekomo dokładnie tak jak dawni mieszkańcy ówczesnych metropolii.

Trasa była pełna rozjazdów, skrzyżowań, zygzaków i aż jeżyła się od przeszkód. Należało znać na wylot przepisy regulujące ruch w centrum, umieć porozumieć się z „ludźmi”, przemknąć przez całe śródmieście, zostawić pojazd w oznaczonym miejscu i pieszo już dotrzeć do starożytnego zamku. Dalej, za wąską bramą, był krótki odcinek prostej drogi, prowadzącej do tak zwanego „nowego miasta”. Tam kończyła się „druga historyczna”, a zarazem pierwsza z dwóch dzisiejszych konkurencji. Po odpoczynku zawodnicy mieli ruszyć na trasę Mars-maratonu. Od tej chwili dopiero, zdaniem Maćka, Astroniada nabierała rumieńców. Pływanie, kajaki, narty, bieg - słowem sport, a nie żadne „historyczne” wydziwiania.

- ABZ-22 - start!

Maciek skoczył. Ostрым sprintem przebył przestrzeń dzielącą go od betonowego pasa, na którym stały przygotowane wehikuły, wskoczył do pojazdu oznaczonego swoim numerem i zapuścił silnik. Sekundę później, trzymając z całych sił śmieszoną, okrągłą kierownicę, mknął już ku widocznym za grzbietami niskich wzgórz zabudowaniom „miasta”.

Droga biegła między pagórkami, brzydkie, szafę wieżowce rosły w oczach, widać było ciemną chmurę unoszącą się nad dachami. Przez otwarte okna wpadał do wnętrza pojazdu narastający szum, który niebawem przeszedł w głuchy, drażniący grzmot, jakby gdzieś blisko waliły się nieustannie żelazne ściany. Jeszcze łagodny łuk, ostry zakręt i nagle po obu stronach wyrosły wysokie mury. Droga rozszerzyła się, wystąpiły na niej białe pasy i strzałki, na chodnikach gęstniał tłum człekokształtnych automatów poprzebieranych w cudaczne, grube okrycia. Nagle jeden z nich wyskoczył wprost przed szybę pojazdu i krzywiąc twarz zaczął wymownym ruchem uderzać palcem w czoło. Maciek rozejrzał się

rozpaczliwie, ujrzał wiszącą niemal tuż nad nim czerwoną lampkę i gwałtownie nacisnął hamulec. Zapiszczały koła, „auto” stanęło tuż przed poprzecznymi kreskami wymalowanymi na jezdni.

- Jak jedziesz, baranie! - dobiegł z tłumu czyjś okrzyk. Nie sposób było odnaleźć osobnika, który poczęstował kierowcę tym pozdrowieniem, bo przed pojazdem tłoczyła się teraz cała masa automatów, śpieszących się i patrzących z niechęcią na stojący przed przejściem wehikuł.

- Rupieć - burknął na wszelki wypadek chłopak i otarł pot z czoła. Niewiele brakowało, a zarobiłby sporo punktów karnych. Przecież pamiętał, że przed czerwonymi lampkami trzeba stawać. Ale tu wszystko było jakieś takie nierealne...

Zgasło czerwone, zapaliło się zielone światło. Maciek odruchowo poprawił się w niewygodnym, niskim foteliku i ostro ruszył z miejsca. W tym momencie z bocznej ulicy wyskoczył jakiś inny pojazd i hamując omal nie uderzył w prawe drzwi ruchomego pudełka, w którym tkwił przestraszony nie na żarty zawodnik ABZ-22.

I znowu ten ostatni ujrzał palec pukający zawzięcie w czyjeś niby to ludzkie czoło.

„Chcę mnie sprowokować” - doszedł do wniosku Maciek. Sędziowie musieli specjalnie zaprogramować te „historyczne” automaty, aby sportowcy mogli wykazać się żelaznymi nerwami i anielską cierpliwością. Niemożliwe, żeby ludzie kiedykolwiek zachowywali się w podobny sposób.

Doszedłszy do takiego wniosku uspokoił się i nieco bardziej przytomnie ruszył dalej.

Z planu wynikało, że na następnym skrzyżowaniu trzeba skręcić w lewo. Chłopiec postanowił zjechać na lewą stronę drogi, ale teraz poruszał się już w szerokiej rzece innych pojazdów. Przypomniał sobie, że przed skrętem trzeba zapalić boczne światelko. Odnalazł wyłącznik, odczekał chwilę, po czym poruszył kierownicą. Z tyłu dobiegło natychmiast głośne, natarczywe trąbienie i znowu jakiś pomalowany na czerwono pojazd przemknął niebezpiecznie blisko. Zakręt był tuż, na nawierzchni ponownie pojawiły się białe strzałki, jeszcze moment, a będzie za późno...

Nagle kątem oka wypatrzył małą lukę między sunącymi za nim wehikułami i ostro skręcił. Czyjś klakson zaryczał przeciągle, ale chłopiec jechał już przy lewym krawężniku, patrząc z niepokojem na nogi „przechodniów” poruszających się w bezpośrednim sąsiedztwie jezdni. A w następnej chwili stanął przed kolejnym czerwonym światłem. I wtedy właśnie, po swojej prawej stronie, ujrzał „auto” oznaczone symbolem startowym.

„Nie jest źle” - pomyślał patrząc ze współczuciem na niefortunnego rywala, który wyruszył wprawdzie wcześniej niż ABZ-22, ale ugrzązł między strumieniami muzealnych

samochodów i nie zdążył w porę zająć pozycji, która pozwoliłaby mu dalej jechać w wytyczonym kierunku. - „Jednego wyprzedziłem... zobaczymy, co będzie dalej”. - Dalej - powtórzył na głos, widząc zmieniające się światła.

Stale zerkając na przemian to na otrzymany od sędziów plan, to przed siebie, Maciek dotarł w końcu do śródmieścia, gdzie tłok był już taki, że pokonanie kilku metrów trwało czasem i dziesięć minut. Ściany domów stały się wysokie jak skały, w dole za przewalającym się chodnikiem tłumem automatów lśniły dziwaczne kolorowe rysunki i napisy, po murach biegły jakieś świetlne litery. Przez drzwi prowadzące do wnętrza wielkich i oszklonych kabin nieustannie wchodziły i wychodziły roboty, gwar, hałas, głośne nawoływania - wszystko to stawało się powoli nie do zniesienia.

W tym punkcie „miasta” na planie zaznaczono małe, czerwone kółeczko. To oznaczało, że tutaj trzeba zostawić pojazd i dalszą drogę odbyć na piechotę.

Łatwo to powiedzieć. Wszystkie miejsca przy chodnikach były szczelnie wypełnione najrozmaitszymi wehikulami o najdziwniejszych kształtach. Maciek okrążył jakiś placyk z nieczynną fontanną w środku, jeszcze raz wrócił na to samo miejsce i stanął, w nadziei, że któryś z pojazdów odjedzie, pozostawiając skrawek wolnej przestrzeni. Wtedy z tłumu wyskoczył wysoki automat ubrany w szczelnie zapiętą kurtkę.

- Nie widzi pan znaku? - krzyknął i sięgnął do jakiejś torby przewieszanej przez ramię.

- Przepraszam - powiedział szybko chłopiec naciskając pedał gazu. Jednak nawet kiedy już odjechał, ów automat nie przestawał wymachiwać za nim groźnie czymś, co miał w tej swojej torbie.

Minęło jeszcze dobre dwadzieścia minut, zanim wreszcie mógł się zatrzymać. Zgasił silnik i przez dłuższą chwilę siedział bez ruchu, czując, że kombinezon lepi mu się do pleców. Następnie kilka razy odetchnął głęboko, wziął mapkę, wysiadł, zamknął za sobą drzwiczki i ruszył szybko ulicą prowadzącą w stronę zamku.

Określenia „ruszył szybko” nie należy rozumieć zbyt dosłownie. Raz po raz musiał przystawać, żeby omijać grupki robotów wiodących głośne rozmowy i wymachujących ramionami. Ponadto te wielkie, oszklone kabiny przyciągały jego wzrok jak magnes. Były chyba specjalnie zrobione tak, żeby nie można oderwać od nich oczu. Ukazywały takie zbiorowisko przedziwnych różności...

Wreszcie nie wytrzymał. Przepchał się jakoś pod same ściany budynków i zaczął iść coraz wolniej.

Za szybą ktoś umieścił ogromną, pochyloną płytę i przymocował do niej w przemyślny

sposób mrowie... talerzyków. Czegóż tam nie było! Naczynia, podstawki, spodeczki w kształcie koła, jaja, kielichów, bumerangów, kwadratów, najcudacniejszych wielokątów...

A cóż to może być? Niemożliwe przecież, żeby ludzie jedli na tylu różnych przedmiotach! Jakaś wystawa nakryć stołowych, używanych od zarania dziejów? Ale te rzeczy wyglądają jak nowe...

Postawszy chwilę Maciek stwierdził, że i tak nie dojdzie, o co tu chodzi, wzruszył więc ramionami i poszedł dalej. Wkrótce jednak znowu musiał się zatrzymać. Tym razem za przezroczystą ścianą wirowała powoli okrągła podłoga, na której przed oczami widzów przepływały wciąż nowe archaiczne radia, adaptory i magnetofony. Trzeba było czekać pełne pięć minut, żeby ujrzeć po raz drugi ten sam egzemplarz. Także i te przedmioty różniły się głównie kształtami, jakby nie było wszystko jedno, czy słucha się dobrej muzyki z dobrego magnetofonu przypominającego na pierwszy rzut oka egipską piramidę, czy też raczej podobnego do hipopotama. Przy każdym aparacie stała karteczka z wypisaną na niej liczbą. Początkowo chłopiec myślał, że to są numery eksponatów, ale potem zauważył, że niektóre liczby się powtarzają.

- Ale magnet! - odezwał się ktoś tuż za jego plecami. Maciek drgnął i odwrócił się szybko. Przed szklaną ścianą zatrzymały się dwa automaty udające młodych mężczyzn ubranych w pstrokate stroje.

- Tak, ale jaka forsa - powiedział melancholijnie drugi.

- No... cholera!... - w głosie tego, który pierwszy zachwycił się „magnetem”, brzmiało jakieś zawistne uznanie.

W tym momencie Maciek przypomniał sobie, że jest na trasie. A chociaż nie lubił historii, to jednak wbrew temu, co głosił wuj Alf, liznął jej dostatecznie, żeby wiedzieć, jak zachować się w historycznym mieście. Obdarzył obu młodych ludzi uprzejmym uśmiechem, po czym uklonił się im i powiedział:

- Przepraszam. Czy nie przeszkadzam?...

Obydwa roboty spojrzały na niego tak, jakby nagle ujrzały przed sobą niebieską żyrafę w próżniowym kasku.

- Dać mu kopa? - szturchnął wreszcie swojego towarzysza ten pierwszy.

- Zostaw - drugi splunął Maćkowi pod nogi, po czym zawyrokował: - to jakiś wariat...

Pierwszy skinął potakująco głową. Następnie obydwaj odwrócili się i odeszli.

ABZ-22 otarł pot z czoła. Zrozumiał, że popełnił błąd, ale ani rusz nie mógł sobie uprzytomnić, na czym ten błąd polegał. Przecież był grzeczny...

- Rupieć! - mruknął mimo woli. Co to wuj Alf mówił o zasługach przodków?...

Z bocznej ulicy dobiegły naraz głośne okrzyki. Z chrypiącego głośnika popłynął fragment jakiejś melodii, a potem przez ten sam głośnik ktoś zaczął wołać, że czas zrobić z tym porządek. Z czym?

Maciek odprowadził wzrokiem dwóch młodych „ludzi”, po czym doszedł do rogu i przystanął. Środkiem jezdni nadchodziła zwarta grupa robotów. Na przedzie szła dziewczyna niosąc na drągu kwadratową tarczę z napisem: „Przerwać wyścig zbrojeń!” Ktoś idący w dalszych szeregach wymachiwał jeszcze większą tablicą ze słowami: „Codziennie dwanaście tysięcy ludzi umiera z głodu! Dać chleb głodującym, zamiast przeznaczать pieniądze na atomowe łodzie podwodne!”

W maszerującej gromadzie nie brak było obok dziewcząt i chłopców osób starszych, a nawet zupełnie starych. Ci ostatni stanowili jednak mniejszość. A wszyscy byli ubrani jakoś bardziej zwyczajnie, mniej krzykliwie niż na przykład ta dwójka, która przed chwilą obeszczała się tak nieuprzejmie z zawodnikiem ABZ-22.

Maciek stał jeszcze, na próżno próbując się domyślić, co tym razem twórcy muzeum chcieli dać do zrozumienia zwiedzającym i czemu sędziowie kazali mu się spotkać na trasie z takim pochodem, kiedy gdzieś niedaleko odezwało się dziwne, przeciągłe wycie. Tłum, który przypatrywał się idącym, zaczął nagle rzędnąć. Chłopca porwała rzeka „ludzi” i wówczas uświadomił sobie, że zamiast lecieć co tchu do celu, stoi i gapi się marnując bezcenne sekundy.

Przebiegł kilka metrów, a potem zaczął iść szybkim, wydłużonym krokiem. Minął trzy skrzyżowania, wszędzie posłusznie czekając na zielone światło i wreszcie ujrzał w oddali, nad dachami, strzeliste wieże zamku. O mało nie krzyknął z radości. W tym momencie wpadł na kogoś, kto próbował przemknąć mu tuż przed nosem.

- Ty gamoniu!... - usłyszał zdyszany, gniewny głos.
- Przepraszam najmocniej! - wykrzyknął przestraszony.
- Gamoniu... gamoniu...
- Przecież powiedziałem „przepraszam”...
- Gamoniu... gamoniu... gamoniu...

„Zaciął się” - pomyślał Maciek i to odkrycie wprawiło go w nieco lepszy humor. Nie odliczą mu punktów, bo to nie jego wina, skoro wpadł na zepsutego przechodnia, ale niezależnie od tego, co za ulga przekonać się naocznie, że cały ten przerażający tłum, to rzeczywiście tylko sztuczne, muzealne eksponaty. Pewnie, że wiedział o tym od początku, niemniej chwilami złudzenie było wręcz doskonałe, a sceny tak dziwne i straszne...

Szedł coraz szybciej. Minął wąską, łukowato sklepioną bramę i nagle otworzył się

przed nim wspaniały, zielony krajobraz. Zaczął biec. Prosta jak strzała droga zaprowadziła go do podnóża budowli jakby zawieszonych na gigantycznej pajęczynie. Ta ostatnia, rozpięta między strzelistymi, skośnymi dźwigarami, śmigającymi wysoko w niebo, unosiła niewielkie domki o pastelowych barwach i wysmukłe gmachy. Pod całym tym drugim miastem, nazywanym „nowym”, rozciągała się łąka pełna kolorowych kwiatów.

Trzy minuty później ruchome schody wyniosły Maćka na najniższą kondygnację zabudowań. Ujrzał dokoła jasne pawilony o wielkich oknach. Także i tu, za szklanymi ścianami, leżały różne przedmioty, ale nie było ich aż tyle i nie przytłaczały mnogością kształtów. Niektóre z nich być może udałoby się odnaleźć jeszcze i dzisiaj, w tradycyjnie urządzonych mieszkaniach.

Mury rozstały się i przed Maćkiem wykwitła wstęga z napisem: „meta”. Był to najpiękniejszy napis, jaki ktokolwiek kiedykolwiek umieścił na jakiegokolwiek wstędze. Zaraz za linią mety, na obszernym placu stały białe jak śnieg stoły. Za nimi krzatali się zawodnicy, którzy wyruszyli na trasę przed ABZ-22.

Maciek oddał sędziemu swoją kartę i nie rozglądając się ruszył prosto w stronę najbliższego stołu. Wypił duszkiem dwie butelki coli i nagle zamarzył o kąpieli w morzu. Ogarnęła go taka tęsknota do bałtyckiej plaży, że musiał zamknąć oczy. Dłuższą chwilę stał bez ruchu, wyobrażając sobie, że biegnie po złotym, rozpalonym od słońca piasku, wpada do wody, która pryska spod jego stóp tysiącami lśniących, szmaragdowych kropli, zanurza się...

- Hej, masz już dość? - zaśmiał się ktoś tuż obok niego.

- Co... a, to ty - Maciek rozpogodził się ujrawszy spoconą twarz Roalda. - Jak ci poszło?

- Tak sobie. Człowieku, ależ to łaźnia!... brrr... - wzdrygnął się „cudowny brat”. Maciek skwapliwie przytaknął.

- Co za bzdury, żeby coś takiego umieszczać w programach sportowych zawodów - rzekł z najgłębszym przekonaniem. - Pomijając wszystko, przecież tak nie mogło być naprawdę!

Rolad otarł twarz ręcznikiem, odetchnął, zastanowił się, po czym powiedział:

- Nie wiem. Słyszałem od wuja Alfa...

- Co od wuja Alfa?! - zahuczał znajomy baryton. - Co od wuja Alfa? Jak wam nie wstyd obgadywać starych profesorów! No i co? Ładnie było?

- Nikt nikogo nie obgadywał... - zaczął z urazą Maciek, ale przerwał mu Roald.

- Mówiliśmy właśnie, że nie chce się wierzyć, aby takie miasta istniały kiedyś naprawdę... - zagadnął podchwytliwym tonem.

- Takie? - historyk rozejrzał się po zielonym placu.

- Myślę o tamtym pierwszym.

Wuj Alf otworzył usta i nadął się, jakby chciał swoim zwyczajem porazić słuchaczy karcącym okrzykiem, ale nagle zmienił zamiar i tylko powoli wypuścił z płuc powietrze.

- A już myślałem, że Ito Oyo rozjaśnił wam trochę w głowach - westchnął.

- Nie wolno denerwować zawodników przed startem - powiedział prędko Maciek.

- Ha! Denerwować! Czy ja coś mówię... - wycofał się niespodziewanie historyk. - Oba te miasta - spojrzał na Roalda z nieodgadzionym wyrazem twarzy - istniały równocześnie, w tej samej epoce. Tamto pierwsze powstało tylko nieco wcześniej... A Muzeum zbudowaliśmy nie dlatego, żeby straszyć współczesnych głupimi bajkami z bardzo dawnych czasów, tylko żebyśmy pamiętali, ile wycierpieli nasi przodkowie i jak pracowali, zanim... - przerwał na chwilę, znowu westchnął i mówił dalej: - Kiedy żyli mieszkańcy tych miast, nauka musiała jeszcze rozwiązywać doraźne problemy: dostarczać energii, walczyć z chorobami, brakiem surowców, maszyn, podstawowych towarów, żywności...

Maciek przypomniał sobie napis na tablicy, którą nieśli uczestnicy owego tajemniczego pochodu.

- Ale to niemożliwe, żeby codziennie dwanaście tysięcy ludzi umierało z głodu!... - zawołał. - Przecież tyle tam mieli przeróżnych rzeczy...

- „Niemożliwe, niemożliwe” - powtórzył z zadumą Alf Nielson. - W czasach, z których pochodzi to stare miasto, ludzie ginęli w wypadkach, głodowali, pokonywali codziennie, tysiące kłopotów, a równocześnie ich nauka podsuwała już rozwiązania, dzięki którym mogliby się uwolnić od tych plag, gdyby działali wspólnie dla wspólnego dobra. Zdawali sobie z tego sprawę, i to było dla nich najgorsze. Więc wiele ludzi o słabszych charakterach chciało za wszelką cenę znaleźć się wśród uprzywilejowanych. To dla nich wytwórcy i handlowcy prześcigali się w wymyślaniu towarów, które byłyby choć trochę ładniejsze, trochę inne, a równocześnie droższe niż te, które mieli ich znajomi, sąsiedzi, współpracownicy. Spieszyli się, wrywali sobie pieniądze i przedmioty, żeby zdobyć ich jak najwięcej i w ten sposób zyskać dostęp do zdobyczy cywilizacji i nauki, z których wówczas mogli korzystać jedynie nieliczni... przynajmniej na znacznej części kuli ziemskiej. Zapomnieliście, jak pięknie Ito Oyo mówił o kraju Całków, który jako jeden z pierwszych uwolnił się od kultu przedmiotów? Ale gdzie indziej niektórzy ludzie załamywali się, wpadali w obłąd. A inni podejmowali walkę. Dążyli do sprawiedliwego podziału owoców ludzkiej pracy i osiągnięć ludzkich umysłów. Mówiliśmy dotychczas o tamtym pierwszym mieście, prawda?

- No... - bąknął Maciek, nieco oszołomiony niespodziewanym wykładem.

- Właśnie. A to tutaj? - historyk zatoczył dłonią szeroki łuk, obejmując nim jasne, ładnie zakomponowane domki, szerokie place, a także zabezpieczone ażurowymi płótkami „oczka” tej jakby sieci, na której wisiały zabudowania, pozostawiając pod sobą wolną, zieloną łąkę. - Wiecie już, że to miasto powstało wtedy, kiedy w tamtym pierwszym działaniu się jeszcze to, coście widzieli. Postawili je ludzie wychowani w tym samym świecie. - Takich akurat miast było niewiele, eksperymentowano, żeby znaleźć formy osiedli, których mieszkańcy czuliby się najlepiej. Wszyscy mieszkańcy, nie tylko bogaci. Ale to świat tego pierwszego miasta wydał umysły, dzięki którym życie zmieniało się na lepsze. Powinniśmy wiedzieć, ile zawdzięczamy tym naszym przodkom, którzy nie godzili się z porządkiem, jaki zastali i w jakim się wychowali...

- O czym mówicie? - odezwał się tuż za Mackiem znajomy głos. Chłopiec obejrzał się i ujrzał Annę. Zasluchani w wywody historyka nie słyszeli, kiedy dziewczyna podeszła i stanęła za ich plecami.

Wuj Alf poweselał od razu.

- Maciek mówił właśnie - zaczął z namaszczaniem - że w tych historycznych miastach najbardziej podobały mu się dziewczęta i że dzisiaj już takich nie ma. Co najbardziej mnie dziwi, Roald w zupełności przyznał mu rację. Nie uważasz, że to brzydko z jego strony?

- Co?! Ja... nie! - wykrzyknął przerażony „cudowny brat”, odruchowo wyciągając rękę w stronę Anny. Ta jednak zrobiła pół kroczku do tyłu i zmierzyła chłopca chłodnym spojrzeniem.

- Nie uważam tego za dobry żart - wycodziła.

- Ależ ja naprawdę! - wykrztusił Roald, który zrobił się purpurowy. - Aniu...

- Nie cierpię, kiedy mi mówią „Aniu”... - tym stanowczym słowem towarzyszyło pogardliwe skrzywienie ust. - Uważam zdrabnianie imion za idiotyczną manię. Na imię mi Anna - dorzuciła, po czym obróciła się na pięcie i powoli odeszła. Chociaż bardziej na miejscu byłoby określenie: odpłynęła.

Roald spojrział na historyka z niemym wyrzutem. Wuj Alf jednak, zamiast się przejąć i pośpieszyć z wyrażeniem skruchy, zarechotał głośno:

- Nie przejmuj się, młody człowieku. Tym bardziej będzie cię lubiła! Nie macie pojęcia o historii, ale to wcale nie znaczy, żebyśmy choć trochę więcej wiedzieli o dziewczętach!

Przez głośnik padły słowa:

- Uwaga, zawodnicy. Za dziesięć minut start. Proszę się przygotować...

- O, jej! - wykrzyknął historyk. Złapał się za głowę, po czym, mamrocząc coś pod nosem, pocwałował na przelaj przez plac, ku stolikom jurorów.

- Pewnie już na niego czekają - zauważył z uśmiechem Maciek. - Słuchaj - dodał, kiedy szli obok siebie w stronę linii startowej - czy ty... to znaczy, myślałem o Annie...

- Co ja? - odburknął Roald.

- No, mniejsza z tym - wycofał się czym prędzej ABZ-22 myśląc, że wuj Alf miał jednak trochę racji. Nawet ten zawsze zrównoważony Roald...

Zawsze zrównoważony Roald uśmiechnął się w pewnej chwili. Był to przelotny uśmiech i mógł pojawić się na twarzy kogoś, kogo przed chwilą użądliła osa.

- Przepraszam cię - powiedział cicho. - Tak lubię Annę i nie chciałbym, nie chciałbym... ona jest bardzo fajna...

Maciek miałby może i tym razem ochotę wysunąć niejaki zastrzeżenia, ale pomyślał nie bez pewnej dozy słuszności, że jako krewniak tej, o której była mowa, nie jest zapewne zupełnie bezstronny. „Bo co by było - przeszło mu przez głowę - gdyby Roald powiedział coś niemiłego o swojej siostrze.”

Sama myśl o podobnej ewentualności poruszyła go do żywego. Szedł przez chwilę w milczeniu, po czym mruknął:

- To ja cię przepraszam. Nie powinienem był...

Na tym wymiana uprzejmości została chwilowo przerwana, ponieważ obydwaj znawcy dusz dziewczęcych stanęli przed obliczem profesora Tunnera. Jeden z sędziów, siedzący przy bocznym stoliku, sprawdził numery startowe przybyłych, po czym podał im karty startowe. Wszystko to odbyło się w zupełnej ciszy. Za kilka minut rozpocząć się miała pierwsza z dwóch koronnych konkurencji Sześcioboju. Bieg Mars-maratoński.

6

BAW - 3, proszę o drogę

Kiedys, w czasie pierwszych Astroniad, konkurencja nazywała się „biegiem między pomnikami”. Tuż obok linii startu, zasłonięta teraz przez zwartą grupę zawodników, znajdowała się płyta upamiętniająca Pierwsze Lądowanie. A u celu czekał zbudowany znacznie później Pomnik Człowieka. Potem jednak rozszerzono konkurencję: do biegu dodano pływanie, kajaki, narty i wszystko to nazwano Mars-maratonem. Pewnie znowu skusił kogoś wyniosły szczyt Olimpu i tradycja związana z jego nazwą.

Jeden punkt regulaminu biegu był dla Maćka niejasny. Na jego startowym arkusiku widniały słowa: „Po osiągnięciu celu uczcić Pomnik Człowieka. Po drodze ferma kwiatów”.

Tyle. Co to znaczy „uczcić”? I dlaczego powiedziano tylko „po drodze ferma”? Czy należało sporządzić bukiet i złożyć go na skalistym cokole, górującym nad krawędzią przepaścistej doliny Coprates?

Mniejsza z tym. Na zastanawianie się przyjdzie czas, kiedy dobiegnie do tej fermy... zresztą czy za kwiatki mogą dodać lub odliczyć więcej niż dwa, trzy punkty? Jeśli tylko w czasie samego biegu pokaże, na co go stać...

- Uwaga, start!

Maciek ruszył, patrząc spokojnie, jak przeganiają go inni. Do rzeki było zaledwie trzysta metrów. Nie opłacało się od razu zgrzać ani zmęczyć. W wodzie można zbyt wiele stracić.

Łąka opadała łagodnym stokiem, a rzeka miała barwę niemal jak ziemską, tylko jej błękit był lekko zmacony fioletem. Tak w każdym razie wyglądała tutaj, pod niewidoczną kopułą nakrywającą zamieszkaną strefę.

- Droga! - usłyszał za sobą czyjś głos. Nie odwracając się, rzucił wesoło:

- Prosto przed siebie!

Któż tutaj, na otwartej przestrzeni, mógł prosić o wolną drogę? Chyba jakiś zupełny nowicjusz. Ale tacy przecież nie wygrywają eliminacji, więc?...

Minęła go drobna sylwetka w złotawym kostiumie. Dziewczyna posłała Maćkowi przelotny uśmiezek i pomknęła dalej.

Chłopiec zupełnie odruchowo podciągnął spodniki kąpielowe i przyspieszył. Oczy oczami, ale ich zadowolona z siebie posiadaczka pływa jak ryba. Rodzeństwo Sviergow nie darmo nazywano „cudownym”. Nie należy zostawać zbyt daleko z tyłu.

Ogarnęła go radość. Jak to dobrze, że wreszcie nie siedzi sam w maleńkiej rakietce, że

nie przedziera się - także samotnie - przez jakieś monstrualne miasto, tylko biegnie ramię przy ramieniu z innymi i wszyscy od razu widzą, kto jest lepszy, a kto akurat przechodzi kryzys.

Zbiegł po niewysokiej skarpie i pięknym szczupakiem rzucił się w wodę. Była zimna, zimniejsza nawet niż Bałtyk w najchłodniejsze, lutowe dni, ale mimo wszystko miała swoje siedemnaście stopni ciepła. W sam raz, żeby nabrać ochoty do szybkiego pływania.

Tor wolny wytyczały kolorowe boje. Zaraz za pierwszym zakrętem odsłoniło się małe jeziorko. Jak dotychczas rzeka płynęła wyżyną podchodzącą aż po same podnóże Olimpu. Dopiero za jeziorkiem spadała kilkusetmetrową kaskadą w dół i najpierw zmieniała kolor na brudnoczerwony, a potem ginęła wśród głazów, by w głębi zastygnąć w pierwotny, marsjański lód.

Tor przecinał jeziorko i wyprowadzał na wąską groblę pomiędzy rzeką a płynącym równoległe do niej rwącym górskim potokiem, znikającym dalej w kamienistej dolinie. Na tym potoku miał się odbyć drugi etap biegu: slalom kajakowy.

Maciek dotarł do brzegu jako jeden z pierwszych. Błyskawicznie włożył kombinezon i biegł już w stronę przystani, kiedy znowu usłyszał za sobą słowa:

- Daj drogę!

Także i tutaj nie było jeszcze w zwyczaju prosić o wolne przejście. Ale tym razem Maciek od razu poznał ten głos i pomyślał, że miał rację wysoko oceniając pływackie umiejętności złotej Iny. Złota nie złota, Ina nie Ina, ale wyprzedzić się przecież nie pozwoli. Zresztą, choć twarz dziewczyny była uśmiechnięta, to „daj drogę” wymówiła już lekko zdyszonym głosem. Widać dotrzymanie kroku Maćkowi kosztowało ją sporo trudu. Natomiast jej brat dopiero teraz wynurzył się z rzeki. Ale Roald sam, już w czasie pierwszego spotkania przed domem rodziny Całków, wyznał, że nie lubi Mars-maratonu.

Nie lubi, to nie lubi. Jego sprawa. Trudno od kogoś, kto interesuje się muzyką, oczekiwać, że na trasie prawdziwego biegu dorówna przyszłemu specjalście Ośrodka Badań Pozaukładowych...

Maciek wskoczył do oznakowanego jego numerem kajaku z takim impetem, że mało brakowało, a od razu wylądowałby z powrotem w wodzie, chociaż tym razem zgoła poza konkurencją. Odbił się jednak wiosłem od dna i w ostatniej chwili uniknął kraksy. A kilka sekund później mijał już pierwszą bramkę. Za nią gwałtowny zwrot i druga bramka. Teraz trzeba się było zatrzymać, cofnąć łódeczkę kilka metrów pod prąd i trafić między następne dwa słupki. Właśnie ktoś, kto był przed Maćkiem, zapędził się odrobinę za daleko i w tej chwili pracowicie zawracał, by raz jeszcze spróbować szczęścia. Przyszłemu budowniczemu gwiazd mignęła wykrzywiona w rozpaczliwym wysiłku twarz niefortunnego rywala i oto

znalazł się samotnie na prowadzeniu.

„Za wcześnie” - przemknęło mu przez myśl, ale czuł się świetnie i postanowił nie zwalniać. Zresztą, zaledwie pięćdziesiąt metrów dalej woda burzyła się gniewnie na skałach. Tam była meta slalomu. Jeszcze ostatnia bramka, ostatni ostry skręt, przy którym Maciek dosłownie położył się wraz z kajakiem na wodzie, żeby utrzymać równowagę, i już zaciemniała przed nim płyta niskiego pomostu.

Dobił do białej boi, przywiązał kajak i jednym susem znalazł się na brzegu. Wtedy nagle tuż obok niego pojawił się znajomy, zwalisty kształt z rozcapierzonymi antenami na ramionach.

- Klocuś! - ucieszył się chłopiec, jakby spotkał najmilszego kolegę, którego nie widział od roku.

- Proszę? - zabrzmiał nieco zbyt chłodny głos. Maciek roześmiał się od ucha do ucha.

- Dobrze, dobrze, ABZ-22-Bis! - wykrzyknął. - Wygramy?!

- Ja nie startuję - odpowiedział zwięźle Klocuś, po czym wzniósł się w górę, żeby nie przeszkadzać następnym zawodnikom, nad którymi także zaczęły się pojawiać ich roboty opiekuńcze. Granica zamieszkanego strefy była już bardzo blisko.

Maciek dobiegł do strażnicy i wpadając w otwarte wewnętrzne drzwi obejrzał się. Nadal był pierwszy. Wysoki chłopiec w ciemnozielonym kombinezonie biegł jakieś pięć metrów za nim. Maciek miał prawo wskoczyć do służby i zatrzasnąć za sobą włącznik, aby włożyć skafander i wyjść na niestrzeżoną powierzchnię Marsa już ze znaczną przewagą. Zawahał się jednak. Za zielonym był odstęp nie pięciu, ale przynajmniej jedenastu metrów i dopiero w tej odległości podążała następna trójka rywali.

- Chodźże szybciej! - krzyknął i od razu zdjął z wieszaków dwa skafandry. Jeden z nich zaczął pośpiesznie wciągać na siebie, a drugi rzucił nadbiegającemu. Teraz dopiero przycisnął guzik zamykający służbę.

- Dziękuję... - wydyszał zielony.

Maciek, który stał już przy automacie sprawdzającym szczelność skafandrów, zorientował się, że musiał już kiedyś widzieć tę twarz.

- Ty jesteś... - zaczął z wahaniem.

- Ibn Kazi - podchwycił zielony. - BAW-3. My się już znamy, chociaż, kiedy widzieliśmy się ostatnio, mówiłeś tylko o swoim wykopie na Wawelu... - te słowa dobiegły Maćka za pośrednictwem słuchawek, bo obydwu wyrosły już na głowach przezroczyste banie próżniowych kasków.

- Coś ci się pokręciło - odrzekł ABZ-22 wruszając ramionami. On miałby mówić o

wykopie? Nonsens. - Nonsens - powiedział na głos z najgłębszym przekonaniem.

Ibn Kazi odpowiedział nieodgadzionym uśmiechem i na tym rozmowa się urwała, bo niedawni towarzysze walki z potokiem meteorów i koledzy ze śluzy na powrót stali się rywalami. Kłapa włazu uciekła w górę, ujrzeli różowa we niebo i ścieżkę wspinającą się stromo ku skalistym ścianom Olimpu.

- ABZ-22, daj drogę - usłyszał Maciek. Tym razem nie był to głos Iny.

„Rupieć!” - pomyślał ustępując posłusznie na bok, żeby przepuścić BAW-3, który nie komu innemu, ale właśnie Maćkowi zawdzięczał, że nie stracił co najmniej minuty przed zamkniętym włazem śluzy. Ale trudno. Sport, to sport.

„Poczekaj - obiecał sobie w duchu chłopiec - jeszcze inaczej zaśpiewasz...”

Tymczasem wziął się serio do wspinaczki. Chwyty, podciągnięcia, wyciągnięcia stopnia, potem drugiego, chwyt, podciągnięcie... teraz klika metrów piargu, można przebiec długimi susami.

Można przebiec...

- ABZ-22, uwaga! - rozległ się lekko spłoszony głos robota i Maciek nagle poczuł, że kamienisty grunt usuwa mu się spod nóg. Pierwsze kamyki ustępowały pod jego ciężarem jakby niechętnie, może zdąży, żeby tylko jeszcze jeden, maleńki kroczek...

W tym momencie poleciała prawdziwa kamienista lawina. Chłopiec w ostatniej chwili zdążył zacisnąć palce na krawędzi skały i to go uratowało... w każdym razie przed natychmiastową interwencją Klocusia. Robot nie śpieszył się, jakby wiedział, że każda pomoc z jego strony oznacza dla zawodnika utratę bezcennych punktów. A nawet jeśli Maciek nie utrzyma się na tym głazie, jeśli nie uda mu się znaleźć najmniejszego choćby oparcia dla stóp i nie zdoła wrócić na ścieżkę, to pod nogami chłopca zieleje teraz kilometrowa przepaść. Zanim przeleci dwadzieścia metrów, robot zdąży pochwycić go miękko w swoje zbawcze, pająkowe ramiona.

Na razie jednak mijały sekundy, a Maciek na próżno to jedną, to drugą stopą szukał w gładkiej ścianie jakiegokolwiek stopnia. Poczuł, że jego palce słabną, osunął się kilka milimetrów niżej... już Klocuś drgnął i przybliżył się nieco, gdy w górze zabrzmiał zdyszany głos:

- ABZ-22, na drogę!

Maciek wyteżył wszystkie siły, żeby ponownie zacisnąć palce na krawędzi skały i żeby jego głos zabrzmiał mniej więcej normalnie:

- Przecież właśnie ustąpiłem ci z drogi, nie widzisz? Czego jeszcze chcesz?...

- Tak nie daje się drogi - zachichotał BAW-3, który usłyszał huk spadającej lawiny i

zawrócił. - Podaj mi rękę!

- Poczekaj, tylko podskoczę - mruknął dosłownie z wisielczym humorem Maciek. - Auu! - zakończył niespodziewanie, szarpnięty przez Ibn Kaziego tak gwałtownie, że mało brakowało, a przefrunąłby nad skalną drózkę jak kura, która zamierzała usiąść na płocie, ale źle obliczyła odległość. Klocuś znowu zniżył się odrobinę, lecz zaraz, uspokojony, wrócił na poprzednie stanowisko.

Maciek zerknął na wskaźniki umieszczone pod okapem kasku, sprawdził, czy butle z tlenem są całe, po czym odruchowo pocierając sobie ramię powiedział:

- Dziękuję. Trzeba przyznać, masz krzepę...

- Nie ma za co. A teraz, ABZ-22, proszę o drogę!

I zanim Maciek zdążył dać krok do przodu, BAW-3 odsądził się od niego o dobre kilka metrów.

- Tylko na chwilę - rzucił za swoim wybawcą, po czym spojrzał w górę, nie wiedząc czemu pogroził palcem Klocusiowi i podjął przerwana wspinaczkę. Do szczytu pozostało jeszcze przeszło dwadzieścia minut niemal pionowej, zębatej drogi.

Całe zajście nie trwało dłużej niż pięćdziesiąt sekund. Główna stawka zawodników wciąż była stosunkowo daleko z tyłu, jednak przed Maćkiem uciekał ten BAW-3, który najwidoczniej miał siłę młodego słonia.

„Zobaczymy, jak sobie radzi z nartami i jak biega” - pocieszył się w myśli Maciek pokrępiiony na duchu faktem, że przed nim jeszcze trzy czwarte trasy, ruszył szparko pod górę.

Na mecie wspinaczki umiejscowiono punkt kontrolny, do którego sędziowie przybyli w wygodnych, małych pojazdach. Nie było wśród nich, to znaczy wśród jurorów, nie pojazdów, ani wuja Alfa, ani profesora Ito Oyo. Zresztą, Maciek nie szukał znajomych twarzy. Gdy mężczyzna przy stoliku zwrócił mu potwierdzoną przez komputer kartę, puścił się biegiem w stronę przygotowanych zawczasu nart. Wbite pionowo w śnieg, przypominały z daleka staroświecki drewniany parkan. Tylko w jednym miejscu widniała w nim wąska szczyrba. Brakowało jednej pary. Jednej jedynej. Ibn Kazi stał już na starcie zjazdu, sprawdzając wiązania. Dokładnie w chwili, gdy Maciek znalazł się obok niego, ruszył ostrym szusem, w dół.

Pęd gwizdał w uszach, ledwo przetarta trasa wiała się łagodną wstęgą po szerokim jęzorze lodowca. Maciek przeleciał jak ptak przez kilkanaście niebezpiecznych muld, od razu

wszedł płynnie w wiraż, ale odległość dzieląca go BAW-3 nie zmniejszyła się ani o metr.

- Słabo niesie - syknął w pewnej chwili przez zęby - Czy on ma może lepsze narty? - odruchowo zerknął w górę.

Ciemny kształt sunął milcząco kilkanaście metrów nad jego głową. Widać było wyraźnie awaryjne butle tlenowe, przymocowane do jego grzbietu na wypadek, gdyby w czasie wspinaczki lub zjazdu podopiecznemu zawodnikowi przytrafiła się jakaś niemiła przygoda.

- Wiem, co o mnie myślisz - zachnął się Maciek - ale mógłbyś być odrobinę mniej dyskretny. Przecież o nic cię nie proszę.

- Sam mówiłeś, żebym się nie odzywał przy ludziach - przypomniał Klocuś.

Chłopiec nie odpowiedział. Po pierwsze - robot jak zwykle miał rację, a po drugie zaczął się właśnie najtrudniejszy fragment trasy. Droga wpadała między wysokie ściany wąskiego skalnego żlebu. Trzeba było bardzo uważać, żeby w porę wchodzić w krótkie, nieprzyjemne łuki i nie zawadzić nartą o któryś z wystających spod lodu głazów.

Za wąwozem odsłonił się widok na niezmierną równinę poprzerzynaną rozpadlinami i pęknięciami przypominającymi z góry czarne wstążki rozrzucone na stole nakrytym czerwonym obrusem. Tutaj kończył się lodowiec i kończył się sinusoidalny tor zjazdu. Maciek zahamował tuż przed stolikiem sędziowskim i, podając swoją kartę, obejrzał się. Trzy figurki, mknące po białoróżowym lodzie były niebezpiecznie blisko. W pewnej odległości za nim jechała grupka złożona z sześciu, siedmiu zawodników. Chłopcu wydało się, że poznaje sylwetki Iny i Dahry, ale nie miał czasu, żeby przyglądać się tym, którzy deptali mu po piętach. BAW-3 był ciągle przed nim.

Błyskawicznie zrzucił narty i czekając na swoją kartę, którą komputer trzymał tym razem jakoś dłużej niż zwykle, rozejrzał się po równinie.

Bezpośrednio pod nim szeroka skalna półka sprowadzała na samo dno doliny Coprates. Tędy szła trasa biegu. Potem droga wychodziła z cienia i wznosiła się aż na szczyt krawędzi gigantycznego jaru.

W głębi, nieco z boku, widniały trzy wielkie, wulkaniczne stożki, tak samo łagodne jak Olimp, ale nieco niższe.

Z miejsca, gdzie stał Maciek, widać było bez mała połowę północnej części Marsa. Dawniej ludzie woleli robić wycieczki na południe, na tamtejszą wyżynę zrytą wielkimi, mniejszymi i całkiem małymi kraterami, pozostałymi po uderzeniach meteorytów. Dopiero kiedy tutaj, na północy, u stóp Olimpu zaczęto rozgrywać Astroniady, kiedy założono fermy hodowlane i zbudowano miasta-muzea, moda się zmieniła. Teraz właśnie Dolina Marinera,

uznana od kilkudziesięciu lat za ścisły rezerwat, stanowiła ulubiony cel wypraw indywidualnych turystów, wycieczek szkolnych, wreszcie sportowców. I nic dziwnego. Nizina, z jej siecią groźnych, przepaścistych wąwozów, gdzieśgdzie krzyżujących się ze sobą, a w innych miejscach biegnących dziesiątkami kilometrów prosto jak strzeł, była niezwykle piękna i ciekawa.

- Proszę - powiedział sędzia, wręczając Maćkowi kartę.

ABZ-22 natychmiast przestał podziwiać krajobraz. Wyprostował się, odetchnął głęboko i ruszył na oznakowaną chorągiewkami trasę ostatniego, najdłuższego odcinka Marsmaratonu.

Biegł miękko, długimi krokami, uważając, gdzie stawia stopy, aby nie narazić się na potknięcie. Każde fałszywe stąpienie groziło upadkiem, a więc utratą sił, co mogło okazać się nie do odrobienia - jeśli nie teraz, to na ostatnich metrach.

Zbiegł po szorstkich, skalnych płytach, następnie przeskakując zgrabnie z kamienia na kamień przebył niewielkie osypisko i jeszcze bardziej wydłużył krok, bo zaczął się krótki, prosty odcinek. Dalej, za czymś w rodzaju niskiego progu, ścieżka gwałtownie spadała w dół. Z tego progu ujrzał migający wśród skał skafander Ibn Kaziego i ten widok dodał mu skrzydeł. Nie zbiegł, lecz sfrunął na dno rozpadliny Coprates. Jeszcze pięćdziesiąt metrów, trzydzieści, dziesięć...

- BAW-3, daj drogę! - wysapał. Wezwany odsunął się posłusznie na bok i Maciek znowu znalazł się na czele. Przez kilkadziesiąt sekund biegł równym krokiem, słysząc w słuchawkach trochę świszający oddech rywala, po czym raptownie przyśpieszył. Pokonał w sprinterskim tempie dwa zakręty i zwolnił. Oddechu Ibn Kaziego nie było już słychać. Mimo to chłopiec po kilkunastu metrach ponowił swój manewr. Znowu poderwał się do sprintu. Dopiero kiedy wrócił do poprzedniego rytmu, odniósł wrażenie, że sprężyny w jego kolanach jakby nieco osłabły. W gardle poczuł jakiś drażniący pył, odchrząknął, ale niewiele to pomogło. Wiedział jednak, że BAW-3, przynajmniej na razie, nie jest już dla niego groźny.

Ścieżka wzniosła się nieznacznie, minęła groźny skalny nawis i ponownie opadła na dno doliny. Chłopiec wykorzystał niewielki spadek, żeby raz jeszcze przyśpieszyć. W ten sposób znowu zyskał kilka metrów przewagi.

Mijały sekundy, minuty. Szlak skręcił nagle i chorągiewki wytyczające trasę ukazały się wysoko, nad poszarpanym skalnym grzebieniem, stanowiącym krawędź wąwozu. Tutaj należało właściwie iść, koźła perć śmigła ostrymi zakosami pokonując niemal pionowe zbocze, ale chłopiec nie przestał biec, żeby nie wypaść z rytmu. Przed oczami pojawiła mu się jakaś różowa mgielka, potrząsnął głową, żeby ją przepędzić, ale zasłona nie ustępowała.

Kiedy wreszcie odzyskał ostrość widzenia, przed nim było nadal różowo. Wydostał się na otwartą przestrzeń i biegł teraz prosto w brzoskwińowe marsjańskie niebo.

W oddali zamajaczyły jakieś niskie, rozległe zabudowania, przed którymi widniały przysadziste budynki strażnicze. „Teren upraw” - pomyślał chłopiec. „Uczcić Pomnik Człowieka - przypomniał sobie zdanie z regulaminu. - Po drodze ferma kwiatów”.

A więc to tutaj. „Po drodze ferma kwiatów” - powtórzył w duchu Maciek, odruchowo skręcając w stronę najbliższego przejścia do strefy chronionej. Dopadł wjazdu, otworzył go i obejrzał się, ale Ibn Kazi był tym razem za daleko. Zresztą, nie będzie siedział w tej służbie dłużej niż kilka sekund. Nie musi się przebierać, wkrótce wróci przecież na pustynię.

Błysnęło zielone światło, dyżurny automat usłużnie otworzył skrzydło wewnętrznych drzwi i przed Maćkiem roztoczył się bajkowy widok. Jak okiem sięgnąć, na specjalnie przywiezionej księżycowej glebie rosły ogromne, strzeliste kwiaty o pysznych, wielobarwnych kielichach. Chłopiec podbiegł do pierwszej grządki i... stanął.

Z tych kwiatów otrzymywano rozmaite leki i substancje, nie hodowano ich po to, by cieszyły oczy przechodniów, ale... były bardzo piękne.

Mijały bezcenne sekundy, a ABZ-22 tkwił bez ruchu i wodził wzrokiem po nieskończonych kolorowych polach. Nagle przypomniała mu się twarz mamy, kiedy pochylała się przy drodze nad jakąś zdeptaną przez zwierzę lub nieopatrznie złamaną roślinką. Lena była przyrodnikiem, sama prowadziła rozmaite botaniczne doświadczenia, ale przynigdy nie zerwałaby żadnego kwiatka. „Uczcić Pomnik Człowieka. Po drodze ferma kwiatów”... Niech ich licho z takim regulaminem! Rupieć! Co to znaczy „po drodze”? Może w ogóle popełnił błąd składając wizytę tej pachnącej fermie? Przecież nie powiedziano mu, że ma tutaj wejść, tylko że ferma jest „po drodze”.

Wreszcie mruknąwszy coś niezrozumiale odwrócił się i pognął z powrotem do przejścia. Ibn Kazi z pewnością jest już daleko. Ani chybi wcześniej zastanowił się i doszedł do jedyne go rozsądnego wniosku...

W tym momencie wartownia otworzyła się i wypadła z niej sylwetka BAW-3. Maciek skorzystał z okazji i jednym susem znalazł się w środku. Kilka sekund później zewnętrzny wjazd wypuścił go z powrotem na pustynię. A jeśli Ibn Kazi zerwie jednak kwiaty i złoży je u stóp Pomnika? Ile punktów odliczą Maćkowi za opuszczenie zadania? „W razie czego wniosem odwołanie” - postanowił, bezwiednie zaciskając pięści. Na przyszłość niech się wyrażają mniej zagadkowo.

Przyśpieszył. Już niedaleko. Zaraz droga zejdzie z powrotem na dno rozpadliny Coprates, potem tylko półtora kilometra i ostatnia wspinaczka do podnóża pomnika.

Przeskoczył krawędź wąwozu i stromą ścieżką zbiegł tak szybko, że przy którymś z kolei kroku omal nie przysiadł. Tak, te kolana naprawdę mógłby mieć człowiek zbudowane z jakiegoś solidniejszego materiału!

Jeszcze ostatni zakręt i zaraz...

- ABZ-22, skręć teraz w lewo - zabrzmiał z góry stanowczy głos. Jednocześnie robot opuścił się niżej i lecąc tuż nad powierzchnią gruntu wskazywał swemu podopiecznemu drogę.

- Dlaczego?! - wydyszał z rozpaczą chłopiec.

- W lewo! - rzucił zamiast odpowiedzi ABZ-22-Bis.

Zawodnik posłusznie skręcił. Wiedział, że tamten ma zapisany w swojej superpamięci plan trasy i nie może popełnić pomyłki. Po prostu Maciek zapomniał, że Komisja musiała mu przygotować jakąś niespodziankę po tym, co sam powiedział o swojej sprawności w Marsmaratonie.

Przestał odczuwać zmęczenie, nie wiedział nawet, czy oddycha. Od dawna nie patrzył już pod nogi. Niejasno zdawał sobie tylko sprawę, że znowu biegnie pod górę.

Jeszcze raz otworzyła się wokół niego nie objęta wzrokiem równina. Przez chwilę biegł po uciekającym spod nóg ostrym, ciemnoczerwonym żwirze, goniąc niewidzącymi oczami sylwetkę Klocusia. Zauważył jednak, że ten ostatni błysnął piętami dając nura w przepaść.

- Uwaga, zakręt - robot zniknął za krawędzią wąwozu. Tuż za nim skoczył ciężko Maciek.

Kamienista serpentyna sprowadziła półprzytomnego ze zmęczenia zawodnika z powrotem na dno rozpadliny, dokładnie w miejsce, od którego po przeciwnej stronie wybiegała w górę „normalna” trasa. Klocuś zajął swoją poprzednią pozycję nad głową chłopca. Przed nimi, niezbyt wprawdzie daleko, lecz w odległości zupełnie wystarczającej jak na ostatnie metry maratonu i stromiznę, widniała identyczna para. „Rupiec” - zdołał mgliście pomyśleć przyszły budowniczy gwiazd i chociaż jeszcze ułamek sekundy temu gotów był przysiąc, że biegnie i tak szybciej niż potrafi, że to same nogi niosą go tak prędko, zdobył się na ostatni, rozpaczliwy zryw. Sekunda... dwie... trzy... kto zresztą wie, ile ich było. W każdym razie, zanim uświadomił sobie, że w ogóle otworzył usta, usłyszał swój własny, świszczący, przerywany i dziwnie obcy głos:

- BAW... 3... daj... drogę...

Potem przestał słyszeć i widzieć. Oprzytomniał dopiero wtedy, kiedy dotarło do jego świadomości, że stoi w miejscu. To znaczy, że jego stopy przestały się poruszać, a tylko

kolana wykonują nadal jakieś nieskoordynowane, wahadłowe ruchy, jakby żyły swoim własnym życiem i zupełnie nie liczyły się ze swoim posiadaczem.

Nie potrafiłby powiedzieć, czy zatrzymał się ułamek sekundy temu, czy też stoi już od wielu minut. O minutach jednak nie mogło być mowy. W słuchawkach nadal panowała martwa cisza. A przecież BAW-3 nie omieszkaby skorzystać z zagapienia się swojego rywala.

Maciek powoli uniósł głowę. Przed nim, na prostej, z grubsza ociosanej skalnej płycie, stał wielki, niezbyt wysoki cokół. Jego brzegi lśniły różowawo, ale nie było na nich żadnych napisów, płaskorzeźb ani ozdób. Gładkie, surowe ściany tchnęły siłą i spokojem. A nad nimi łagodnym skosem uciekała w niebo jedna, jedyna gigantyczna kamienna płaszczyzna. Tkwiła w płycie cokołu jak wbite w marsjański grunt skrzydło. Tyle, że skrzydła są najczęściej zaokrąglone, a tutaj szczyt płaskiego prostopadłościanu był prosty, ucięty tak że człowiek mimo woli szukał wzrokiem jego dalszego ciągu.

I nagle chłopiec zrozumiał, że rzeźbiarzowi chodziło właśnie o ten dalszy ciąg, którego nie ma już w kamieniu, ale który musi pojawić się w umyśle człowieka patrzącego na jego dzieło. Pomnik Człowieka... Cóż za dziwny pomysł! Właśnie tutaj... i taki...

Ciągle patrzył w górę, tam gdzie było już tylko różowe niebo, ale gdzie powinno być przedłużenie biegnącej wzwyż płaszczyzny, tak wysokiej, a przecież uciętej jeszcze zbyt nisko, jakby budowniczym zabrakło surowca. Człowiek zawsze szuka czegoś więcej, patrzy wyżej j...

Czy o to chodziło projektantom? Trzeba zapytać wuja Alfa.

Dlaczego przyszedł mu na myśl wuj Alf? Maćkowi zadźwięczały w uszach słowa historyka, kiedy mówił o ludziach żyjących w dawnych czasach...

Może mieszkańcy tego muzealnego miasta także patrzyli dalej, wyżej, może przeganiali wzrokiem przeszkody, które piętrzyły się na ich drodze? Inaczej nie wychowaliby się wśród nich twórcy innych, nowych miast. A spomiędzy tych nie wyrosłoby z kolei ludzie, którzy uporządkowali wreszcie cały świat, uczynili Ziemię taką, jaka jest teraz.

Maciek będzie budował gwiazdy. Każda powinna mieć po kilka planet podobnych do Ziemi. Będą na nich panować te same, sprawiedliwe prawa, to samo wzajemne zrozumienie, te same łagodne obyczaje. Ale pewnie i wśród mieszkańców tych nie istniejących jeszcze gwiazd znajdą się ludzie, którzy będą patrzyli wyżej i dalej, którzy odkryją i rozwiążą nowe zagadki wszechświata, a równocześnie zrobią coś, żeby życie stało się jeszcze szczęśliwsze i bogatsze. W takim razie tak samo oni, z przyszłych światów, jak i mieszkańcy owego koszmarnego starego miasta mają swój udział w tym pomniku, który teraz na zakończenie

Mars-maratonu ma uczyć zawodnik ABZ-22...

Uczyć? Zakończenie?

Maciek obejrzał się w popłochu. Ibn Kazi jest tuż! Zamyślony, nie usłyszał jego ciężkiego, chrypiącego oddechu. Jeszcze kilka sekund, a przegra, przegra nieodwołalnie, bo przecież stoi jak tyka, powtarza słowa regulaminu „uczyć Pomnik” i nie robi nic... a co gorsza, nie ma najmniejszego pojęcia, co w ogóle mógłby zrobić!

- ABZ-22 ukończył konkurencję - doszedł z góry głos Klocusia. Chłopiec w pierwszej chwili nie zrozumiał.

- Co? - wykrztusił.

- Przecież mówię wyraźnie: ABZ-22 ukończył konkurencję.

- Ale ja jeszcze... - Maciek zająknął się - ja nie...

- Przekazuję tylko decyzję jury - przerwał mu robot. - Zresztą - dodał zmieniając nieco ton - sam ich o tym zawiadomiłem.

Do chłopca nie dotarło jeszcze, że ukończył bieg, ale ostatnie oświadczenie Klocusia poruszyło go do żywego.

- Jak to „zawiadomiłeś”? Co to znaczy? Dlaczego ty?

- Jestem robotem opiekuńczym i utrzymuję kontakt między tobą a Główną Komisją Zawodów. Przecież wiesz, że nie muszę mówić, aby nawiązać łączność z sędziami.

W tym momencie Ibn Kazi, który od pewnego czasu stał bez ruchu obok Maćka, ożywił się.

- Mój robot powiedział mi właśnie, że skończyłem konkurencję - oznajmił mocno zdyszonym głosem. - Cieszę się... ale jednak wygrałeś ze mną. Gratuluję - wyciągnął rękę do zwycięzcy.

- Dziękuję... - odpowiedział bardzo przytomnie ABZ-22. - Nic nie rozumiem - dodał po namyśle.

- Co? - spytał równie przytomnie BAW-3. Głos z góry dopełnił miary:

- Przed chwilą jednak rozumiałeś. Inaczej nie mógłbym poinformować Komisji, że ukończyłeś konkurencję.

W tym momencie Maciek zawyrokował, że jeśli nadal nic nie pojmuje, to ma po temu uzasadnione powody, ponieważ to, o co Klocusowi chodzi, jest absolutnie niezrozumiałe. A raz doszedłszy do tego wniosku przestał się zastanawiać. Wygrał Mars-maraton! Boloidalnie! I to jak boloidalnie! W pierwszym dniu uratował słynnego profesora Ito Oyo. Potem odkrył w kosmosie nieznaną, złowieszcze obiekty i, żeby posłużyć się słowami Marka, „narobił trochę zamieszania”. Jednak Komisja wzięła pod uwagę jego zachowanie w obliczu

niebezpieczeństwa, więc w każdym razie nie wypadł najgorzej. Wujowi Alf owi wymknęły się nawet słowa „najlepszy czas”. Dziś, w „drugiej historycznej”, mogłoby być stanowczo lepiej, co do tego nie ma dwóch zdań. Jechał jak w gorączce, nie rozumiał, co działo się dokoła niego i stracił mnóstwo czasu gapiąc się na cudaczne eksponaty. Ale potem wygrał bieg Mars-maratoński! Wprawdzie Ibn Kazi przyszedł tuż za nim, ale następnych zawodników wciąż jeszcze nie widać.

Zachichotał, spojrzął odruchowo w górę i umilkł. „Uczcij Pomnik Człowieka”... A niech ich licho z tymi zagadkami!

Odwrócił się do swego towarzysza, wyczytał w jego oczach to samo nieme pytanie i wskazał unoszące się nad nimi roboty, jakby chcąc powiedzieć, że to one są wszystkiemu winne. Nagle przypomniał sobie o czymś.

- Zerwałeś kwiaty? - spytał, mimowolnie szukając wzrokiem kolorowej wiązanki.

- Nie... - odpowiedział cicho BAW-3. - Nie wiedziałem...

- Ja też nie wiedziałem - pocieszył go Maciek. I nagle obaj wybuchnęli wesołym śmiechem. Zmęczenie ulotniło się bez śladu. Krocząc obok siebie po wysypanej żwiru drodze okrążyli pomnik i wyszli na niewielką skalną platformkę, gdzie czekali sędziowie.

W pokoju panowała złowroga cisza. Pod ścianą stał na sztywnych łapach Feri-Bis i pokazywał zbyt równe zęby drugiemu Feriemu. Ten ostatni skradał się do niezwykłego gościa, chwilę obwąchiwał go nieufnie, po czym warczał, odskakiwał i zaczynał całą operację od nowa.

Chłopiec skrzywił się.

- Musieliście go tutaj przyprowadzać? - spytał z wyrzutem.

- Oto jest ludzka pamięć - rzekł filozoficznie stwór, którego łapom, a głównie nosowi Maciek miał tyle do zawdzięczenia. Posiadacz dwóch identycznych na pozór czworonogów zreflektował się szybko i powiedział:

- Przepraszam, nie chciałem cię urazić. Tylko ty, widzisz, masz przy swoich psich instynktach mózg superautomatu, a on - głos chłopca załamał się - nie wie, kim jesteś i o co tu w ogóle chodzi...

- On powinien siedzieć w ogrodzie - stwierdził niechętnym tonem kosmacz z mózgiem superautomatu. W odpowiedzi on zjeżył się jeszcze bardziej, jakby zrozumiał cały sens tej oburzającej propozycji.

- Przyprowadził go Marek - pośpieszyła z wyjaśnieniem Lena - bo skończyli wstępne badania...

- Gdzie on jest? - spytał z groźbą w głosie Maciek, rozglądając się po pokoju, w którym oprócz Leny, cioci Basi i dwóch psów chwilowo nie było nikogo.

- Odleciał z powrotem - mama posmutniała. - Dalej szukają tego czegoś, co przybyło z meteorami.

W tym momencie Feri przypuścił nowy atak. Serii doskoków do psiego sobowtóra towarzyszyło teraz nieprzyjazne szczekanie:

- Hau! hau! hau!

- H-a-u-h-a-u-h-a-u - przedrzeźniał wciśnięty pod ścianę i nastroszony jak puchacz automat.

Ciocia Basia straciła wreszcie cierpliwość.

- Chodź, piesku - powiedziała słodko do żywego spaniela - pójdziemy na spacer.

Ale nawet czarodziejskie słowo „spacer” nie poskutkowało od razu. Dopiero, kiedy Basia objęła dyszący pysk i szepnęła coś psu wprost do ucha, Feri zamachał ogonem i w podskokach ruszył ku drzwiom.

- Coś ty mu powiedziała? - zainteresowała się szczerze Lena.

- Wspomniałam o kamyczku - rzekła z filuternym uśmiechem ciocia Basia zerkając z ukosa na Maćka. - W tym domu nie tylko ludzie bardzo lubią kamienie. No chodź, piesku, chodź... oj!

- Hau! Hau! Hau!

- Co to jest?! - zahuczał od progu głos wuja Alfa. - W drzwiach pełno kobiet i psów, dopchać się nie można! Gdzie ten gwiazdorób - wetknął głowę w szparę między ciocią Basią a framugą i ujrawszy Maćka zakrzyknął: - *summa cum laude!* Głowę ma słabą, ale nogi pierwsza klasa! Teraz wierzę, że zbuduje jakieś nieszczęsne słońce napędzane śrubkami! Hura!!!

- Chciałabym wyjść - szepnęła nieśmiało Basia, zakleszczona między drzwiami a wysoką postacią historyka. Ten ostatni spojrzął na nią ze zdziwieniem.

- Ależ oczywiście, moja droga, oczywiście... - rzekł bardzo uprzejmie, po czym jego z natury długa sylwetka wyciągnęła się do tego stopnia, że bez najmniejszego trudu mogłaby przejść obok niego nie jedna szczupła kobieta z psem, ale cały oddział zbrojnych rycerzy. Ciocia Basia nie omieszkała skorzystać z okazji, wuj Alf natomiast, przybrawszy na powrót swoją normalną postać, wszedł do pokoju i zawołał:

- Przyprowaździłem gości! Chodźcie, chodźcie!

W drzwiach stanęli Anna, Ina i Roald.

- Gratuluję.

- Gratuluję.

- Gratuluję... - to ostatnie zabrzmiało nieco chłodniej od poprzednich. Maciek mimo woli pomyślał: - „no tak, kuzynka...” ale na głos powiedział:

- Bardzo wam wszystkim dziękuję... na razie nie ma powodu... rano sporo straciłem. Słyszeliście, co powiedział wuj Alf? Mam za słabą głowę. Mogę wygrywać tylko nogami. Te są nie najgorsze...

- ...jak na historyka - uzupełniła gładko Anna.

Maciek przyjrzał jej się z uwagą.

- Wiem, moja droga - zaczął słodziutkim tonem - że o tobie wuj Alf nigdy by czegoś takiego nie powiedział. Ba, prowadzisz nawet pamiętnik. W tym kombinezonie nie widać wprawdzie twoich nóg, a szkoda, ale co do głowy... - westchnął smutnie, jak człowiek, który rozmyśla o nieosiągalnym dla niego skarbie.

- Bałwan! - syknęła Anna.

- Maćku! - zawołała z wyrzutem Lena, po czym tym samym tonem dodała: - Aniu!...

- A już się bałem, że dzisiejsze konkurencje były zbyt wyczerpujące. Nie miałem racji - stwierdził z satysfakcją wuj Alf. - Oni są w znakomitej formie.

- Przykład idzie z góry - Maciek na wszelki wypadek przyciszył głos, ale historyk i tak usłyszał.

- Przykład idzie z przeszłości - odpowiedział z niezmaconym spokojem. - Dawniej ludzie także klócili się, kiedy nie wiedzieli, co robić. Lub kiedy byli za głupi, żeby coś sensownego zaproponować. Co napisałaś ostatnio w swoim pamiętniku? - spojrzał z ożywieniem na Annę, która nagle stanęła w pąsach. - Pokaż...

- Ja... nie! - wychrypiiała cienko. Prawą rękę odruchowo położyła na kieszonce kombinezonu i zastygła w tej pozycji.

- Sądzę, że każdy ma prawo notować swoje wrażenia i nie musi pokazywać pamiętnika, jeśli nie ma na to ochoty - powiedział dziwnie zmienionym głosem Roald.

- On ma rację - poparła brata Ina.

Maciek jednak wciąż pozostawał pod wrażeniem tego, co usłyszał o swojej głowie.

- Ja nie bałem się przyznać do kamieni! - zawołał. - A ona wstydzi się historii - wskazał oskarżycielskim gestem kuzynkę patrząc równocześnie wzywające na wuja Alfa.

- Co?! - ryknął uczonej jak zraniony lew.

- Nie masz racji... - zaczął Roald, ale Maciek nie pozwolił mu skończyć.

- Dwa lata temu, kiedy byłem u niej w Bergen, pytała mnie, co czuję patrząc z góry na fiordy... i wszystko zapisywała, a potem odczytała to całej rodzinie, zachwyconej, że ma taką

zdolną latorośl. Niech i teraz przeczyta...

Oczy Anny błysnęły złowrogo. Nerwowym ruchem otworzyła kieszonkę i wyszarpnęła z niej niewielki zeszytek.

- Tak?! - wysyczała. - Wstydzę się?! No, to posłuchajcie! - otworzyła notesik i jednym tchem wyrecytowała: - „Maciek Całka nie ma podstaw teoretycznych, by startować w Astroniadzie. Jest głupi, zarozumiały i myśli tylko o tym, żeby zostać sławnym specjalistą. Kiedy zabrnę w ślepią uliczkę, biegnę do mamy i woła: «Nie krzyczcie! Ciucińska jest taki mały!» Ale zaraz potem znowu zabiera się...”

- Rupieć! - wrzasnął Maciek. - Nieprawda! Dawaj!

Ten ostatni wykrzyknik został poparty czynem. Jednym susem dopadł swojej kuzynki i wyrwał jej z rąk notes. Odskokzył do tyłu i bez zastanowienia zaczął czytać:

- „Zawody są wspaniałe. Po konkurencjach mamy ciekawe spotkania. Coraz swobodniej czuję się w przestrzeni, choć nie tak swobodnie jak Maciek, którego uważam za faworyta całego Sześcioboju. Chyba że nie zechce zrobić przykrości Inie. Tego, oczywiście, nie piszę poważnie. Ale Ina jest naprawdę ładna i mój kuzynek na jej widok najwyraźniej traci pewność siebie. Ona to, rzecz jasna, zauważyła, ale zdaje się, że jej to wcale a wcale nie przeszkadza. Roald jest bardzo sympatyczny...”

Nastąpiła cisza. Zdawało się, że obecni w pokoju przestali oddychać. Pierwsza Ina odwróciła się i z nagłym zainteresowaniem zaczęła usilnie szukać czegoś na suficie. Anna stała ze spuszczoną głową. Natomiast twarz Maćka ulegała niezmiernie interesującym przemianom. Z czerwonej zrobiła się biała jak kreda, następnie zaczęła ciemnieć, aż wreszcie ponownie oblała się krwistą łuną.

- Co się właściwie stało? - spytał spod ściany „pies”.

Głos sztucznego czworonoga uratował sytuację. Jakby pękła jakaś niewidzialna przeszkoda, tłumiąca wszelkie dźwięki.

- Cicho bądź, kundlu! - zgromił nieszczęsnego robota wuj Alf.

- O, przepraszam - obruszył się stworzony przez Marka Feri. Tak można powiedzieć oni m... - zwrócił pysk w stronę drzwi, zza których od czasu do czasu dobiegało radosne poszczekiwanie.

Maciek zrobił krok w stronę Anny i wyciągnął do niej rękę z nieszczęsnym notesikiem.

- Przepraszam... - szepnął.

Dziewczyna nie podnosząc głowy wzięła notes i wetknęła go z powrotem do kieszonki kombinezonu.

Wuj Alf rozpromienił się niespodziewanie - Anna musi jeszcze raz wyjąć pamiętnik i od razu, na gorąco, zanotować, co kto myśli o całym tym pożałowania godnym incydencie.

- Ja nie powiem! - wykrzyknęła bez namysłu Ina.

- Wuju... - przemówił grubym głosem Maciek.

Pierwsza skapitulowała mama. Najpierw zaczęły jej drgać kąciki warg, potem w oczach zapaliły się jakieś iskierki, wreszcie wybuchnęła cichym, serdecznym śmiechem.

„Sympatyczny” Roald rozejrzał się bezradnie po pokoju, starannie unikając wzroku Anny, po czym nie omieszkał ujawnić swego odrębnego stanowiska:

- Mnie wcale nie jest wesoło...

- A mnie tak! - wuj Alf walnął go dłonią po ramieniu, co natychmiast poprawiło humor Maćkowi, który wiedział z doświadczenia, że historyk ma może słabsze nogi niż głowę, ale rękami mógłby z powodzeniem rozbijać asteroidy. - Anno! - wołał dalej uczony, przypatrując się mimochodem, jak Roald usiłuje wrócić z głębokiego przysiadu do pozycji pionowej - nie rób już nadąsanej miny! Wygrałaś na całej linii! Dosyć! *Dictum sapienti sat!* Mądrej głowie dość dwie słowie! *Dixi!*

- Nie bójcie się - powiedziała wreszcie autorka dwóch wersji tego samego pamiętnika.

- Jeszcze dzisiaj napiszę coś całkiem innego. A potem sama przeczytam to na głos, czy będziecie chcieli czy nie. Poświęcę więcej miejsca Inie i mojemu kuzynowi. To może się kiedyś przydać. Jeśli Maciek rzeczywiście zbuduje jakieś fantastyczne gwiazdy, wtedy ludzie zainteresują się jego osobą. Potrzebny będzie świadek, który opowie, jak „cudowne rodzeństwo” w czasie pewnej Astroniady przeżywa...

- Nie potrzebuję!

- Wcale nie!

Te dwa okrzyki, damski i męski, zabrzmiały równocześnie. Nastąpiła krótka chwila ciszy, po czym wszyscy wybuchnęli wesołym śmiechem. To znaczy, wszyscy, oprócz Maćka. Ina machnęła z wdziękiem ręką i zawołała:

- Zresztą ja i tak wygram!...

Maciek nadal stał bez ruchu.

- Popatrzcie - wuj Alf otarł oczy i wycelował wskazujący palec w pierś swojego nieszczęsnego siostrzeńca. - Oto człowiek. Można powiedzieć, pomnik człowieka! *O, vae!* Biada... ha, ha, ha!

Maciek potrząsnął głową jak ktoś, kto za wszelką cenę chce się uwolnić od dręczącego go koszmaru, i jęknął:

- Pomyśleć, że przyszlście po to, żeby mi pogratulować...

Rozgrywka wśród gwiazd

Turniej grawitki odbywał się na orbicie Marsa. Z wszystkich uczestników Astroniady sformowano dwanaście drużyn. Przygotowano sześć identycznych sztucznych księżyców w kształcie zamkniętych półkul, a na ich płaskich powierzchniach urządzono boiska. Były one podzielone na kwadraty opatrzone symbolami poszczególnych zawodników. Takie same liczby i numery umieszczono na dużych piłkach, których było dokładnie tyle, ilu graczy na boisku. Piłki jednej drużyny zawsze świeciły białą, drugiej czerwono. Nad satelitami zawisło mrowie rakiet, w których przybyli widzowie.

Była to jedna z dwóch konkurencji zespołowych Sześcioboju. Chcąc wygrać Astroniadę, trzeba bowiem wykazać się także umiejętnością współdziałania z drużyną.

W pierwszym meczu zespołowi Maćka przypadły piłki białe. Należało je odbijać nad rozpiętą w poprzek boiska siatką tak, żeby zaden z przeciwników nie zdołał odesłać ich z powrotem. A równocześnie, podobnie jak w siatkówce, nie dopuścić do tego, by któraś z piłek upadła na własny plac gry. Kwadraty z numerami wyznaczały miejsca, w których ustawiali się poszczególni członkowie drużyn i za które byli osobiście odpowiedzialni. Niezależnie od tego musieli w razie potrzeby wyręczać kolegów z sąsiednich kwadratów. Natomiast symbole umieszczone na piłkach dotyczyły już bezpośrednio konkretnych graczy. W praktyce wyglądało to tak, że zawodnik, którego piłka nie została w porę odbita przez jego drużynę, opuszczał boisko, ale szczęśliwcy, których piłki już upadły na połowę przeciwników, musieli mimo to grać dalej. Bo chodziło o zespół. Za zwycięstwo całej drużyny doliczano punkty, które decydowały o końcowej klasyfikacji.

No i rzecz najważniejsza. Satelity, na których urządzono boiska, były niemal zupełnie pozbawione grawitacji. A gracze poruszali się na wrotkach.

Kiedy po raz pierwszy, kilka lat temu, Maciek zapoznał się z regułami grawitki, najpierw zawołał: „rupieć!”, a potem dodał: „to już przesada!”

- Może przesada - uśmiechnął się wówczas ojciec, który akurat przyleciał w odwiedziny na Ziemię - ale przecież nikt nie każe ci startować...

A teraz ten sam Maciek stał na swoim polu w szczelnym próżniowym skafandrze i starał się nie ruszać, żeby przypadkiem niechcący nie wprawić w ruch własnych nóg spoczywających na niepewnych kółeczkach. Wystarczył jeden nieostrożny gest, jeden niedokładnie obliczony wyskok do piłki, by raz na zawsze pożegnać się z boiskiem. Brak grawitacji... nie, ktoś, kto ot tak, dla zabawy, zwykł grywać w ziemską siatkówkę, nigdy nie

zrozumie, co to jest grawitka.

Padła komenda sędziego i zawodnicy pochylili się w oczekiwaniu. Maciek uniósł oburącz swoją piłkę, która na Ziemi ważyłaby pewnie ze sto kilogramowi, i płynnym ruchem pchnął ją przed siebie. Udało się. Biała kula przeszła tuż nad siatką i jak na zwolnionym filmie zaczęła opadać na pole przeciwników. W tym samym momencie chłopiec dostrzegł czerwony lampion szybujący tuż nad jego głową. Drgnął, ale opanował się i bardzo ostrożnie ruszył za uciekinierem. Pochylił się, upadł, przewrócił na plecy i szorując po śliskiej płycie zdążył odbić piłkę, zanim ta upadła w kwadracie jego sąsiada.

Z raket dobiegło ciche, przerywane huczenie. Tkwiący w pojazdach kibice tylko w ten sposób mogli wyrażać swój podziw.

Jedna z białych piłek opadała na przeciwne pole. Zawodnik, który miał go pilnować, wyręczył przed chwilą swojego kolegę i w tej chwili robił, co mógł, żeby wrócić na własne miejsce. Robił nie tylko, co mógł ale, jak się okazało, więcej niż mógł. Bo nagle stracił grunt pod nogami, uniósł się w górę jak balon przy bezwietrznej pogodzie i ponad głowami innych wykonał powolne salto. Tymczasem piłka najspokojniej usiadła w jego kwadracie, odbiła się niespiesznie i poszybowała w przestrzeń.

„Jednego mniej” - pomyślał Maciek patrząc, jak sędzia daje znak niefortunnemu skoczkowi, by opuścić boisko. Ten skinął smutnie głową i korzystając z pomocy swojego robota opiekuńczego poleciał w stronę wielkiego statku Komisji. Zaraz potem druga biała piłka dotknęła kwadratu opuszczonego przed chwilą przez wykluczonego z gry zawodnika.

- Boloidalnie! - mruknął z zachwytem Maciek spostrzegłszy, że piłka była oznaczona symbolem ABZ-22. Jedno przynajmniej przestało mu grozić - odesłanie do statku Komisji albo którejś z raket tworzących „trybuny” z powodu upadku jego piłki na polu własnej drużyny.

Minutę później szansę się wyrównały. Dwie kolejne czerwone kule spadły na połowę zespołu Maćka i dwóch zawodników, którzy pozwolili im dotknąć powierzchni swoich kwadratów, odwołano z boiska. Gra stała się trudniejsza. Im luźniej na własnym polu, tym większe przestrzenie trzeba pokonywać na tych przeklętych wrotkach. Tym samym wzrastało niebezpieczeństwo nabrania zbyt wielkiego rozpędu.

Właśnie coś takiego zdarzyło się graczowi za siatką. Odbił wprawdzie białą kulę rywali, ale sam wyprysnął poza obszar sztucznego satelity i przesuwiał się teraz wolniutko w czarnej przestrzeni, zasłaniając sobą kolejne gwiazdy. Sąsiad Maćka posłał piłkę w sam róg połowy przeciwników, nikt nie zaryzykował startu i sędzia odgwizdał jeszcze jeden punkt. Z kolei czerwona piłka zmierzała wprost na pole zawodnika, który przed chwilą tak dzielnie się

spisał. Maciek zerknął na jego kwadrat i zobaczył wypisany symbol: BAW-3. Ibn Kazi! A gdyby tak pozwolić, żeby ta piłka osiągnęła swój cel?.. - BAW-3 przyszedł w Mars-maratonie tuż za nim i z pewnością był groźnym konkurentem w ogólnej punktacji.

Jedno trzeba wyjaśnić od razu. Otóż Maciek pomyślał wprawdzie o tym, że gdyby zostawił tę piłkę jej własnemu losowi, to zyskałby dodatkową przewagę nad Ibn Kazim, ale ta myśl pojawiła się wtedy, kiedy już sunął jak najostrożniej, a równocześnie jak najszybciej mógł, w stronę kwadratu BAW-3. Ostatecznie człowiek nie odpowiada za to, co ni stąd, ni zowąd strzeli mu do głowy, tylko za to, co robi.

Zdążył przed czerwoną piłką, ale była ona już za nisko, żeby mógł ją uderzyć dostatecznie miękko, tak aby przeszedłszy nad siatką na pewno spadła na pole przeciwników, a nie poleciała poza nie. Spojrzał więc na Ibn Kaziego i stwierdziwszy, że ten jest już odwrócony do niego przodem, dał mu ostrzegawczy znak, po czym delikatnie pchnął czerwoną kulę w jego kierunku. Ujrzał za szybą kasku skupioną twarz swojego niedawnego rywala, a potem jego szeroki uśmiech i zanim jeszcze zdołał się odwrócić, wiedział już, że sztuka się udała. Odpowiedział uśmiechem i zaraz potem odbił następną piłkę - tak szczęśliwie, że trafiła dokładnie w krawędź przeciwnej części boiska. Takiego rzutu nikt nie potrafiłby obronić.

- Brawo, ABZ-22! - usłyszał w słuchawkach podniecony głos i tak się zdziwił, że o mały włos byłby przepuścił nie jedną, lecz dwie czerwone piłki, które zgodnie celowały prosto w jego głowę. Uniósł ręce i w ostatniej chwili hamując ich ruch, zdołał odbić obie jednocześnie. Wówczas usłyszał znowu:

- Brawo, ABZ-22! Brawo!

Widzowie nie mieli bezpośredniej łączności z zawodnikami. Sędziowie z pewnością nie wydawali żadnych okrzyków. Więc ktoś, u licha, wołał „brawo”?

Stwierdziwszy, że chwilowo żadna z piłek nie zmierza w jego stronę, Maciek uniósł głowę do góry. Na tle mrowia gwiazd ciemniała zbита gromada robotów opiekuńczych. Wśród nich rozpoznał Klocusia. Ale starannie zaprogramowany automat nie mógł przecież przeszkadzać zawodnikowi w czasie konkurencji.

Na wszelki wypadek chłopiec mruknął półgłosem:

- Czy to ty, ABZ-22-Bis?

- Słucham? - spytał krótko obojętny głos.

- Czy to ty biłeś mi brawo? - powtórzył Maciek.

- Chętnie bym to zrobił - wyznał nieoczekiwanie robot - ale nie mogę. Nie jestem zwykłym kibicem. Nic nie mówiłem.

- Przepraszam - odezwał się inny znajomy głos. - To” ja. Już nie będę...

Nadleciała kolejna czerwona piłka, którą tym razem chłopiec odesłał przeciwnikom bez najmniejszego trudu.

- Co za „ja”? Kto właściwie mówi?

- Przecież nie on. On umie tylko szczekać.

- Koniec meczu - ogłosili sędziowie. W tym samym momencie wszystkie boiska stanęły w blasku potężnych reflektorów. Rakiety widzów zaczęły błyskać kolorowymi światełkami, w słuchawkach zabrzmiał zmieszany gwar głosów.

Podliczono wyniki i okazało się, że drużyna Maćka odniosła zwycięstwo. Było to wprawdzie dopiero spotkanie eliminacyjne, ale konto punktowe ABZ-22 wzbogaciło się znowu. Maciek był z pewnością jednym z najlepszych graczy.

Po krótkiej odprawie zawodnicy mogli udać się na przerwę do specjalnie - przygotowanych pokoi wewnątrz satelitów bądź do rakiet swoich krewnych czy przyjaciół. Maciek wybrał to drugie.

Przed zamkniętym włazem stateczku Leny czuwał Feri-Bis. Wyglądał akurat tak jak pies ery kosmicznej. W jego rudawej sierści odbijały się płomyki dalekich gwiazd. „Tylko budy brakuje” - pomyślał Maciek, ale na głos powiedział:

- Nie wpuścili cię do środka?

- Tam jest on - niechętnie wyjaśnił zagadnięty.

Chłopiec zaśmiał się, po czym przejechał ręką po nieco zbyt szorstkim grzbiecie „psa”.

- Gdybyś chciał, na pewno zaprosiliby cię także. Ale ty wolisz czekać tutaj. Instynkt, co?

- Może - zgodził się bez przekonania automat - ale poza tym, ja naprawdę nie znoszę szczekania,

- Dziękuję za doping - chłopiec wykonał dyplomatyczny ukłon, posyłając równocześnie za pośrednictwem muszki sygnał, że chce wejść do stateczku. - Ale w przyszłości nie odzywaj się już na fali zastrzeżonej dla sędziów. Gotowi nie zrozumieć, że porządny pies musi cieszyć się zwycięstwem swojego pana.

Automat zastanowił się przez chwilę.

- Tak - przyznał wreszcie. - To mogłoby być dla nich za trudne...

W największej kabinie rakiety Leny czekała chłopca niespodzianka. Mama siedziała w środkowym fotelu, po jej lewej ręce widniała poskładana w scyzoryk sylwetka wuja Alfa,

dalej uśmiechając się bez żadnego widocznego powodu stał Roald, ale centralną postacią była niewątpliwie Anna. Najwidoczniej przysłała tutaj specjalnie, żeby spotkać się ze swoim kuzynem, bo zaledwie ten zdążył przekroczyć próg, skoczyła w jego stronę, wołając:

- Szybko, bohaterze! Proszę o wrażenie. Niestety, moja drużyna przegrała. A ty znowu jesteś górą. Co cię bardziej cieszy: to, że sam zarobiłeś punkty, czy że zwyciężył twój zespół?

Maciek stanął i przez dłuższą chwilę wpatrywał się osłupiałym wzrokiem w znany mu aż nazbyt dobrze notesik.

- Co to?... - wyjąkał wreszcie - dlaczego?..

- Trudno, synu, sam napytałeś sobie biedy - głos Leny brzmiał jak zwykle łagodnie, ale zadźwięczała w nim nutka, która ostatecznie rozżaliła niedawnego zwycięzcę.

- Nie wiem, czy to ładnie, żeby własna mama, zamiast powiedzieć człowiekowi „dzień dobry”, zabawiała się jego kosztem. Nawet sztuczny pies bił mi brawo - poskarżył się Maciek.

Lena pogłaskała Feriego, spojrzała z uśmiechem na syna i powiedziała pojednawczym tonem:

- Przecież Anna nie robi nic złego. Zresztą, wszyscy jesteśmy ciekawi twoich wrażeń... tak ładnie grałeś!

No i Maciek, wzięty w dwa, a właściwie w trzy ognie, bo wuj Alf, chociaż nic nie mówił, całą swoją postawą wyrażał solidarność z obiema kobietami, skapitulował. Udzielił „wywiadu” swojej kuzynce. A mówiąc ściśle, wygłosił dokładnie osiemnaście zdań, jak to potem policzyła autorka pamiętnika, z których to zdań piętnaście zaczynało się od „bo ja...”, a aż siedemnaście kończyło „no i...”, po którym to zakończeniu niezmiennie następowała dłuższa pauza.

- Co napisałaś? - zainteresował się wuj Alf. - Przeczytaj...

Maciek na myśl o tym, że za chwilę usłyszy swoje wywody w całej ich urodzie, zamarzył nagle o gwiazdach, niechby nawet zbudowanych przez kogoś innego, byle jak najdalszych. Na szczęście w tym momencie Feri podbiegł do pulpitu komputera i zaczął szczekać merdając wesoło ogonem.

- Ktoś idzie - powiedziała ciocia Basia biorąc do ręki muszkę. Aparacik przemówił przytłumionym, dźwięcznym sygnałem.

- Nie szczekaj - Lena położyła dłoń na kudłatej głowie - to Ina.

Po chwili w wejściu ukazała się „cudowna siostra”. Musiała się bardzo śpieszyć zdejmując z głowy swój próżniowy kask, bo jej ciemnozłote włosy były roztargane i nastroszone jak po długim spacerze w czasie huraganu.

- Czy nie widzieliście?... - w tym momencie dostrzegła brata i umilkła. Jej oczy strzeliły w stronę Anny, wróciły do nieco spłoszonej twarzy Roalda, po czym jeszcze raz odbyły tę samą drogę.

- No, pewnie - zawołała z udanym oburzeniem - zamiast opiekować się opuszczoną siostrą albo przynajmniej przygotować do następnego meczu, to on...

- Co on? - podchwyciła Anna z zaczepnym błyskiem w oczach.

- Właśnie, co on? - wydukał Roald.

- Niezbyt delikatnie, ale zupełnie trafnie - zauważył zdawkowo wuj Alf.

Ina jakby teraz dopiero zdała sobie sprawę ze swego nietaktu.

- Och! - wykrzyknęła. - Przepraszam...

Dłuższą chwilę martwej ciszy przerwała litościwie Lena:

- Bardzo ładnie grałaś.

Maciek zerknął na Inę i postanowił rozładować sytuację zręcznym dowcipem, składając ofiarę z samego siebie. Myśl nie była zła, ponieważ ludzi skądinąd zacnych zawsze napawa błogą radością fakt, że ktoś mniej lub bardziej świadomie robi z siebie błąd, niestety jej realizacja wypadła już znacznie gorzej. Chłopiec bowiem nadał się i naśladując głos wuja zaśpiewał:

- O, weeee!

- Co?! - zdumiał się uczony.

Maciek zaśmiał się tryumfalnie:

- Tak, zdaje się, mówisz, wuju, kiedy chcesz okazać swoją boleść. O, weee...

Historyk porwał się za włosy, ale w ostatniej chwili postanowił zachować je tam, gdzie były. Natomiast wykrzywił niemiłosiernie twarz i zawołał:

- O, biada! *O, vae. Vae*, bezmózgi biegaczu, a nie weee... powtórz!

- O, biada! - powtórzył posłusznie Maciek, poprzestając jednak na tłumaczeniu prastarego łacińskiego słówka.

- *Vae*, baranie, *vae*... - zachęcał historyk.

- Zawodnicy proszeni są o zgłoszenie się na boiskach - padło wezwanie sędziów. „Bezmózgi biegacz”, vel „baran”, tak wystartował ku drzwiom, jakby na podobieństwo Klocusia także i w jego piętach umieszczono dysze raketowych silników. W przejściu do korytarza zatrzymał się jednak, odwrócił i patrząc na wuja wydał z siebie okropny dźwięk:

- Beee!!! Beee!!! Jak baran, to baran! - wyjaśnił. - Beee!!!

Nie sprawdzając już, do jakiego stopnia udało mu się rozładować atmosferę, pędem pobiegł do śluzy. Minutę później przepływał obok warującego pod gwiazdami Feriego-Bis.

W meczu półfinałowym znowu przyszło Maćkowi grać w jednej drużynie z BAW-3, czyli Ibn Kazim. Tym razem jednak w ich zespole znalazła się także Ina. „Baran” dwoił się i troił, żeby wypaść jak najlepiej. Chwilami migąła mu za szybą kasku jasna, skupiona twarzyczka i wtedy wstępował w niego skrzydlaty demon. Był nie do pokonania. W pewnym momencie Ibn Kazi uniósł ostrożnie dłonie i zbliżył je kilkakrotnie do siebie, co w przestrzeni oznacza oklaski.

Drużyna Iny, BAW-3 i ABZ-22 wygrała półfinał. Przerwę między tym meczem a ostateczną rozgrywką Maciek spędził przezornie w satelicie, gdzie dla każdego z zawodników przygotowano pokój z prysznicem, z którego ciekła prawdziwa woda, a nie gaz oczyszczający. Były tam także aparaty treningowe i smakowite zestawy odżywcze. Słowem - pełny luksus.

Czasem jednak za pławienie się w luksusie przychodzi nieoczekiwanie zapłacić wysoką cenę. Pech chciał, że zdarzyło się to akurat Maćkowi, i to akurat teraz, w czasie Astroniady. W meczu finałowym grał znowu z Ibn Kazim przeciw drużynie, w której los zetknął ze sobą z kolei „cudowne rodzeństwo”. No i stało się. Dwie minuty przed końcem spotkania skoczył odrobinę za szybko w stronę piłki i zamiast ją odbić, przeleciał ponad nią, po czym wylądował na siatce dzielącej walczące strony. W tym momencie dla niego turniej już się skończył. A w dodatku przegrała jego drużyna. Ina, która - jak sama zapowiedziała - „nie lubiła” wrotek, oraz jej brat tryumfowali.

Maciek wiedział, że w poprzednich spotkaniach zarobił dość punktów, aby utrzymać się na wysokim miejscu w ogólnej klasyfikacji, ale mimo wszystko był zły na siebie. Rozpogodził się dopiero w kabinie statku Leny, do którego wracał nie bez pewnych obaw, na widok powitalnego uśmiechu wuja Alfa.

Historyk najpierw skłonił mu się z szacunkiem, a następnie, wciąż zgięty wpół, przyłożył sobie do czoła wskazujące palce obu dłoni i rzekł z uznaniem:

- Teraz dopiero beknąłeś jak należy!

Anna parsknęła śmiechem, Ina i Roald udali, że są czymś bardzo zajęci, ponieważ jako zwycięzcom nie wypadało im okazać zainteresowania występem wuja Alfa, natomiast na twarzach cioci Basi i Leny odbiło się autentyczne przerażenie.

Okazało się ono jednak nieuzasadnione, bo Maciek zachował prawdziwie olimpijski spokój.

- Napisz - zwrócił się do Anny - że zgodnie z twoimi przewidywaniami specjalnie przegrałem z Iną i Roaldem. Właśnie dlatego, że są tacy sympatyczni...

- ...Cudowni - poprawił z naciskiem wuj Alf. - On ma rację, Anno. *Nulla dies sine linea!* Ani dnia bez linijki! Napisz...

Uczennica wielkiego historyka posłusznie zanotowała kilka zdań.

- A teraz od razu dodaj, że to nieprawda - poradził uczony.

- Że nie są cudowni? - spytała podchwytiliwie Lena.

- Nie. Dodaj tylko - wuj Alf zmrużył oko do Anny - że masz wątpliwości, czy Maciek powiedział prawdę, twierdząc, jakoby przegrał specjalnie. Bo ktoś kiedyś pomyśli, że autor pamiętnika był naiwny albo że specjalnie chciał przedstawić niejakiego Macieja Całkę w korzystnym świetle. A jeśli czytelnicy podadzą w wątpliwość jedną, choćby drobną informację, odrzucą i pozostałe. W ten sposób niejedno wielkie dzieło historyczne zostało odsądzone od czci i wiary.

Wszyscy się roześmieli, bo chociaż głos wuja Alfa brzmiał całkiem poważnie, to jednak w czasie całej przemowy uczony stroił okrutne miny, adresowane to do Anny, to do cudownego rodzeństwa, to wreszcie do swojego siostrzeńca.

Ten ostatni nawet nie próbował się bronić.

- A czego właściwie można oczekiwać od barana - mruknął z samozaparciem. - Przepraszam za to „beee” - dodał nieco ciszej. - Nie powinienem był...

Lena westchnęła z ulgą.

- Tak sobie myślałam, że powinieneś wuja przeprosić - powiedziała z uśmiechem. - Zastanawiałam się tylko, czy muszę ci o tym przypominać. Pewnie jako odpowiedzialna za twoje wychowanie rodzicielka powinnam była zrobić to wcześniej. Niestety, nie zawsze bywam należycie odpowiedzialna - westchnęła.

- Dosyć tego - zniecierpliwiał się historyk. - Nic dziwnego, że baran beczy. Obraziłbym się raczej, gdyby przemówił ludzkim głosem i udowodnił mi, na przykład, że Kopernik był piękną dziewczyną zakochaną w Napoleonie Bonaparte. Przysięgam uroczyście nie nazywać nikogo baranem, przynajmniej - tu uczony zrobił przerwę i marszcząc brwi zastanowił się głęboko - przez najbliższe cztery godziny. Wystarczy?

- Za cztery godziny będziemy już spać - powiedziała rzeczowo Anna spoglądając na zegarek.

- Właśnie! - zawołał wuj Alf z chytrym uśmieszkiem.

Mylili się jednak oboje.

Zaraz po złożeniu przez historyka jego wiekopomnego przyrzeczenia stateczek Leny wylądował na skraju wioski astroniadzkiej. Ciocia Basia poszła na spacer z Ferim, a pozostali, nie czekając na zaproszenie, pomaszzerowali prosto do pokoju Maćka. Tam czekała

ich niespodzianka.

Na widok wchodzących podniósł się z fotela wysoki, postawny mężczyzna w białym kombinezonie. W jego pogodnej twarzy zwracały uwagę szeroko rozstawione niebieskie oczy, w których teraz tliły się wesole iskierki. Bujne, jasne włosy, zaledwie o odcień ciemniejsze od włosów Leny, mężczyzna ten odziedziczył, jak wiadomo, po swojej matce, rodzonej siostrze ojca Alfa Nielsena.

- Michał! - krzyknęła cicho Lena, rzucając się w stronę niespodziewanego gościa. Ten otworzył szeroko ramiona.

- Tato! - głos Maćka zabrzmiał co najmniej dwa tony wyżej niż zwykle - przyleciałeś! Boloidalnie!

- Boloidalnie! - powtórzył ze szczerym entuzjazmem wuj Alf.

- Boloidalnie! - potwierdził przybyły. Począł, aż na jego szerokiej piersi spoczną dwie głowy, damska i męska, i dopiero potem zamknął swoje potężne ramiona. Przez dłuższą chwilę nikt nic nie mówił. Milczenie przerwał wreszcie gość z najdalszych okolic Układu Słonecznego.

- Doszły mnie tak dziwne wieści, że musiałem odłożyć pilne prace i przekonać się osobiście, co tutaj wyprawiacie - odsunął od siebie żonę i syna, spoglądając z udaną surowością na tego ostatniego. - Słyszałem, że wygrałeś Mars-maraton, a przedtem zapolowałeś w kosmosie na jakieś potwory z gwiazd. Podobno zacząłeś także wypuszczać się na samotne spacerunki w góry?

- Czy zawsze musisz wszystko wiedzieć? - spytał z wyrzutem Maciek. - Sądysz, że to wypada ojcu, który zamiast opiekować się rodziną, ucieka stale na koniec świata?

- Po pierwsze nie na koniec, bo badania za orbitą Plutona prowadziłem bardzo krótko, a po drugie, gdybym raz przywykł do domowych pantofli w otoczeniu takiej rodzinie, to żadna siła nie wyciągnęłaby mnie już potem między gwiazdy. Zgnuśniałbym do reszty pławiąc się w cichym, domowym szczęściu...

- Nie takie ono znowu ciche - zauważył pod nosem wuj Alf.

Ojciec Maćka roześmiał się, po czym podszedł do historyka.

- Dzień dobry, Alfie - serdecznie uściśnął kościstą dłoń uczonego. - Dziękuję, że zająłeś się Leną i Maćkiem. - Jak się masz, Anno? Ale wypiękniałaś, ho, ho - zanucił z podziwem. Z miejsca gdzie stał Roald, dobiegł w tym momencie nieartykułowany pomruk. Senior rodu Całków zwrócił się w stronę cudownego brata i przez chwilę patrzył na niego z uwagą.

- Mówiłeś coś? - spytał. - My się chyba nie znamy. Jestem...

- Nazywam się Roald Svierg - powiedział szybko chłopiec. - Nie, ja nic nie mówiłem... - zapewnił skwapliwie.

W przeciwnym kącie pokoju ktoś cienko zachichotał. Lena zagryzła wargi. Jej mąż odwrócił się, żeby sprawdzić, komu nagle zrobiło się tak wesoło, i ujrzał Inę. Zrobił krok w jej kierunku, po czym stanął. Na jego twarzy odmalował się niekłamanym zachwytem.

- Czy u ciebie zawsze wyznaczają sobie spotkanie wszystkie najpiękniejsze dziewczyny z całej Ziemi, Maćku? - zwrócił się do syna. - W takim razie nigdy już nie polecę na Plutona...

- Jeszcze jednej brakuje - mruknął wuj Alf.

- Właśnie - podchwyciła Lena udając zatroskanie. - Wiesz co, może jednak wracaj do tego swojego laboratorium... zanim zobaczysz Dahrę...

Michał uniósł ze zgrozą oczy, ale nie zdążył wyrazić swego oburzenia, bo w tym momencie do pokoju wpadł Feri i rozpoczął oszalały taniec wokół najstarszego z Całków. Dopiero kiedy pies usadowił się wreszcie na jego kolanach, Michał obdarzył swoją uwagę postać, która stanęła w progu i z uśmiechem śledziła przebieg powitalnej ceremonii.

- Dzień dobry, Basiu! - zawołał. - Wyglądasz prześlicznie! Jak ty to robisz, moja ziemską kuzynko, że za każdym razem, kiedy przyjeżdżam, jesteś młodsza i ładniejsza?...

- I dziwić się tu Markowi - powiedziała z niesmakiem Basia. - Dziecko jest dziedzicznie obciążone.

- Nie tylko Marek... - szepnęła cichutko Anna, a Ina nagle stanęła w pąsach.

- A więc jednak! - ucieszył się badacz asteroidów mrugając porozumiewawczo na Maćka. - A już się bałem... - nie skończył, bo w drzwiach od korytarza powstało nowe zamieszanie. Najpierw mignęło coś czarnego, spod czego patrzyły nieco spłoszone wielkie, brązowe oczy, potem to coś wycofało się, z kolei do pokoju zajrzała rozpromieniona uśmiechem męska twarz, następnie i ta zniknęła, by po chwili ponownie ustąpić miejsca owej plamie czerni, która okazała się głową dziewczyny o przepięknych długich włosach.

- Przepraszam za najście - powiedział ciepły, niski głos - to wina Marka...

- Biedny Michał! - westchnął z udanym współczuciem wuj Alf.

- Biedny Marek - szepnęła Anna zerkając ukradkiem na Lenę.

„Biedny” Marek w tym właśnie momencie dostrzegł siedzącego w fotelu „biednego” Michała i najpierw wydał z siebie gromki okrzyk, a potem podbiegł i nie bacząc na protesty Feriego serdecznie uściskał ojca. Szybko jednak spoważniał, odwrócił się i dwornie rozkładając ramiona powiedział:

- To mój ojciec. Pozwól, tato, to jest Dahra...

Wtedy stała się rzecz niebywała. Michał Całka, delikatnie wprawdzie, nie mniej stanowczo, zepchnął ze swoich kolan psa, żeby wstać na powitanie człowieka. Było to coś tak sprzecznego z obyczajami badacza asteroidów bez pamięci zakochanego w Ferim, że obecni, na równi z tym ostatnim, zamarli ze zgrozy. Przybysz z Plutona przetarł tylko oczy, po czym powiedział rozmarzonym głosem:

- Bardzo mi miło. Przyznaj się - spojrzał ponuro na historyka - zmówiliście się, żeby sobie ze mnie zakpić? Przecież takich dziewcząt po prostu nie ma... A może dalej siedzę na jakimś księżycu, posępny jak noc w wąwozie, i mam tylko piękne sny?...

- Zaraz cię obudzę - mruknęła obiecująco Lena.

Marek zatarł dłonie z nieukrywaną satysfakcją.

- Wpadliśmy tylko na chwilę - rzucił niedbałym tonem. - Muszę zaraz wracać... wiesz, latam teraz z ekipą obronną. Ciągłe jeszcze trwają poszukiwania tego paskudztwa, które przywłókł Ciuciuśka.

- Niczego nie przywłókłem - obruszył się Maciek - to przyleciało z potokiem meteorów.

- Słyszałem - bąknął ojciec. Uśmiechnął się jeszcze raz do Dahry, która w rewanżu pokazała mu swoje olśniewające zęby, i zamyślił się. W pewnym momencie mruknął jakby do siebie: - Brałeś udział w badaniach, prawda?

Marek dopiero po chwili uprzytomnił sobie, że pytanie było skierowane do niego.

- Tak, bo mój pies uderzył nosem w jeden z tych obiektów...

Ojciec spojrzał z roztargnieniem na czarny, lśniący wilgocią nos Feriego, po czym niespodziewanie podszedł do Marka i wziął go pod ramię.

- Chodź, chcę cię o coś spytać.

Marek zerknął przepaszająco na Dahrę, i pozwolił ojcu wyprowadzić się na korytarz.

- No i proszę, dopiero co przyjechał, a już myśli o wszystkim, tylko nie o nas - poskarżyła się Lena.

- Zdaje się, że wiem, o czym myśli... - powiedział cicho wuj Alf. - Ten obiekt był sporządzony z metalu, ze stopu, jakiego kiedyś używano do budowy statków i stacji kosmicznych.

Po dłuższej chwili milczenia Lena odezwała się jakby do siebie:

- A były dwa obiekty...

- Właśnie - mruknął historyk. - O tym drugim nie wiemy na razie nic, ale pierwszy był najprawdopodobniej dziełem rąk ludzkich. Wczesna era podboju kosmosu aż roi się od katastrof - dodał pozornie od rzeczy. - Ale zaledwie cztery z nich są do dzisiaj nie

wyjaśnione.

- A jedną z tych czterech jest katastrofa stacji, na której badania prowadził Janusz

Całka - szepnął Maciek.

Wuj Alf spojrzał bystro na chłopca.

- Widzę, że sobie zapamiętałeś - mruknął ni to z ironią, ni to z zadowoleniem.

- To dlatego Michał przyleciał z Plutona - Lena pokiwała melancholijnie głową.

Maciek obruszył się.

- Tato i tak by przyleciał - stwierdził z przekonaniem.

Michał Całka siedział w fotelu i patrzył synowi w oczy.

- Nie mogę ci pomóc - rzekł cicho. - Tę sprawę musisz rozstrzygnąć sam. Ja... nie znam się na sportowych regulaminach... - zakończył niezgrabnie.

Czuło się, że to zdanie miało zabrzmieć inaczej, że ojciec w ostatniej chwili zmienił zamiar i nie powiedział tego, co naprawdę przyszło mu na myśl.

W pokoju było już ciemno. Przez okno wpadała smuga słabego światła pochodząca od jakiegoś samotnego reflektora stojącego za świetlicą. W półmroku łatwiej było opowiedzieć ojcu o wszystkim. O tym, jak zabrał z gabinetu mały laser i światłowód, żeby zainstalować podsłuch w czasie Turnieju Kwalifikacyjnego, a także o przeróbce Klocusia.

Kiedy skończył, przez dłuższą chwilę w jego pokoju panowało milczenie. Wreszcie ojciec westchnął, potarł dłonią czoło, po czym mruknął coś niezrozumiale i pochylił się do przodu. Pomimo ciemności Maciek wyraźnie widział utkwione w siebie oczy, które w świetle dnia były takie niebieskie.

- Zdaje mi się, że wiem dlaczego to zrobiłeś, ale chciałbym to usłyszeć od ciebie - w głosie ojca nie było śladu wyrzutu, zadźwięczała w nim jednak jakaś nuta, która sprawiła, że Maciek o mały włos stałby się znowu Ciuciuską, wołającym, żeby na niego nie krzyczeć, bo jest taki mały. Ale nie był już mały. Nie był mały i rozumiał aż nadto dobrze, że ulga, jaką odczuł, zwierzywszy się ojcu, nie ma nic wspólnego z odpowiedzialnością, która na nim ciąży nadal i od której nie uwolni go nikt, nawet ten najbliższy mu na świecie mężczyzna.

- Sam nie wiem - odpowiedział z trudem. - Nie chciałem przecież... nie chciałem... - urwał. Kilka razy poruszył bezradnie wargami, ale nie udało mu się wykrztusić ani słowa więcej.

Wtedy ojciec najzupełniej nieoczekiwanie uśmiechnął się.

- Opowiadała mi mama o tym baranie, którym poczęstował cię wuj Alf. Podobno zachowałeś się dość przytomnie... to znaczy jak na barana... ale zostawmy to teraz. Ludzką

rzeczą jest błędzić, rzeczą głupców trwać w błędzie - porzekadło zapalczego historyka dziwnie zabrzmiało w ustach ojca i Maciek odruchowo uniósł głowę.

- To samo powiedział kiedyś wuj Alf - mruknął - tylko po łacinie. Ale nie chciałbym, żebyś powtarzał mi teraz wszystko, co kiedykolwiek usłyszałem od wuja.

Ojciec zaśmiał się cicho, ale zaraz spoważniał.

- Widzisz, po to, aby nie trwać w błędzie, trzeba wiedzieć, dlaczego się go popełniło. O ile cię znam, coś po prostu, mówiąc delikatnie, musiało cię wytrącić z równowagi. Czy to właśnie nie wuj Alf z jego historią i „śrubkami”, którymi wszystkim nam nieustannie kłuje w oczy?

- Może...

- Więc tylko przekora? To było silniejsze niż lojalność wobec współzawodników i siebie?

Maciek poczuł, że z jego oczami zaczyna się dziać coś niedobrego.

- Tyle było gadania o teorii... - mruknął prędko, żeby nie dopuścić do katastrofy - pytali mnie, czemu służy nauka... wtedy, kiedy powiedziałem, że chcę budować gwiazdy. Pamiętasz? Mówiłem ci o tym.

- No i co?

- Nic. Tylko zezłościłem się...

- ...a więc jednak.

- No, to co?! - zaperzył się Maciek. - Nie jestem automatem. Historia, teoria, dobrze. Ale ja będę specjalistą... poza tym, nawet muzeów by nie było, gdyby nie technika! Kto urządził tutaj, na Marsie, wioskę olimpijską, strefę chronioną, a w niej to idiotyczne miasto sprzed potopu?! Historycy?

- Wcale nie sprzed potopu. Poza tym, gdyby nie ludzie żyjący kiedyś w takich miastach, z wszystkimi ich problemami, kłopotami i wadami, nie byłoby dzisiaj...

- Wiem, wiem - przerwał niecierpliwie chłopiec. - Słyszałem to już niejednym razem. Nie sądziłem jednak, że ty, który całe życie spędzasz poza Ziemią, konstruujesz sztuczne satelity i przecierasz ludziom drogę do gwiazd, będziesz powtarzał powiedzonka tych h... historyków! - to ostatnie słowo zostało wypowiedziane takim tonem, że zabrzmiało jak najgorsza obelga.

Ojciec pomilczał jakiś czas, po czym znowu uśmiechnął się przelotnie. W mroku błysnęły jego zęby.

- A mnie się zdaje, że słowa „tych” historyków zrobiły na tobie znacznie większe wrażenie, niż sam przed sobą chciałbyś się do tego przyznać. Nie mam racji?...

- Nie! - krzyknął w pierwszym odruchu chłopiec. Odchrząknął, poruszył się

niespokojnie, po czym zamruczał: - Nie wiem... Anna pisze pamiętnik, wiesz? - dodał niezbyt do rzeczy.

- Tak? - zdziwił się uprzejmie ojciec. - Kiedyś opowiem ci, dlaczego zawsze z uwagą słuchałem i słucham Alfa, chociaż, jak mówisz, tak rzadko bywam na Ziemi. Bo to, że latam po okolicach, gdzie Słońce jest tylko małą, jasną gwiazdą, jedną z miliardów, to nie znaczy, że nie myślę o Ziemi i tylko o niej. Ale mniejsza z tym. Wracając do tego, co mi opowiedziałeś...

Teraz właśnie ojciec Maćka stwierdził, że nie może pomóc swojemu najmłodszemu synowi. Że tę sprawę musi rozstrzygnąć on sam. Po czym dodał, że nie zna się na sportowych regulaminach.

Dłuższą chwilę w mrocznym pokoju panowała zupełna cisza. Przerwało ją wreszcie westchnienie Maćka.

- Czy powinienem już teraz zgłosić się do Komisji Sędziowskiej? - spytał chrypiącym głosem.

- Nie wiem...

- Tato!

- Spróbujmy inaczej - głos ojca brzmiał dziwnie głucho. - Co zrobiłbyś na moim miejscu? Co powiedziałbyś teraz, gdybyś był mną?

Maciek potrząsnął przecząco głową.

- Sam nie chcesz mi pomóc, a wymagasz ode mnie, żebym ci poradził, jak masz postąpić. Nie jestem niczym ojcem - dodał rozżalony.

- Powiedzmy, że nie. Założmy nawet, że wycofuję ostatnie pytanie. Istotnie, nie mogę wymagać, żeby... - przerwał, po czym zaczął zupełnie z innej beczki: - Jutro latawce, prawda?

Minęło kilkanaście sekund, zanim Maciek, zaskoczony zmianą tematu, mógł mruknąć „tak”.

- Wiesz, co ci powiem? Zostaw sobie jeszcze ten jeden dzień. Zawsze będziesz miał czas podjąć decyzję przed ostatnią konkurencją. Szybowce to cudowny sport. Leć i niech ci się wiedzie.

- To był unik - stwierdził z wyrzutem chłopiec.

- Być może. Ty zrobiłeś ich więcej. Polecisz?

Maciek przez chwilę jeszcze snuł gorzkie rozmyślenia na temat osamotnienia w obliczu najtrudniejszej decyzji w całym swoim dotychczasowym życiu, po czym nagle przed jego oczami rozsnęła się bajeczna wizja lekkiej, srebrzystej konstrukcji, bezgłośnie sunącej pod miliardami gwiazd.

- Tak - szepnął - wystartuję na szybowcu...

Ojciec odetchnął głęboko. Następnie przesiadł się z fotela na tapczan i położył synowi rękę na ramieniu.

- Będę niedaleko - oświadczył. - Rano lecę do swojego starego laboratorium na orbicie. Chciałbym być na miejscu, gdybyś znowu spotkał gości z kosmosu.

Te ostatnie słowa brzmiały żartobliwie, ale zostały wypowiedziane dziwnie poważnym tonem. Maciek przestał nagle myśleć o tym, co go gnębiło. Uniósł się na łokciach i utkwiał badawcze spojrzenie w twarzy pochylonego nad nim mężczyzny.

- Słuchaj, tato, czy ty... mama mówiła, że kiedyś wspominałeś... czy dlatego wybrałeś pracę na asteroidach, że... no, wiesz? Wuj Alf wykrzykiwał kiedyś: „Całka!”, „Tradycja!” i takie rzeczy.

- Czy wiem?... - spytał sam siebie ojciec prostując się. Zdjął rękę z ramienia syna i zwrócił twarz w stronę okna. Ponad smugą światła, padającą z dalekiego reflektora, lśniły na marsjańskim niebie lekko przyćmione gwiazdy. - Janusz Całka - szepnął. - Tak... wiem. Kiedyś, dawno temu, Alf opowiedział i mnie o naszym przodku, który zaginął bez wieści przeszło dwa wieki temu. Nie szukam śladów tamtej nie wyjaśnionej katastrofy, w każdym razie nie robię tego specjalnie. Mam swoje prace badawcze... tylko, szczerze mówiąc, może mógłbym je prowadzić gdzie indziej, gdyby nie tamten Janusz Całka.

- Kosmonautyka była wtedy bardzo niebezpieczna, prawda? - stwierdził raczej niż spytał Maciek. - Poziom techniczny ówczesnych statków...

- Poziom techniczny mnie nie interesuje - przerwał sucho ojciec. - Znamy ich materiały, technologię, konstrukcje. Ale wciąż mało wiemy o ludziach... - Michał Całka nagle wstał. Wyprostował się, zrobił kilka kroków w stronę okna, po czym zawrócił i ponownie zatrzymał się przed tapczanem, na którym pół siedział, pół leżał Maciek.

- Każdy ma jakieś swoje własne sprawy - szepnął pozornie bez związku - i swoje ciche pragnienia. A nuż.. - zawiesił głos.

- Czy - chłopiec zawahał się - czy nie sądzisz, że to mogłaby być nasza sprawa? Wspólna?

- Chciałbym - odpowiedział ojciec tak cicho, że Maciek ledwie dosłyszał - ale ty masz inne kłopoty, a poza tym, najpierw musisz zostać tym specjalistą, którym chcesz być. Może kiedyś...

„Masz inne kłopoty” - powtórzył sobie w myśli chłopiec. Jak gorzko to zabrzmiało! „Inne kłopoty”. Inaczej mówiąc: „zobaczymy, czy okażesz się godny tego, żeby iść śladem Janusza Całki”. Ojciec tego nie powiedział, ale czy musiał mówić? Maciek nie korzystał z

własnych konstrukcyjnych pomysłów, ani razu nie zażądał od Klocusia, żeby mu pomógł, walczył w zawodach uczciwie, niemniej - co tu ukrywać - wystarczyło chwilowe rozgoryczenie, a zachował się nielojalnie względem współzawodników i siebie samego. Ojciec miał rację. Bo przeróbka robota teoretycznie dawała mu większe szansę. Czy badacz kosmosu może mieć wielką wspólną sprawę z kimś, kogo lojalności nie jest zupełnie pewny?

W tym momencie drzwi uchyliły się i przez szparę wpadła z korytarza smuga łagodnego światła.

- Czy nie dosyć na dzisiaj? - zabrzmiał od progu głos mamy. - Wiecie, która godzina? A przecież jutro, skoro świt, start do następnej konkurencji. Michale, chcesz mieć na sumieniu klęskę własnego syna?

Klęskę? To wypowiedziane z uśmiechem słówko dziwnie złowieszczo zabrzmiało w uszach Maćka. Wzdrygnął się odruchowo na myśl o tym, jak bliski był prawdziwej klęski. Zrobiło mu się nagle żal - przede wszystkim siebie samego, ale także i mamy, która nie wiedziała o niczym.

- Przepraszam cię, Lenko - ojciec przejechał dłonią po czuprynie Maćka i poszedł do wyjścia - zagadaliśmy się. Już idę.

- Och, mężczyźni, mężczyźni - westchnęła z komicznym ubolewaniem mama. - Narzekacie na nasze gadulstwo, a ilekroć zostawić was samych, zapominacie o całym świecie i jesteście gotowi plotkować do rana.

- Nie plotkowaliśmy - powiedział cicho Maciek, ale przerwał mu stanowczy głos ojca:

- Mama ma rację. Dobranoc, synu.

Wiatr od Słońca

- ABZ-22, daj drogę!

Na pulpicie sterowniczym przed Maćkiem zabłysło jedno nowe zielone światełko. Uśmiechnął się.

- To znowu ty? Skąd startujesz?

- Z Varsovii. A ty?

- Z Amora. Byłeś tam kiedy?

- Nie. Wiem tylko, że ta planetka co kilka lat zbliża się do Ziemi, W razie czego możesz zostać i poczekać - w słuchawkach zabrzmiał cichy śmiech. - Ale na Varsovii byłem. To ucziwa asteroida, niemal jak Ceres czy Dembowska.

- Szczęściarz - burknął Maciek. - A może tam jest tak ładnie, że nie będzie ci się chciało startować? Pochodzisz sobie, zbudujesz jakąś pionierską bazę, zaczniesz hodować kwiatki...

- Nic z tego, mój kochany. Polecę i wygram!

- Niedoczekanie...

- ABZ-22, BAW-3, proszę natychmiast przerwać rozmowę. To są zawody, nie podwieczorek u cioci! Poza tym obowiązuje wyjątkowa ostrożność.

- Przepraszam.

- Przepraszam.

Zielone światełko na pulpicie zgasło.

- Rupieć - burknął do siebie Maciek. Mało brakowało, a obydwaj straciliby punkty. Co im strzeliło do głowy, żeby ucinać sobie pogawędki, i to już dobre piętnaście minut po honorowym starcie!

Wyruszyli wszyscy równocześnie. Potem przez pięć, dziesięć minut większość zawodników leciała w małych grupkach, tak blisko siebie, że na ekranach rysowały się wyraźnie kształty bliźniaczych rakiet. Następnie ich drogi rozeszły się - Jeden po drugim stateczki wchodziły na wytyczone im przez sędziów tory, biorąc kurs na różne asteroidy. Każdy z uczestników Sześcioboju miał lądować na innym małym globiku, jednym z setek tysięcy, jakie krążą między Marsem a Jowiszem. Tam miał pozostawić swoją raketkę automatycznemu pilotowi, by ten przyprowadził ją z powrotem do wioski olimpijskiej, a sam przesiąść się na lekką konstrukcję, przypominającą zwykły, staroświecki latawiec, i rozegrać drugą z koronnych konkurencji: szybowce.

Ibn Kazi wylosował Varsovie, natomiast Maciek miał wystartować ze znacznie mniejszego Amora.

Oczywiście sędziowie, punktując wyniki, uwzględniali wszystkie różnice i czynniki niezależne od samych sportowców: czy na przykład zawodnik pokonujący określony dystans miał na nim bardziej czy mniej korzystny wiatr słoneczny” czy ten dystans był krótszy, czy dłuższy i wreszcie warunki panujące w miejscu, gdzie kończyło się pierwszy etap. Łatwiej przecież osadzić rakietę na stosunkowo dużych asteroidach, jak Ceres, Pallas, Juno, Vesta czy wspomniana Dembowska, niż na mniejszych, o średnicy kilkuset kilometrów, na przykład Varsovii, Wandzie, Walewskiej, Polonii, których średnice nie przekraczają stu kilometrów, nie wspominając już o kosmicznych okruszynach, gdzie nie tylko człowiek, ale i jego statek ważą, powiedzmy, piętnaście gramów.

Dyspozytor, skarciwszy ABZ-22 i BAW-3 za nieregulaminowe rozmowy, nie odezwał się więcej. W kabinie rakiety Maćka panowała idealna cisza.

Do Amora pozostało już tylko dwanaście minut lotu. Silniki pracowały bez zarzutu, czujniki świeciły równo i spokojnie, na ekranie komputera symbol stateczku ani na setną część milimetra nie zбочzył z linii kursu. Słowem, ABZ-22 był pewny, że na tym pierwszym etapie nie straci ani jednego cennego punktu.

Nagle światelka na pulpicie sterowniczym raptownie przygasły, potem rozbłysły nienaturalnie wyostrzonymi barwami, a wreszcie ściemniały tak, że wewnątrz miniaturowych lampek pozostał tylko ślad gasnącego żarzenia.

- ABZ-22 melduje uszkodzenie... nie, w porządku - przerwał sam sobie Maciek, bo w tym momencie wszystko wróciło do poprzedniego stanu.

- Uwaga, ABZ-22, tracimy twój sygnał namiarowy. Tracimy twój sygnał namiarowy. Odezwij się!...

- Tu ABZ-22 - chłopiec wpatrzył się w ekran, na który komputer wyrzucał wyniki gorączkowych obliczeń. - U mnie wszystko w porządku - Zespoły statku pracują normalnie. Miałem chwilowy zanik dopływu energii, ale komputer nie potrafi wskazać przyczyny. Prawdopodobne przejście obok jakiegoś pola elektromagnetycznego...

- ABZ-22, odezwij się. Uwaga wszystkie jednostki! Tu Główna Komisja Zawodów. Utraciliśmy kontakt z zawodnikiem ABZ-22 lecącym kursem 17-6-0-22 na Amora. Przejść na wszystkie pasma. Uwaga. Wezwanie alarmowe...

- Tu ABZ-22! - Maciek mimo woli podniósł głos. - U mnie wszystko w porządku. Nie róbcie zamieszania. Co się dzieje?!

- Uwaga, dyspozytor - usłyszał w słuchawkach zamiast odpowiedzi - Ekipa obronna

X-7 prosi o pozwolenie na start.

- X-7, startuj.

- Tak jest. X-7 startuje.

- Uwaga, dyspozytor. Ekipa obronna X-8 prosi o pozwolenie na start.

- Tak jest. X-8, startuj.

- Uwaga, dyspozytor. Ekipa obronna X-9...

Maciek poczuł, że z jego skroni zaczynają spływać strużki potu. Tutaj tchnąca potężnym spokojem noc próżni, miliardy świecących łagodnie gwiazd, lot odbywa się najnormalniej w świecie, nie ma żadnych przeszkód, zaledwie kilka minut do celu pierwszego etapu, a tam z jego powodu trwa najprawdziwszy alarm bojowy. Jeden po drugim startują potężne, uzbrojone w najnowocześniejsze miotacze krążowniki przestrzeni, rzucając się w pogoń za kimś czy za czymś, co jakoby zagraża właśnie jemu... Szaleństwo!

- Tu ABZ-22!!! - krzyknął rozpaczliwie. - Co się stało?!!!. Halo!!! Halo!!!

Nagle zaczęło mówić kilkanaście głosów naraz.

- ABZ-22-Bis melduje...

- Odbieram sygnał od ABZ-22. Słyszę ABZ-22 - meldowali kolejni zawodnicy. - Halo, u ABZ-22 wszystko w porządku. Mówi, że leci ustalonym kursem i jest już niedaleko mety pierwszego etapu.

Przez chwilę słuchawki milczały. Wreszcie ponownie odezwał się dyspozytor Komisji.

- Odbieramy sygnał ABZ-22. Dziękuję wszystkim, którzy wcześniej nawiązali z nim łączność i zameldowali nam o tym. Widocznie zakłócenia wystąpiły tylko na linii łączącej nas z punktem, gdzie teraz znajduje się AB2-22. Odwołuję alarm. ABZ-22, słyszysz mnie?

- Tak - odpowiedział z ulgą Maciek. - Co to za zakłócenia? Dlaczego wszyscy mnie słyszeli, tylko nie wy... to znaczy, przepraszam, dlaczego Komisja nie odbierała moich sygnałów?

- Nie wiem, ABZ-22. Nasze nadajniki były cały czas sprawne. Co u ciebie? Powinieneś właściwie przerwać lot...

- U mnie naprawdę wszystko w porządku - rzekł z uporem chłopiec. - Miałem sekundowy brak dopływu energii do sieci zasilającej wskaźniki. Ale sekcje kontrolne komputera nie znalazły śladu jakiegokolwiek uszkodzenia.

- Być może przeleciałeś blisko czegoś, co przerwało łączność między tobą a nami... - powiedział z namysłem dyspozytor - Należałoby to sprawdzić...

- ABZ-22 prosi o pozwolenie na kontynuowanie konkurencji - rzucił w odpowiedzi

Maciek nienaturalnie spokojnym tonem.

W słuchawkach rozległo się głębokie westchnienie.

- Przed chwilą wystartowały ekipy obronne. Lecą twoim torem. Jeśli zauważysz jakiegokolwiek odchylenie od kursu lub zakłócenia, melduj natychmiast. Pozwalam kontynuować lot.

- Dziękuję. ABZ-22 widzi metę pierwszego etapu. Koniec.

Nastąpiła cisza. Na tarczy radaru, przekazującego obrazy w pasmach infraczerwieni, rosły powoli nieregularne kontury Amora. Mały glob podobny był do głazu zawieszony na niewidzialnej nitce u jakiejś gwiazdy. Obracał się niesłychanie powoli, jak dziwaczna - ozdóbka sporządzona z czarnego papieru, ukazując poszarpane krawędzie skał, rozpadliny, niskie przepaście i maleńkie równinki. Wśród nich należało teraz wypatrzeć tę, na której miała wylądować rakietka.

Maciek spojrział jeszcze raz na plastyczną mapkę, którą dostał przed startem, i znalazł skalną płytę, ograniczoną trzema spiczastymi głazami. Chwilę później, okrążywszy przepisowo asteroidę, usiadł w samym środku miniaturowej dolinki, jakby żywcem przeniesionej z wysokich partii Rezerwatu Tatrzańskiego.

- ABZ-22 wylądował na Amorze - zameldował.

- ABZ-22, pozwalam na opuszczenie rakiety - odpowiedział natychmiast dyspozytor.

Maciek sprawdził szczelność skafandra i otworzył wąż. Ułamek sekundy później czarna noc przeszło ostre światło padające z góry. Chłopiec uśmiechnął się.

- Nie czekałeś na polecenie - zauważył posyłając Klocusiowi ciepłe spojrzenie, czego ten żadną miarą nie mógł dostrzec.

- Działam zgodnie z programem - odpowiedział znajomy głos.

- Nie mogłeś ty nawiązać łączności, kiedy ci z Komisji Sędziowskiej tracili z nami kontakt? - spytał Maciek otwierając ładownię swojego stateczku.

- Nie. Poczułem się przez moment bardzo osłabiony, a potem także straciłem łączność z dyspozytorem.

- Nawet przy tym twoim specjalnym sposobie porozumiewania się z Sędziami? - rzucił z przekąsem chłopiec.

- Tak

- Nie jesteś rozmowny.

- Nie. ABZ-22-Bis oświetlał pole, pośrodku którego spoczęła raketka. W blasku potężnego reflektora zaśniła teraz srebrzysta konstrukcja spoczywająca dotąd spokojnie w ładowni. Po rozłożeniu szybowiec przypominał wielki, szmaciany prostokąt, wzmocniony

żebrowaniem utworzonym przez dwa skrzyżowane maszty. W miejscu przecięcia tych masztów znajdowała się małeńka jednoosobowa kabina, cała nakryta przezroczystą kopułką.

Chłopiec ułożył ostrożnie szybowiec na skalistym gruncie, po czym otworzył kabinę i zajął miejsce w dość ciasnym fotelu. Wokół niego lśnił w świetle jakby płat zamrożonego śniegu o powierzchni czterystu metrów kwadratowych. „Szmaciana” powłoka latawca była w rzeczywistości sporządzona z cieniutkiego aluminiowanego plastiku, wrażliwego na najsłabsze nawet podmuchy wiatru słonecznego. W kabinie, poza aparaturą łączności i wskaźnikami położenia lotek, które służyły do ustawienia szybowca pod odpowiednim kątem względem kierunku wiatru, nie było żadnych urządzeń. Małeńki silniczek, uczepony pod kabiną i posiadający zapas paliwa na piętnaście sekund, miał pracować tylko w czasie startu.

Maciek usadowił się w miarę możliwości wygodnie, sprawdził silniczek, umieścił pod kontrolnym ekranem szkic powrotnej drogi na Marsa i zamknął osłonę kabiny. Ze swojego miejsca widział, jak zatraskują się włazy rakiety, którą tutaj przyleciał. Automatyczny pilot podjął pracę. Chłopiec wiedział, że rakietę nie wystartuje, zanim on sam nie opuści Amora, bo ogień z dyszy napędowych stateczku mógłby uszkodzić delikatną powłokę szybowca, ale i tak nie miał chwili do stracenia. Liczy się każda sekunda. Dobrze powiedział dyspozytor, to nie podwieczorek u cioci...

- ABZ-22-Bis, możesz zgasić światło - zerknął w górę, ujmując stery.

- Zgaszę, kiedy wystartujesz - odpowiedział robot. - Nie mogę wykonywać poleceń, które godzą w twoje bezpieczeństwo. Jestem...

- Wiem, czym jesteś, Klocusiu. Dobra, świeć, jak długo chcesz. Startuję.

Uruchomił silniczek. Płaska konstrukcja drgnęła, po czym delikatnie uniosła się w przestrzeń. Było oczywiste, dlaczego robot opiekuńczy nie chciał na razie wyłączać reflektora. Bał się tych trzech spiczastych szczytów wokół skalnej płyty. Wystarczyłby jeden nieostrożny ruch, by rozpruć latawiec o ostre krawędzie głazów.

Minęło piętnaście sekund. Ledwie słyszalne brzęczenie małego silniczka ucichło i w tym samym momencie zgasło także światło. Dopiero po dłuższej chwili, kiedy jego oczy ponownie oswoiły się z ciemnościami, Maciek zaczął dostrzegać gwiazdy. Było ich więcej, niż można zobaczyć na ekranach zwykłych próżniowych statków. Otoczyły go ze wszystkich stron. Brakowało tylko jednej, największej, to znaczy Słońca, bo znajdowało się ono akurat w nadirze, dokładnie pod kabiną latawca: Ale tej to właśnie gwieździe miał do zawdzięczenia, że na ekraniku podającym natężenie wiatru słonecznego ukazały się rosnące liczby i że szybowiec, łagodnie przyśpieszając, wszedł na kurs przewidziany dla zawodnika ABZ-22.

Słowa „wiatr” nie należy sobie kojarzyć z ziemskim huraganem, wichrem, zefirkiem, i

w ogóle z ruchem powietrza. O tym nie może być przecież mowy w międzyplanetarnej przestrzeni. Wiatrem słonecznym już bardzo dawno temu nazwali uczeni emitowane przez naszą gwiazdę naładowane elektrycznie cząstki elementarne. Prędkość tych cząstek wynosi zwykle setki kilometrów na sekundę, jednak w okresach wzmożonej aktywności Słońca wzrasta nawet i do tysiąca pięciuset kilometrów na sekundę. Ale dla kosmicznego latawca to kosmiczne promieniowanie jest po prostu wiatrem. Wiatrem od Słońca, o którym słynny poeta, Alek Sosna, napisał nie mniej słynny, piękny i długi wiersz...

Gdyby ktoś mógł obserwować zachowanie pilota srebrzystego skrzydła szybującego właśnie wśród nieprzeliczonego mrowia gwiazd, zdumiałby się zapewne w tym momencie bardzo. Pilot ten bowiem nagle rozprostował ramiona, o mało nie przebijając koniuszkami palców szyby swojej kabiny. Szyba okazała się jednak nieustępliwa, w wyniku czego pilot podskoczył raptownie w fotelu, uderzając w tę samą przezroczystą osłonę tym razem czubkiem głowy tkwiącej w próżniowym kasku. Kask kaskiem, ale podskok był energiczny, toteż wewnątrz szybowca dał się słyszeć zduszony okrzyk „rupieć!”, po którym na jakiś czas pilot zastygł w absolutnym bezruchu.

A wszystko to stało się w nagłym przyływie radości... więcej - szczęścia. Wuj Alf użyłby może nawet określenia „szczęśliwości”. Po prostu Maciek raptem zdał sobie sprawę, że żegluje cicho i swobodnie jak ptak, gdyby oczywiście pomiędzy gwiazdami żyły ptaki, że noc dokoła jest cudowna, czarna, odrobinę rozjaśniona granatem, że od otaczającego go ze wszystkich stron czarno-granatowo-złotego nieba dzieli go tylko cienka, przezroczysta ścianka, i wreszcie, że jego latawiec mknie w strumieniu słonecznego wiatru, niosąc go pewnie i spokojnie do celu. Taki maleńki, lekki puszek, wędrujący pod dalekimi słońcami, unoszący na sobie miniaturową postać człowieczka z bajki.

Ale Maciek nie był człowieczkiem z bajki, jego latawiec nie był puszką, wszystko to działo się naprawdę, tak jak prawdziwa była noc między obszarem planetoidów a Marsem. Wspaniała konkurencja, te latawce! Pomyśleć, że już od tak dawna podobne konstrukcje służyły ludziom do transportu materiałów z planet na Ziemię, a dopiero jakieś trzydzieści czy czterdzieści lat temu zaczęto również budować oparte na tej samej zasadzie małe jednostki sportowe. Ale starożytne statki żaglowe też bardzo długo wozły po morzach i oceanach Ziemi jedwabie, herbatę, przyprawy i najprzeróżniejsze towary, zanim ludzie nauczyli się robić małe łódeczki z kolorowymi płachtami tylko po to, by przeżywać radość żeglowania. Dokładnie tak samo miała się rzecz z kosmicznymi szybowcami.

- Nie uderzaj głową ani rękami w osłonę kabiny, bo możesz sobie zrobić krzywdę - zabrzmiało w słuchawkach nieco spóźnione ostrzeżenie Klocusia.

Ostatnie szpileczki bólu tkwiące w czubku głowy i palcach Maćka ulotniły się bez śladu. Odpowiedział wesołym śmiechem:

- Nie martw się! Po prostu zwariowałem, wiesz? Ludziom to się czasem zdarza...

- Co zrobiłeś? Co to znaczy: „zwariowałem”?

- Nic, nic. Gdybyś znajdował się bliżej i był troszeczkę mniej kanciasty, mógłbym cię uściskać i ucałować. Rozumiesz?

- Nie, ale zaczynam się domyślać, co to znaczy zwariować. ABZ-22, uważaj. To niebezpieczne...

- Jak dla kogo!

Dobry humor Maćka stawał się z sekundy na sekundę coraz lepszy. Zapomniał o swoich problemach związanych z historią, a nawet o tym najważniejszym, o którym wczoraj przed zaśnięciem rozmawiał z ojcem. Zapomniał o wszystkich możliwych i niemożliwych kosmicznych obiektach, o potężnych obronnych krążownikach sunących w pobliżu, jako że przelatywał teraz znowu przez strefę, gdzie w drodze na Amora utracił chwilowo łączność z dyspozytorem, wiedział tylko, że srebrzysty szybowiec niesie go coraz prędzej do celu. Jak pięknie lśnią te gwiazdy! Jakby ktoś daleko, daleko rozpałił ognisko w gigantycznym szalasiu.

Zaśmiał się głośno. „Ognisko w szalasiu” - to oczywiście pomysł Bolka. Kiedy miał trzynaście lat, napisał wiersz pt. „Niebo”. Zachwycona rodzina, której Bolek nie omieszkiał odczytać swego dzieła, dowiedziała się właśnie wtedy, że gwiazdy mieszkają w szalasiu.

- Dlaczego w szalasiu? - spytał niepewnie ojciec.

- Właściwie to jest tylko jedna, wielka gwiazda i ona prześwieca przez szpary szalasu
- wyjaśnił łaskawie Bolek.

- Aha... - westchnęła mama z kornym podziwem.

- Rozumiem... - zawtórował jej poważnie ojciec.

- A szalas się nie spali? - zaniepokoił się Marek.

Na wspomnienie miny, jaką wtedy zrobił jego starszy brat, Maciek znowu parsknął śmiechem, zerknął w ekran i nieznacznie poruszył sterami. Kabinka wraz z całym latawcem wykonała zwrot, tak nieznaczny, że nawet gwiazdy pozostały pozornie nieruchome. Ale szybowiec ustawił się pod jeszcze korzystniejszym kątem w stosunku do strumieni słonecznego wiatru. Maciek leciał teraz naprawdę prędko; tylko tak dalej, a będzie dobrze. Wprawdzie jutro ostatnia konkurencja - turniej piłki raketowej, ale to raczej zabawa dla widzów niż prawdziwa sportowa walka. Mecz rozgrywają same komputery stateczków, a punkty, jakie można stracić lub zarobić w ostatnim dniu, nie mają już właściwie praktycznego

znaczenia.

Serce Maćka zalała nowa fala radości.

- Hop, hop! - zawołał, jakby szukał kogoś w gęstym lesie. - Klocuuuusiu! Wygramy!?

- Uwaga, ABZ-22! Niebezpieczeństwo! Tracę energię. To chyba to samo co przedtem... dwa obiekty... - głos robota z każdym słowem brzmiał słabiej.

Chłopiec zmienił się na twarzy. Omiótł wzrokiem wskaźniki i krzyknął:

- ABZ-22-Bis! U mnie wszystko... - chciał powiedzieć „wszystko w porządku”, ale w tym samym momencie spostrzegł, że ekran, na którym jeszcze przed chwilą widniały liczby określające wielkość natężenia wiatru słonecznego, jest czysty jak matowe szkło. Zero...

- Klocuś!!! - zawołał rozpaczliwie. - Co się dzieje?!

Milczenie.

- ABZ-22 do dyspozytora! Znowu tracę energię. Mój robot odmówił posłuszeństwa. Znalazłem się w strefie ciszy. Ani śladu wiatru słonecznego. Moje wskaźniki... - zrobił pauzę, bo z kolei i wskaźniki wszystkie naraz przygasły, a potem szerniały - moje wskaźniki nie działają! - podniósł głos o pół tonu. - Halo, dyspozytor!

Cisza. Sekunda, dwie, trzy...

- ABZ-22 wzywa pomocy! - wykrztusił wreszcie chłopiec tak cicho, że na dobrą sprawę nikt nie mógłby zrozumieć tego, co powiedział. Ale Maciek już wiedział, że i tak nikt go nie usłyszy.

To właśnie gdzieś tutaj, na trasie pierwszego etapu, aparatura jego rakiety na mgnienie straciła dopływ energii, a łączność z Komisją Sędziowską urwała się tak samo jak teraz. Wy tłumaczenie mogło być jedno - proste a jednocześnie straszne. Ten obcy, pożerający energię obiekt przypętał się znowu, akurat teraz i akurat tutaj. Ale Maciek, chcąc nie chcąc, ściągnął przecież przedtem w ten rejon przestrzeni najpotężniejsze rakiety obronne. Każdy z zawodników miał meldować, gdyby coś się wydarzyło...

Cudowne niebo stało się nagle upiornie zimne i wrogie. Gwiazdy nie lśniły już wesoło, przyjaźnie, lecz szyderczo. Wszechświat jest nieskończenie obojętny wobec niedostrzegalnej łupinki unoszącej żywego człowieka przez nie objęte wyobraźnią przestrzenie.

Ale człowiek nie jest obojętny wobec wszechświata, ponieważ z nim i tylko z nim związane są jego własne losy. Musi poznać jego najtajniejsze sekrety i nauczyć się radzić sobie, kiedy zostaje sam na sam z gwiazdami.

Na tle Wielkiego Wozu przesunął się powoli nieokreślony, czarny kształt. Klocuś. Dlaczego zmienia położenie w stosunku do szybowca? Może w ostatnim ułamku sekundy

wykorzystał resztkę energii i chcąc zbliżyć się do swojego podopiecznego uruchomił silnik, ale nie zdążył już ustawić dyszy napędowych tak, żeby polecieć we właściwym kierunku?

Czarna plama zakryła już Gwiazdę Polarną. Tak. Klocuś powoli, ale nieodwołalnie odlatuje w bezmiar przestrzeni. Żegnaj, ABZ-22-Bis...

Nagle Maćka ogarnął gniew. Jak to, żegnaj?! Nie dość, że sam stoi tutaj jak głupi, martwy satelita, to jeszcze ma stracić robota?! Nigdy!

Ba, łatwo to powiedzieć! Ale przecież pistolecik, którego odrzut pozwala człowiekowi kierować swoim ciałem w przestrzeni bezgrawitacyjnej, jest tak samo pozbawiony energii jak Klocuś i nadajniki, nie wyłączając muszki.

Maciek zacisnął zęby. Czy rzeczywiście może się tylko beczynnie przyglądać, jak jego robot samotnie odpływa w gwiazdy? On, który wygrał Mars-maraton, osiągnął najlepszy czas w pierwszej „historycznej” konkurencji, a jeszcze przedtem uratował samego Ito Oyo!

Zaraz. Chwileczkę. Ito Oyo... góry...

Góry! Ito Oyo zwisający nad marsjańską przepaścią na cienkiej, wspinaczkowej linie! A przecież każdy latający obiekt musi mieć na pokładzie linę ratowniczą, taką samą, jakich używają wspinacze. Zawsze trzeba się liczyć z możliwością holowania uszkodzonego pojazdu.

Gniew Maćka ulotnił się bez śladu. Nie ma sensu się złościć, kiedy trzeba i można działać.

Zwój leżał pod fotelem pilota. Chłopiec położył go sobie na kolanach, po czym umocował koniec liny do stalowej łapy podtrzymującej ekran. Szarpnął, żeby sprawdzić węzeł, i zaraz potem otworzyłabinę. Przywiązał drugi koniec liny do pasa swojego skafandra i ile sił w nogach odepchnął się od szybowca. W pewnym sensie profesor Ito Oyo po raz drugi przychodził mu teraz z pomocą. To dzięki jego pamiętnej wyprawie w góry Maciek przypomniał sobie o linie. Ale i lina by nie pomogła, gdyby nie wiedział, że chociaż w próżni nie ważą nic ani piętnastoletni mężczyzna, ani szybowiec, to jednak ten ostatni ma większą masę. Dlatego Maciek po swoim skoku nabrał większej szybkości, niż opuszczony przez niego latawiec. I dlatego mógł liczyć na to, że dopadnie Klocusia, zanim lina rozwinie się na całą swoją długość i zanim jej szarpnięcie zawróci go z drogi.

Niestety, w próżni jest bardzo trudno prawidłowo ocenić odległość dzielącą jeden pogrążony w mroku obiekt od drugiego. Maciek poczuł szarpnięcie liny znacznie wcześniej, niż się tego spodziewał. Stanowczo za wcześnie, by mógł bodaj koniuszkami palców dotknąć swojego robota opiekuńczego. Poleciał z powrotem, spoglądając smutnie na niknącą sylwetkę ABZ-22-Bis. A co gorsza, w drodze powrotnej rozminął się z otwartą kabiną swojego

latawca, na próżno wyciągając ręce jak rozbitek do źle rzuconego koła ratunkowego. Zanim się zorientował, szybowiec był już za nim, nad lub pod nim, bo takie określenia w przestrzeni kosmicznej nie mają żadnego znaczenia. W ostatniej chwili zdołał jednak musnąć palcami samą krawędź skrzydła, co wprowadziło srebrzystą konstrukcję w powolny ruch obrotowy. Klocuś zniknął mu zupełnie z oczu, zasłonięty płaszczyzną latawca, i w tej samej chwili słuchawki chłopca nagle ożyły.

- X-7, X-8, X-9, odezwijcie się - mówił dyspozytor. - Wezwanie alarmowe na wszystkich pasmach! Zawodnicy ABZ-22, AZW-16, AAD-40, odezwijcie się! Wezwanie alarmowe! X-7, X-8, X-9...

- ABZ-22... - powiedział machinalnie Maciek i urwał. Zrozumiał, że chociaż niezwykłym zbiegiem okoliczności szybowiec odgrodził go wprawdzie od tych jakichś obiektów, o których zdążył wspomnieć Klocuś, to jednak raz wyczerpane baterie jego nadajników nie mogły przecież same naładować się na powrót. Jest i pozostanie niemy. Jest niemy, ale słyszy głos dyspozytora. Trudno uwierzyć, że ten głos może znaczyć aż tak wiele.

- X-7, X-8, X-9, odezwijcie się! Uwaga, wszyscy zawodnicy! Zarządzam przerwaniem konkurencji i natychmiastowy powrót do bazy. Komunikat dla dyspozytora wioski olimpijskiej. Tylko trzech zawodnicy, ABZ-22, AZW-16 i BBA-7 chwilowo pozostają jeszcze poza naszym zasięgiem. Nadal nie mamy kontaktu z jednostkami obronnymi. Proszę się jednak nie niepokoić. Według posiadanych przez nas informacji zanik łączności wynika z utraty energii przez statki, które znalazły się w strefie oddziaływania nie zidentyfikowanych obiektów. Życiu zawodników nie grozi bezpośrednie niebezpieczeństwo. Koniec. Uwaga, X-7, X-8, X-9 - dyspozytor ponownie zaczął wywoływać oniemiałe rakiety ekip obronnych oraz trójkę zawodników.

„Ich życiu nie grozi niebezpieczeństwo...” - powtórzył sobie w myśli Maciek. Bezpośrednie - jak zaznaczył dyspozytor Komisji Sędziowskiej. Pod warunkiem, że ktoś zdoła tutaj przylecieć i zabrać pozbawione energii jednostki wraz z ich pasażerami tak, żeby samemu nie powiększyć grona kosmicznych tułaczy. Bo przecież, jeśli w tym rejonie jest coś, co unieruchomiło nawet potężne krążowniki obronne, a unieruchomiło je, skoro nie odpowiadają, to należy wątpić, aby to coś pozwoliło się tutaj wślizgnąć jakimkolwiek statkowi napędzanemu jakąkolwiek - energią.

ABZ-22, to on. AAD-40 - ...nie, chłopiec nie pamiętał zawodnika oznaczonego tym symbolem. A AZW-16, to... Ina. Maćkowi stanęła nagle przed oczami jej uśmiechnięta twarz tak wyraźnie, jakby ujrzał jej przestrzenny portret. Poczł silne ukłucie w sercu. Ina...

Bardzo powoli zaczął wybierać zwisającą luźno linę. Przestał słuchać tego, co mówi

dyspozytor. Całą uwagę skupił na tym, żeby wrócić do szybowca, a równocześnie nie przegapić momentu, kiedy wydostanie się zza osłony, jaką stanowiła srebrzysta płaszczyzna jedyne go skrzydła jego pojazdu. Wreszcie lina napięła się. Chłopiec zacisnął dłonie na krawędzi kabiny i w tej samej chwili jego słuchawki umilkły. Znowu był w kosmosie sam, ale osiągnął coś ważnego. Cofnął się, ponownie wspiął do kabiny i powtórzył ten zabieg jeszcze dwukrotnie. Za każdym razem, kiedy odzywał się, a następnie umilkł głos dyspozytora, patrzył w przestrzeń, w gwiazdy. W ten sposób udało mu się w końcu ustalić kierunek, z którego przybyli nieproszeni kosmiczni goście. Należało ich szukać na tle gwiazdozbioru Lutni, nieco na prawo od jasnej Węgi. Tam teraz był także Klocuś. Może w ostatniej chwili, kiedy zamierały już jego silniki, ustawił się tak, żeby zagrozić drogę obcym obiektom...

Maciek zastanowił się nad swoim odkryciem. Gdyby odczepił koniec liny przymocowany do szybowca, odbił się od niego i sam, bez ubezpieczenia popłynął w stronę Klocusia, może zdołałby dopaść robota. Z kolei gdyby z grzbietu ABZ-22-Bis udało mu się wypatrzeć na tle gwiazd jakieś ciemniejsze od czarnogranatowej nocy plamy, to te plamy nie mogłyby być niczym innym, tylko czymś, co należało przepędzić jak najdalej stąd. Wystarczyłoby przywiązać się do Klocusia, odbić tym razem od niego i uderzyć w te kosmiczne obiekty. Raz wprowadzone w ruch, rozpoczęłyby powolną ucieczkę, która w końcu uwolniłaby statki obronne i trójkę zawodników od niebezpiecznego sąsiedztwa. Potem pozostałoby już tylko oczekiwać nadejścia pomocy. Bo pomoc mogłaby wtedy przylecieć nie narażając się na to, że podzieli los ABZ-22 i innych.

Gdyby, gdyby, gdyby! A jeśli źle obliczy odbicie i minie Klocusia, tak samo jak niedawno minął kabinę szybowca? A co zrobi, kiedy wylądowawszy już na robocie nie zobaczy wśród gwiazd niczego? Drogę powrotną do szybowca będzie miał odciętą, a tlenu w jego butlach wystarczy najwyżej na osiem godzin. A nawet jeśli zobaczy to „coś”, czy lina znowu nie okaże się za krótka? Wreszcie może się zdarzyć, że ów obiekt, uderzony rękami chłopca, wybuchnie lub przyciągnie go do siebie, by porwać go na zawsze w bezmiar kosmosu...

Maciek zawahał się. Zamknął oczy i znowu ujrzał przed sobą twarz Iny. Wydało mu się, że widzi ciemnozłote oczy, patrzące na niego z wyrzutem, a równocześnie jakby z nadzieją. Gdzieś niedaleko Ina przeżywa teraz to samo, co on, straszliwie osamotniona w szklanej kabinie swego latawca. Tylko trójka zawodników leciała po niezbyt od siebie oddalonych torach i akurat ta trójka musiała się dostać w szpony tego paskudztwa, które przywlokły meteory. I wśród tej trójki musiała się znaleźć akurat, Ina!

Chłopiec przestał się zastanawiać. Odwiązał linę od podstawy ekranu i owinął ją sobie

wokół pasa. Dość długo stał na skraju kabiny wpatrując się w ledwie widoczną, bezkształtną masę, w jaką zamienił się Klocuś. Następnie skoczył. Latawiec uciekł mu spod nóg i Maciek znalazł się w próżni, zupełnie sam, nawet bez tego rozwijającego się leniwie jasnego węża, który mógł mu umożliwić powrót do kabinki szybowca.

Na szczęście tym razem obliczył dobrze. Mimo woli wydał zdławiony okrzyk, kiedy rosnąca przed nim postać robota zaczęła nieznacznie przesuwać się w prawo. Ale to nie Klocuś uciekał, tylko Maciek potracił jedną z jego pająkowatych nóg. W następnym ułamku sekundy pochwycił oburącz cienki pręcik anteny sterczącej z ramienia ABZ-22-Bis. Jego rozpedzone ciało wykonało jeszcze wraz z robotem pełny obrót wokół własnej osi. Kiedy Klocuś zasłonił sobą gwiazdozbiór Liry, słuchawki znowu odezwały się głosem dyspozytora. Wkrótce Wega zabłysła ponownie i nastąpiła cisza, jednak dzięki tym kilku dźwiękom ludzkiej mowy chłopiec upewnił się raz jeszcze, że dobrze odgadł kierunek, w jakim należało szukać zachłannych obiektów.

Odwinął linę, przymocował jej koniec do ramienia robota, rozsiadł się wygodniej i utkwiał wzrok w gwiazdach. Z początku nie zobaczył nic i powoli zaczął go ogarniać lęk. Ten cały „bohaterski” skok był czystym szaleństwem. Teraz został na zawsze sam, przywiązany do martwego robota w bezkresnym morzu próżni, i zginie bez wieści, jak ten jakiś prehistoryczny Całka. Czekać na wyczerpanie zapasu tlenu nie będzie mógł sobie nawet powiedzieć, że pomógł uratować Inę...

Nagle jedna z gwiazd Lutni zgasła niczym światełko dalekiej boi zasłonięte przez fale. Chłopiec wstrzymał oddech i wpatrzył się w ten punkt.

Jeszcze jedna gwiazda podzieliła los poprzedniej. A po chwili w ich miejsce pojawiła się nowa.

Nie mogło już być wątpliwości. Tam właśnie wędruje przez przestrzeń to coś, co przerwało przedostatnią konkurencję Astroniady i zagroziło ludziom.

Maciek nie skoczył, tylko odepchnął się leciutko, jakby brał udział w meczu grawitki, i ujrzał spadającą na jego pole piłkę. Znowu był sam na sam z otaczającą go kosmiczną nocą, ale tym razem podążała za nim lina, dzięki której mógł wrócić do Klocusia, by ponowić próbę, gdyby pierwsza zakończyła się niepowodzeniem.

Kierunek znowu obliczył dobrze, cóż, kiedy lina i teraz okazała się za krótka. Ponieważ leciał bardzo powoli, nie odczuł żadnego szarpnięcia, po prostu zawisł nieruchomo, ale groźne tajemnicze obiekty, z których bliższy rysował się już wyraźnie na tle gwiazd jak wielki, przyplaszczony dysk, pozostały dla niego nieosiągalne. Wtedy po raz pierwszy stracił zimną krew. Syknął przez zęby „rupieć”, a następnie gorączkowo przesunął dłońmi po

kieszeniach swojego skafandra w poszukiwaniu jakiegokolwiek broni. Żadnej broni oczywiście nie znalazł, natrafił jednak na twardą płytkę swojej muszki. Bez zastanowienia wyszarpnął ją z kieszeni, wziął szeroki zamach i cisnął nieszczęsnym aparacikiem w stronę najjaśniejszej gwiazdy Liry.

Efekt tego desperackiego czynu przeszedł najśmielsze oczekiwania. Muszka poleciała prosto jak po sznurku w stronę dysku i trafiła w sam jego środek. Natychmiast odskoczyła od niego leniwie, ale obcy obiekt zaczął się poruszać w przeciwnym kierunku i trochę szybciej, o czym świadczyło tempo, w jakim zakrywał i odsłaniał kolejne gwiazdy.

Maciek po swoim gwałtownym machnięciu także zaczął powoli płynąć z powrotem. Odruchowo sięgnął po linę i zaczął ją z powrotem okręcać sobie wokół pasa - w ten sposób niebawem spoczął znowu na gładkim, pancerzu Klocusia.

Przez dłuższą chwilę nie działo się nic. Potem w słuchawkach zaszemrał jakiś ni to szept, ni to szelest, zbyt cichy i niewyraźny, by można wywnioskować, skąd pochodzi i co oznacza. Ten szmer obudził w Maćku tęsknotę do ludzkiego głosu. Zamachał rękami i odwrócił się wraz z Klocusiem, żeby ten ostatni zasłonił sobą Lirę.

- Wzywam X-7, X-8, X-9 - usłyszał od razu głos niezmordowanego dyspozytora. - Halo ABZ-22, AZW-16, AAD-40! Wezwaliśmy dodatkowe ekipy obronne z rejonu Neptuna. Ich przybycie przewidziane jest za jedenaście godzin. Wysłaliśmy także bezzałogowe sondy ratunkowe w waszym kierunku, jednak utraciliśmy z nimi łączność. Czekać spokojnie. Pomoc przyjdzie za jedenaście godzin.

„Za jedenaście godzin nie będę miał tlenu” - pomyślał Maciek. Ten głos, do którego tęsknił, nie przyniósł nic pocieszającego. Poza tym, że był, brzęczał w uszach i dowodził, że ludzie pamiętają o nim i Inie oraz o załogach krążowników, których połączyła ta sama niedola.

Podciągnął się wyżej. Klocuś wykonał leniwy półobrót, wynosząc chłopca z powrotem na tę stronę, która była wystawiona na działanie tajemniczych obiektów. Ale, o dziwo, słuchawki Maćka nie umilkły. Głos dyspozytora był wprawdzie bardzo zniekształcony, jednak z każdą chwilą stawał się wyraźniejszy.

- Uwaga, X-7 X-8, X-9... - brzmiało nieprzerwanie.

Maciek przebiegł wzrokiem niebo, próbując wypatrzyć te nieprzyjazne ciała, które poraził ciosem swojej muszki. Nie było ich. Wytrzeszczając oczy dostrzegł jednak w pewnym momencie zupełnie gdzie indziej, bo na tle Krzyża Południa, jakąś dużą, bezkształtną plamę, przesuwaną się nieskończenie powoli pod gwiazdami. Niemożliwe, przecież właśnie z tej części nieba płynął głos dyspozytora, więc nie mogło tam, być żadnych obiektów

zakłócających łączność. Jeszcze jeden nieproszony gość? Lub może latawiec Iny czy tego AAD-40?

W próżni trudno ocenić nie tylko odległość, lecz także rozmiary innego ciała - naturalnego lub sztucznego - jeśli nie ma się do dyspozycji choćby zwykłego radaru. Jednak ktoś oswojony z kosmośm jak astronauty, potrafi na podstawie różnych skojarzeń odpowiedzieć sobie, czy ma do czynienia z czymś małym znajdującym się blisko, czy też przeciwnie, z kolosem szybującym bardzo daleko. Maciek doszedł do wniosku, że czarna plama, którą wypatrzył, jest duża. A więc ani obce obiekty, ani latawiec, tylko statek. Jeden z unieruchomionych krążowników obronnych. Tam są ludzie. Ludzie... Gdyby udało się do nich dotrzeć, teraz, kiedy cudownym zbiegiem okoliczności bezmyślne poświęcenie muszki przepłoszyło groźnych gości i umożliwiło nawiązanie łączności... Kto wie, może członkowie ekipy obronnej, zamknięci w dryfującym tak blisko a zarazem tak daleko statku, także słyszą już głos dyspozytora i tak samo jak Maciek nie mogą mu odpowiedzieć, ponieważ akumulatory ich nadajników są wyczerpane?

O odbiciu się od Klocusia tak, żeby dopaść tego ledwie majaczącego w przestrzeni krążownika - jeśli to naprawdę jest krążownik a nie, powiedzmy, jakaś małeńka asteroida - nie było co marzyć. Trafienie sobą, bez zdolności manewrowania, w tak odległy przedmiot, byłoby przypadkiem najzupełniej fantastycznym. A superszczęśliwe przypadki zdarzają się wprawdzie, jednak nie sposób na nie liczyć. Tym bardziej że w razie niepowodzenia czekała Maćka już tylko samotna, nieskończona wędrówka przez bezmiar wszechświata.

Chłopiec wyobraził sobie, że kiedyś, po milionach lat, jakieś istoty z dalekiej galaktyki natrafiają na dziwne szczątki żywej istoty i zdejmują z niego skafander, żeby zobaczyć, jak wyglądał. Myśl była tak przeraźliwa, że niemal poczuł na swoim ciele dotyk jakichś okropnych zimnych macek i wzdrygnął się odruchowo. W ułamku sekundy okrył się gęsią skórką i zaszczekał zębami. Na wszelki wypadek objął oburącz potężne ramię Klocusia i przycisnął je z całej siły do piersi.

Mijały sekundy. Dokoła nic się nie zmieniało, tylko głos dyspozytora brzmiał już zupełnie wyraźnie i czysto:

- Wzywam X-7, X-8, X-9...

- A-a-a - wzy-ywa-a-a-j so-o-obie - powiedział głośno chłopiec wyężając wszystkie siły, żeby zapanować nad własną dolną szczęką. W tym momencie ujrzał, że zza Klocusia wypływa rąbek jakiejś jasnej płachty, przypominającej na pierwszy rzut oka prześcieradło, które ktoś rozpiął pomiędzy gwiazdami, żeby wyszło. A chwilę później dźwięczne kłapanie, które rozbrzmiewało wewnątrz próżniowego kasku zawodnika ABZ-22, ucichło jak nożem

uciął. Prześcieradło okazało się bowiem szybowcem. I to szybowcem, który leciał.

- Rupiec - odezwał się znowu Maciek, tym razem jednak zupełnie innym tonem. - Skończony baran - dodał z niezbitym przekonaniem.

Przecież jeśli dociera do niego głos dyspozytora, to znaczy, że to coś, co powodowało zakłócenia łączności, oddaliło się naprawdę. A to coś było przecież tym samym, co pochłaniało energię i równocześnie wychwytywało wiatr słoneczny! Inaczej mówiąc, porzucony przez niego szybowiec jest w tej chwili równie sprawny, jak w momencie startu. Przecież jego baterie ładuje prąd powstały na aluminiowej powłoce skrzydła właśnie pod wpływem bombardowania cząstek wiatru słonecznego!

Nie było chwili do stracenia. Latawiec zaraz zacznie się oddalać, a razem z nim szansa...

Ten skok był właściwie łatwy. Lina nie rozwinęła się nawet do połowy, a Maciek już siedział na obudowie kabiny. Kątem oka dostrzegł tablicę wskaźników błyskającą nielicznymi wesołymi światełkami i wpadł w tak wyborny humor, że wywinął regularnego koziołka i wylądował prosto w fotelu pilota. Od razu przywiązał koniec liny do podstawy ekranu, po czym włączył nadajnik.

- Tu ABZ-22 - powiedział siląc się na spokojny ton. - Wzywam dyspozytora ruchu Komisji Sędziowskiej.

- Co?

- Kto?! - zapytały dwa różne głosy naraz. To było dziwne. Jedyne sam dyspozytor miał prawo się odezwać.

- Proszę powtórzyć! Halo, powtórzyć! Kto mówi?!

Oczywiście, że nie było dwóch głosów. Tylko dyspozytor, skądinąd najzupełniej dorosły, odebrawszy zgłoszenie od jednego z milczących dotąd zawodników, zaczął ni stąd, ni zowąd przechodzić mutację. Najpierw wydobył z siebie piskliwe „co...”, a potem dopiero, przypomniawszy sobie o własnej godności, dorzucił zwykłym barytonem „kto?!”. Ale Maciek nie wziąłby mu za złe, nawet gdyby nagle zaćwierkał jak wróbel.

- Zgłasza się ABZ-22 - powiedział z dumą. - Jestem już poza strefą zakłóceń łączności. Przez dłuższy czas mój nadajnik był pozbawiony energii. Teraz naładował się, ponieważ szybowiec wszedł znowu w strumień wiatru słonecznego, dlatego że... - tu zrelacjonował pokrótce swoje ostatnie przygody.

Kiedy skończył, słuchawki milczały tak długo, że Maciek w końcu zaczął się niepokoić, czy przypadkiem złowrogie obiekty znowu nie wróciły.

- Halo, co się stało? - nie wytrzymał wreszcie. - Słyszycie mnie?

Dobiegło go głębokie westchnienie, po którym zabrzmiał lekko drżący głos dyspozytora:

- Rzuciłeś w to muszką?

- Tak.

- Poleciałeś... bez liny?

- Przecież mówiłem - zirytował się chłopiec - do tego dysku poleciałem z asekuracją. Tylko z szybowca na Klo... to jest, chciałem powiedzieć, na ABZ-22-Bis, bo lina była za krótka. Ale potem się przywiązałem...

- ABZ-22 - rzekł po kolejnej pauzie dyspozytor - mało jeszcze wiemy o obiektach, które pochłaniają energię, wiatr słoneczny i zakłócają łączność, ale nie ulega wątpliwości, że zetknięcie z nimi może być dla człowieka niebezpieczne. Postąpiłeś nieostrożnie...

- A co miałem zrobić? Przecież słyszałem, że nie macie kontaktu z ekipami obronnymi. Za jedenaście godzin nie miałbym już tlenu.

- Słyszałeś?

- Tak.

Znowu dłuższą chwilę panowała cisza. Następnie w słuchawkach zabrzęczały jakieś niewyraźne, przytłumione głosy. Widać dyspozytor porozumiewał się z kimś znajdującym się obok niego.

- ABZ-22?

- Nareszcie... - mruknął Maciek. - Tak, słucham - poprawił się natychmiast.

- Co masz zamiar robić dalej?

„Powinien mnie wezwać do bazy” - przebiegło chłopcu przez głowę. Przez moment czuł coś w rodzaju żalu do tego człowieka, daleko stąd, który nie kazał mu natychmiast wracać w bezpieczne miejsce. A zaraz potem pomyślał o Inie...

Jeszcze raz powędrował wzrokiem w stronę czarnej plamy wędrującej pod gwiazdami i zdecydował się:

- Ponieważ odzyskałem już zdolność manewrowania, polecę do statku, który widzę na tle Krzyża Południa - powiedział. - Gdybym znowu utracił łączność, to i tak spróbuję dostać się na jego pokład. Sądzę, że mi się uda, ale przedtem na wszelki wypadek ustawię lotki w takim położeniu, żeby szybowiec sam wyniósł mnie z zagrożonego obszaru. Teraz, kiedy obejrzałem to sobie z bliska... - Maciek mimo woli wpadł w pewny siebie i nieco niedbały ton, z jakim jego najstarszy brat oznajmił Dahrze, że poleci z ekipą obronną.

- A twój robot? - przerwał jego żelazny wywód dyspozytor.

Robot?... a, rzeczywiście. Co tam, chwilowe zaćmienie umysłu. W tej sytuacji...

- Tak, robot - zgodził się Maciek. - Najpierw podejść do ABZ-22-Bis i naładuję jego baterie.

- Wiesz, jak to zrobić?

- Wiem. Zdejmę osłonę i odnajdę przewody zasilające. A potem powiem mu, żeby leciał nie przede mną, lecz za mną, i w razie czego zawiadomił bazę, to znaczy pana. Będzie podawał naszą pozycję...

- Wiesz, jak zrobić - powtórzył dyspozytor - żeby robot słuchał twoich poleceń?

- Wiem - ton Maćka stał się naraz dziwnie ponury.

- To dobrze - dyspozytor gładko przeszedł do porządku nad tym wyznaniem. No cóż, wiedzieć, to jeszcze nic kompromitującego. Chłopcu wydało się jednak, że odrobinę zbyt skwapliwie rzucił to ostatnie „wiem”. Jeśli się dotychczas nie zorientowali...

- Czy mogę zaczynać? - spytał szybko.

- No cóż... ABZ-22! - głos w słuchawkach uległ nagłemu przeobrażeniu.

- Słucham?

- Leć ostrożnie, póki się nie przekonasz, że ta plama to naprawdę nasz statek. Cały czas bądź z nami w kontakcie. Dobrze?

- Mam gadać? - zaniepokoił się chłopiec. - Przecież będę zajęty - dodał z urazą. - Jak uruchomię robota, powiem mu, że ma z wami utrzymywać stałą łączność. On ma podzielną uwagę - zakończył.

- W porządku - z brzmienia głosu można było wywnioskować, że dyspozytor uśmiechnął się wreszcie. - Zaczynaj, ABZ-22!

Maciek już nie odpowiedział. Ustawił lotki tak, żeby łagodnym łukiem zbliżyć się do Klocusia. Kiedy nieruchome cielsko robota znalazło się tuż nad jego głową, stanął w fotelu i ostrożnie zaczął obracać swojego opiekuna, aż namacał znaną sobie płytkę na jego piersi.

Tym razem nie miał do dyspozycji nowoczesnych przyrządów, ale nie przerabiał przecież drugi raz programu automatu. Wystarczyło, że odkręcił cztery śrubki i odnalazł zaznaczone czytelnymi symbolami zaciski przewodów zasilających. Wówczas, nie wypuszczając z ręki liny, zszedł z fotela, otworzył niewielkie baterie aparatury szybowca i odłączył dwa kabelki. Były trochę przykrótkie i Maciek musiał położyć Klocusia na obudowie kabiny, ale w końcu jego wysiłki zostały uwieńczone powodzeniem.

- Tuuu Aaaa-Beee-Zeeet-22-Biiis - rozległ się głos jakby z zepsutego magnetofonu. - Pootrzebuję więcej energii...

- Cicho! - ofuknął go rozradowany Maciek. - Nie gadaj, bo zanim się naładujesz, znowu zużyjesz całą energię. Poczekaj trochę - dodał łagodniej.

- Jaaa się niee wyczerpuję - powiedział znacznie raźniejszym głosem robot. - Uruchomiłem już własne agregaty. Za trzydzieści sekund będę dysponował swoją normalną mocą.

- Masz własne agregaty? - zaciekawiał się mimo woli chłopiec.

- Mam. Czy mógłbyś odwiązać te druciki?

A więc robot posiadał urządzenie, które pozwalało mu uzupełnić zapasy energii w jego akumulatorach. Wystarczyła odrobina prądu elektrycznego z baterijek szybowca, żeby to urządzenie zaczęło pracować.

- Jesteś wspaniały - powiedział ze szczerym uznaniem Maciek. - Szkoda, że nie masz także własnej muszki.

- Co? Czego nie mam? Zostałem wyposażony...

- Nic, nic - przerwał pośpiesznie chłopiec. Trudno przecież wmawiać robotowi, że powinien mieć muszkę, aby w razie czego móc nią rzucać w obiekty kosmiczne. Nie wdając się więc w żadne dyskusje odpiął kable i dokręcił pokrywę na piersi Klocusia. Następnie doprowadził do porządku urządzenia wewnątrz kabiny i ujął stery.

- Czy widzisz tę czarną plamę na tle Krzyża Południa? - i spytał.

- Proszę podać koordynaty - odrzekł kategorycznym tonem robot.

Chłopiec nie miał ochoty tracić czasu na obliczenia, więc powiedział:

- Leć za mną. W razie czego zawiadomisz dyspozytora...

- Dziękuję - odparł uprzejmie Klocuś. - Tak, teraz widzę. Ta czarna plama jest statkiem typu...

- Skąd wzięłeś koordynaty? - przerwał Maciek. - Przecież... - urwał. Oczywiście, dyspozytor! Robot nawiązał już z nim kontakt. Po swojemu.

- Tak czy owak leć za mną - mruknął niechętnie.

Szybowiec wychodził właśnie z łuku i brał kurs prosto na wciąż jeszcze bezkształtny kadłub statku.

- Będę leciał przed tobą - zbuntował się Klocuś. - Powiniennem cię osłaniać. Mój program...

- Twój program teraz każe ci wykonywać moje rozkazy - przerwał chłopiec. - Lecisz za mną i utrzymujesz stały kontakt z bazą. Zrozumiałeś?

- Taaak... dobrze - zgodził się bez przekonania robot.

- ABZ-22, szybko wprowadziłeś poprawki do programu swojego automatu. Gratuluję... - ucieszyły się słuchawki głosem dyspozytora.

„Czy on sobie kpi ze mnie? - przemknęło przez myśl Maćkowi. Szybko? A no,

rzeczywiście, szybko. Szybko i już bardzo, bardzo dawno”.

- Dziękuję - powiedział na wszelki wypadek. - Tak, to jest statek - potwierdził po chwili orzeczenie Klocusia, bo bezkształtna masa na tle gwiazd przemieniła się w sylwetkę smukłego wrzeciona. - Na razie nie ma żadnych zakłóceń - meldował dalej. - Za kilkadziesiąt sekund powinienem dotrzeć do włazu...

- Pamiętaj o asekuracji - powiedział jeszcze dyspozytor, po czym umilkł, nie chcąc widać przeszkadzać zawodnikowi, który przystępował do skomplikowanych manipulacji, mających na celu ocalenie ekipy obronnej uwięzionej wewnątrz potężnego krążownika.

Maciek posłusznie przywiązał na powrót jeden koniec liny do podstawy ekranu, a drugi do pasa swojego skafandra. Wielki statek rósł teraz w oczach, z mroku powoli wyłaniały się okrągłe zwierciadła anten, zarysy dyszy napędowych, wreszcie na wypukłości kadłuba, który zasłaniał sobą już pół nieba, zamajaczył czarny kontur włazu. Wtedy dopiero Maciek wezwał robota.

- Podejź do rakiety - rzucił rozkazującym tonem - i otwórz włącz. Gdybyś poczuł, że zaczynasz tracić energię, natychmiast zawracaj. Może zdążysz...

ABZ-22-Bis nie odpowiedział. Błysnął piętami, co oznaczało, że zwiększył ciąg swoich silników, i po chwili wylądował na panczerze krążownika, tuż obok głównego wejścia.

- Automaty włazu nie działają - zameldował. - Czy mam odryglować mechaniczne zamki?

- Automaty nie mogą działać, bo nie mają energii - mruknął z przekąsem Maciek. - Ty także nie działałeś, zanim cię nie naładowałem - pochwalił się nieopatrznie. - Otwieraj, jak umiesz.

- Wykonuję - odrzekł lodowato Klocuś.

Zaraz potem kłapa włazu stanęła otworem. Maciek uniósł się z fotela i powoli wypłynął z kabiny latawca. Nie musiał skakać. Teraz miał przecież sprawny gazowy pistolecik, dzięki któremu mógł sterować swoim ciałem, nadając mu pożądany kierunek. Przytrzymał się krawędzi włazu, odwiązał linę i przymocował ją do jednej z okrągłych dźwigni zewnętrznego mechanizmu zamka. Zabezpieczywszy się w ten sposób przed utratą szybowca powiedział do robota:

- Wejź do służby.

- Powinienem zostać na zewnątrz...

- Włącz!

Klocuś bez dalszych protestów majestatycznie wpłynął do wnętrza statku. Chłopiec podążył za nim.

- Zamknij. Musimy być obaj w środku, bo nie wiem, czy sam potrafiłbym uruchomić aparaturę - dodał pojednawczym tonem. - A ty masz agregaty.

- Rozumiem - zgodził się robot. Zamknął właz, po czym znieruchomiał.

- Co robisz? - zniecierpliwiał się chłopiec.

- Sprawdzam sprężarki powietrza i automaty śluzy. Są nieczynne, ale nie uszkodzone...

- Jak ty to robisz, że nic nie robisz, a równocześnie robisz? - pytanie Maćka zabrzmiało niezbyt wytwornie, jeśli chodzi o styl, ale precyzyjnie wyraziło dręczące go wątpliwości.

- Prześwietliłem ściany i urządzenia - odpowiedział spokojnie Klocuś, po czym na odmianę sam otworzył pokrywę na swojej piersi i strzelił z lasera w róg śluzy, gdzie znajdowała się niewielka nisza.

„Oczywiście, lepsze to niż druciki” - pomyślał z mimowolną zazdrością chłopiec. Skupioną wiązką promieni świetlnych można przesłać szybciej znacznie większą ilość energii.

Minutę później spod podłogi dobiegło ciche, ledwie słyszalne świergotanie. Sprężarki ruszyły i zaczęły tłoczyć powietrze. A po upływie następnej minuty nad wewnętrznymi drzwiami śluzy zapaliła się zielona lampka.

„Zdażył już nawet uruchomić sygnalizację” - stwierdził Maciek zdejmując z głowy próżniowy kask. Na wszelki wypadek nie rozstał się z nim jednak. Trzymając go pod pachą wkroczył w mrok centralnego korytarza. Chociaż „wkroczył” to może niezbyt właściwe słowo. Tuż za progiem noga chłopca ugrzęzła bowiem w czymś, co przy pierwszym zetknięciu przypominało wielki, opróżniony worek, i bohaterki zawodnik, który sam jeden przybył z przestrzeni, by uratować bojowy krążownik ekipy obronnej, rymnął jak długi, napęniając czarny korytarz złowrogim łoskotem. Wylądował dość daleko od wejścia. Kiedy wreszcie zdołał unieść się na łokciach i kiedy padł na niego snop światła skierowany we właściwe miejsce przez przytomnego Klocusia, ujrzał przed sobą nie domknięte drzwi drugiej czy trzeciej z rzędu kabiny.

- Rupieć! - warknął szarpiąc gniewnie nogą, która nadal tkwiła w jakiejś szmacianej pułapce.

- Dlaczego rupieć? Co się stało? Jak się czujesz?

- Czuję się jak podopieczny robota, który zamiast mnie bronić przed idiotycznymi niespodziankami zadaje klocusiowate pytania - wystękał chłopiec. - Ruszże się wreszcie i zobacz, co tam jest!

- Chodzi ci zapewne o skafander i linę - stwierdził pogodnie ABZ-22-Bis. - Potknąłeś się o nie wchodząc. Rzeczywiście - przyznał po namyśle - powinni byli po sobie posprzątać.

- Kto? Jaki znowu skafander? Jaka... - zaperzył się chłopiec, ale nie skończył. W tym momencie bowiem robot uwolnił jego stopę, więc spojrzął za siebie i ujrzał przedmioty, które wymienił Klocuś. Na podłodze istotnie leżały porzucony skafander i wielki kłęb liny.

- Co za baran to tutaj zostawił! - parsknął wściekle. - Pozbieraj to - dodał z niesmakiem prostując się z trudem. - A potem zamknij drzwi śluzy i chodź za mną.

Robot wykonał dwa pierwsze polecenia. Z wykonaniem trzeciego musiał się wstrzymać, ponieważ Maciek chwilowo stał w miejscu i rozglądał się po korytarzu, poświęcając sobie małym reflektorkiem.

W głębi musiało być wejście do głównej kabiny, nawigatorni, skąd zapewne przechodziło się bezpośrednio do pomieszczenia pilotów. Ale wszędzie panowała głucha cisza, a Maciek nigdy nie był na pokładzie krążownika obronnego.

- Gdzie, są ludzie? - spytał półgłosem.

- Załoga? Nie wiem.

- No, to idź za mną - powtórzył chłopiec ruszając naprzód zdecydowanym krokiem, jakby chciał przekonać swojego robota, że role się odwróciły i że teraz on, człowiek, musi otoczyć opieką zbłąkanego ABZ-22-Bis.

Dotarł do końca korytarza i przez otwarte drzwi wszedł do wielkiego, pustego pomieszczenia. W świetle reflektorów ukazały się pulpity, ekrany, fotele, niski półokrągły stół na środku... tak, to mogła być tylko nawigatornia.

Maciek przeszedł przez całą kabinę i otworzył następne drzwiczki. Ujrzał wielkie, panoramiczne ekrany, a przed nim stojące obok siebie dwa fotele pilotów.

Wszystko to pięknie, ale ludzi dalej ani śladu.

- Zostań tu - Maciek wskazał robotowi nawigatornię - i zajmij się aparaturą. Ładuj jeden akumulator po drugim, tylko na razie nie uruchamiaj głównych bloków napędowych. Wystarczy, że dostarczysz energię zespołom rozruchowym. Dasz sobie radę?

- Czy ty chcesz odejść? W takim razie powinienem pójść z tobą.

- Odnajdę ludzi, a ty tymczasem zajmiesz się statkiem - zdecydował chłopiec. - Przecież ludzie nic mi nie zrobią.

- Dobrze.

Maciek wyminął Klocusia i wrócił na korytarz. Szedł powoli, zaglądając z kolei do każdej z kabin pasażerskich. Nie było w nich nikogo.

W ten sposób dotarł do ostatniej grodzi, za którą znajdowały się już tylko agregaty

napędowe. Zawrócił i poszedł z powrotem w stronę nawigatorni. Tuż przed nią w korytarzu otwierała się nisza mieszcząca pionową studnię, a w niej zwinięte ślimakowato schodki. Normalnie na dolne i górne pokłady jechało się pewnie windą, ale skoro to kosmiczne paskudztwo wysało energię z całego statku, to i windy nie mogły być czynne.

Maciek rozpoczął krótką, lecz mozolną wspinaczkę. Ciasne i strome schodki dudniły głucho pod jego stopami, budząc niemiłe, stłumione echo.

Na górnym pokładzie korytarz był krótszy. Światło reflektorka trafiało w poprzeczną ścianę zaledwie pięć, sześć metrów dalej. Na wprost schodów znajdowało się jednak wejście. Chłopiec pomyślał, że powinien był wcześniej zapytać dyspozytora o rozkład pomieszczeń w krążowniku. Teraz nie mógł już tego zrobić. Jego muszka fruwa w przestrzeni, a aparacik łączności umieszczony w kasku może służyć do porozmawiania sobie z robotem, jego sygnały nie przebijają jednak pancerza krążownika.

Otworzył szerzej drzwi, pod które przyprowadziły go niewygodne schodki, i nagle ujrzał w głębi pas wygwieżdzonego nieba. „Sala obserwacyjna!” - zaświtała mu myśl. Wiedział, że na dużych jednostkach buduje się takie „pokłady spacerowe”, skąd członkowie załogi mogą bezpośrednio oglądać dalekie konstelacje i mgławice. Sekundę później dostrzegł na tle gwiazd dziwnie przygarbione sylwetki ludzi.

- Pewnie już nawiązał łączność z bazą i wraca do wioski - powiedział jakiś męski głos cicho, ale zupełnie wyraźnie.

Odpowiedziało mu westchnienie.

- Przynajmniej on już jest bezpieczny. Zasłużył sobie na to. Świetny chłopak...

„Świetny chłopak” w tym momencie zaczął zdawać sobie sprawę, o kim mowa, i wyprostował się odruchowo.

- Owszem - przytaknął trzeci mężczyzna. - Ale gdyby tak zamiast do bazy spróbował podejść do któregoś z naszych statków, wtedy moglibyśmy skorzystać chociaż z jego latawca.

- Przede wszystkim - zaproponował pierwszy - nie mógł nas zobaczyć, a nawet gdyby coś dostrzegł między gwiazdami, to miałby prawo pomyśleć, że chodzi o aktywne obiekty meteorytowe.

Maciek zanotował w pamięci, że specjaliści z ekip obronnych znaleźli już uczoną nazwę dla tego paskudztwa, które żywiło się energią z cudzych akumulatorów. „Aktywne obiekty meteorytowe”... bardzo dobrze! Dalej nie wiadomo, o co chodzi, ale przynajmniej brzmi to odpowiednio poważnie.

- ...po - drugie - ciągnął dalej ten sam głos - nie potrafiłby przeprogramować swojego robota opiekuńczego, a bez niego niewiele by nam pomógł. Pamiętajcie, że on startuje w

średniej klasie...

Duma, która wezbrała w piersi Maćka, poczęła nagle uchodzić jak powietrze z przekłutego balonika. „Średnia” klasa. To co, że średnia?, Kto pozwolił tym ludziom wyrażać się tak o kimś, kto sam jeden pokonał „aktywne obiekty meteorytowe”, podczas gdy oni, tworzący prześwietną ekipę obronną...

Odruchowo poprawił pas swojego skafandra i zrobił krok do przodu.

- Dzień dobry panom - powiedział bardzo głośno. Obserwując nie bez satysfakcji gwałtowną, żeby nie rzec: dziką, reakcję zaskoczonych członków załogi krążownika, mówił dalej zdawkowym tonem:

- Przepraszam, że wszedłem bez zapowiedzenia, ale zdaje się, że macie jakieś kłopoty. Słyszałem, że wzywał was dyspozytor; nie odpowiedzieliście, prawda?

Cienie, widoczne na tle gwiazd, wykonały opętańczy, wężowy taniec. Kabinę przeszły seria najzupełniej niezrozumiałych wykrzykników, po czym nastąpiła grobowa cisza.

Dziurka w baloniku, to jest w piersi Maćka, została załatana. Duma mogła w niej znowu bezpiecznie wzbierać - przynajmniej do chwili, póki milczenia ekipy obronnej nie przerwał głos czwartego mężczyzny, stojącego dotychczas nieco z boku:

- Ciuciuśka!!!

Ten niegodziwy okrzyk sprawił, że i pozostali odzyskali mowę.

- ABZ-22!

- Brawo, chłopcze!

- A myśmy właśnie mówili...

- Ty cisnąłeś muszką?

- Jak się tutaj dostałeś?

Maciek poczuł, że ktoś klepie go po ramieniu, machinalnie ścisnął dłonie, które się do niego wyciągały, przebiegał wzrokiem uśmiechnięte twarze, których rysów z powodu mroku nie mógł rozróżnić, ale w uszach nie przestawał mu dźwięczeć ten nieszczęsny „Ciuciuśka”. Pomyśleć, że tak dzielnie stawiał czoła kosmicznej próżni z czającymi się w niej złowieszczymi obiektami, ażeby teraz usłyszeć...

Do przodu wysunął się wysoki mężczyzna w białym skafandrze.

- Jestem Oleg Bogorin - przedstawił się. - Dowodzę jednostką obronną X-8. Dziękuję, że przyleciałeś - powiedział krótko. - To są nasi goście - zwrócił głowę w stronę mężczyzny o bujnych, siwych włosach, połyskujących na tle gwiazd - profesor Abaj Badandajew i jego asystent - spojrzął nieco dalej - którego powinieneś znać...

Ręka Maćka, ścisnąca z szacunkiem dłoń profesora Badandajewa, cofnęła się

gwałtownie. „Ciuciuśka”! O, nie!

- Żał mi było Dahry - mruknął patrząc zezem na swojego najstarszego brata - dlatego po ciebie przyleciałem.

Marek zaśmiał się, ale nic nie powiedział.

- A to członkowie ekipy, Hector Bienne i Dirk Hell - dokończył prezentacji Bogorin. - Widzieliśmy przez lornetki, jak zaatakowałeś te obiekty, i chcieliśmy lecieć ci na pomoc, ale... - Bogorin zawahał się - zanim przygotowaliśmy odpowiednio długą linę, było już po wszystkim - rzekł z dziwnym uśmiechem.

„Ta lina w służbie” - przypominaj sobie Maciek i nagle dotarło do niego, co powiedział szef ekipy obronnej. Jak to? Więc oni cały czas przyglądali się...

Jeden z mężczyzn mruknął coś pod nosem, po czym wrócił do okna i zaczął ponownie wpatrywać się w gwiazdy.

- Widzieliście... wszystko? - wyjąkał chłopiec, odruchowo kładąc dłoń na kieszonce, w której do niedawna spoczywała jego poczciwa muszka.

- A jakże! - zawołał Marek.

- Mógłbyś już teraz przejść do służby w ekipach obronnych - powiedział poważnie profesor Badandajew. - Ale prawda, ty przecież chcesz budować gwiazdy...

- Szkoda, że nie mogłeś widzieć - Bogorin nie przestał się uśmiechać - jak popędził ci z pomocą...

- Hektor Bienne - powiedział prędko Marek Całka.

- Twój brat, Marek - oświadczył równocześnie Hektor Bienne.

Szef X-8 źle sobie widać wytłumaczył milczenie, jakie nastąpiło po tych dwóch sprzecznych wypowiedziach, bo pośpieszył z wyjaśnieniem:

- Pierwszy skoczył Marek. Już był w służbie i wkładał skafander, kiedy zdołał go dopaść i zatrzymać Hektor Bienne. To nie było najłatwiejsze - uśmiechnął się szerzej. - Wprawdzie Marek nie rzucił w niego muszką, ale jest twoim bratem, a Całkowie, zdaje się, nie są zbyt ustępliwi... Tylko że Hektor nie mógł go puścić. Przecież nie wolno nam było wysłać w przestrzeń gościa, naukowca, asystenta samego Badandajewa - zwrócił się z szacunkiem do profesora. - Hektor to co innego. Jest członkiem ekipy obronnej, przeszedł, jak my wszyscy, specjalne przeszkolenie i do jego obowiązków należy...

- Jeśli już o to chodzi - mruknął Bienne - to w tym wypadku do moich obowiązków należało rozegranie z twoim bratem pełnych dwóch rund regularnego, starożytnego boksu oraz wysłuchanie między jednym a drugim sierpowym, że jestem baran, niedojda oraz kosmiczna purchawka, że wspomnę tylko najdelikatniejsze epitety, oraz że on, Marek, i tak

poleci, bo tam jego brat...

- Dobrze już, dobrze - przerwał poważny asystent Badandajewa - w końcu nie poleciałem...

- Nikt nie polecał - zaśmiał się Bogorin. - Zanim skończyli, ty, Maćku, byłeś już z powrotem w swoim szybowcu. A przedtem zdążyłeś przepędzić te aktywne obiekty...

- Muszką! - podchwycił ze śmiechem Marek. - Oto, do czego używają młodociani kosmonauci aparatów łączności!

Maciek nie zdążył powiedzieć, co myśli o nazywaniu go „młodocianym kosmonautą”, bo nagle w kabinie zapłonęły wszystkie lampy. Obszerną salę zaalało jasne, mleczne światło.

- Co to? - krzyknął Hektor Bienne.

- Kto... - zaczął Bogorin i na tym poprzestał, popatrzył tylko na Maćka wzrokiem pełnym niekłamanego uznania.

- To mój robot uruchamia zespoły energetyczne statku - wyjaśnił na wszelki wypadek ABZ-22 możliwie najbardziej obojętnym tonem. Marek zaśmiał się znowu, a profesor Badandajew powiedział:

- Myślę, że naprawdę będziesz budował gwiazdy. Szkoda, że jestem już taki stary, bo...

Nikt nigdy nie miał się dowiedzieć, dlaczego uczony teraz akurat żałuje, że nie jest młodszy, bo w tym samym momencie od okna, czyli przezroczyściego pasa wstawionego w pancierz statku, dobiegł okrzyk Dirka Helia:

- Chodźcie tu prędko! I zgaście światło! Przeszkadza...

Kiedy Maciek dobiegł do panoramicznego iluminatora, ktoś wetknął mu w rękę wielką lornetkę.

- Patrz! - usłyszał pełen napięcia szept profesora.

Chłopiec sprawdził, dokąd wycelowane są lornetki pozostałych, po czym podniósł swoją do oczu. Przez chwilę nie widział nic oprócz gwiazd. Raptem zamajaczył mu znajomy kształt. Dysk! Przez lornetkę można było tylko dostrzec sterczące z niego pręciki podobne do czułków wielkiego chrząszcza. Jakiś latający talerz?...

Za dyskiem widać było teraz drugi obiekt. Ten przypominał raczej nieregularną kulę ulepioną z czarnego śniegu. Znajdował się bardzo blisko pierwszego, który jakby go osłaniał swoją wypukłą tarczą.

Czyjeś palce wpiły się w ramię chłopca.

- Patrz! - zabrzmiał znowu zduszony szept.

W polu widzenia. Maćka ukazał się jeszcze jeden obiekt. Malutki płaski

prostopadłością, o wiele mniejszy od tamtych dwóch „aktywnych”. Muszka! Widocznie odbiła się od celu, a potem jakimś dziwnym zbiegiem okoliczności zawróciła. „Ale co ich aż tak bardzo frapuje w tym widoku?” - zdziwił się w duchu Maciek,

- O co właściwie chodzi? - spytał po chwili na głos. - Już raz przecież moja muszka zderzyła się z tym dyskiem?

- Tak - odpowiedział Bogorin nie odrywając od oczu lornety - ale ona tym razem leci do tego drugiego obiektu, widzisz? O nim już coś niecoś wiemy. Nie darmo ślęczymy tutaj od kilku godzin. Zresztą, poczekaj chwilę. Przekonasz się, co by się z tobą stało, gdybyś zbliżył się do naszych „gości” nie od strony tej talerzowatej osłony, tylko prosto do drugiej, piguły.

Muszka, zatoczywszy szeroki łuk - może pod wpływem sił grawitacyjnych związanych z bliskością jakiejś niewidocznej asteroidy - zmierzała teraz ku kosmicznym przybłędom, istotnie omijając ów dysk, z którym już raz zawarła bliższą znajomość. I, co ciekawe, im bliżej była tej drugiej „piguły”, jak wyraził się dowódca X-8, tym szybciej przesuwała się pod gwiazdami. Nagle raptownie nabrała pędu. Momentu zderzenia nie było widać, wszystko rozegrało się błyskawicznie. Z piersi patrzących wyrwał się okrzyk. W ułamku sekundy nieregularna, czarna bryła rozgorzała jak słońce. Przez chwilę Maciek mrugał rozpaczliwie porażonymi blaskiem oczami, a kiedy przejrzał, wszystko było tak jak przedtem. Tylko z muszki nie pozostało nawet śladu.

Chłopcu zadźwięczało w uszach złowieszcze zdanie Bogorina „co by się z tobą stało...” i gwałtownie zapragnął usłyszeć, że to nieprawda.

- Czy to znaczy... - wykrztusił - myślicie, że gdybym zbliżył się nie do tego talerza, tylko od razu do drugiego obiektu, to... - nie skończył.

- Krótki błysk i koniec - odpowiedział zwięźle Hektor Bienne.

- Miałeś więcej szczęścia niż rozumu, jak zwykle - dodał Marek, na próżno jednak starając się nadać swojemu głosowi ironiczne brzmienie.

- Gdyby ludzie nigdy nie podejmowali osobistego ryzyka, świat byłby dziś o wiele mniej bezpieczny - powiedział poważnie profesor Badandajew.

Piękne i mądre słowa uczonego nie dotarły jednak do świadomości ABZ-22. Wciąż jeszcze przed jego oczami świeciło to straszne słońce. Gdyby zamiast drobnego aparaciku łączności znalazł się tam on sam... Przecież to był czysty przypadek, że od strony szybowca czekał na samotnego śmiałka bezpieczny dysk.

Maciek poczuł nagle, że w kabinie zapanował niemożliwy upał. „Ogrzewanie nie działa” - przemknęło mu przez myśl i wtedy zdał sobie sprawę, że właściwie jest okropnie zimno. Zaraz jednak musiał skupić całą uwagę na swoich kolanach. Ni stąd, ni zowąd zaczęły

wykonywać jakieś idiotyczne podrygi, jakby buntując się przeciw ciężarowi, który całe piętnaście lat nosiły bez żadnych sprzeciwów.

- Zaraz wyślemy sondę. Mamy już przecież energię - głos Bogorina dochodził jakby z bardzo daleka. - Zobaczysz, że ten obiekt poradzi z nią sobie równie łatwo, jak z twoją muszką.

Chłopiec nie był jednak w stanie ucieszyć się tą obietnicą, bo akurat w tym momencie jego kolana zakończyły swoje bezsensowne manewry i przyszły budowniczy gwiazd, zwycięzca biegu Mars-maratońskiego, gruchnął jak długi na podłogę.

- Co mu się stało? - zapytał w popłochu Marek podbiegając do brata.

- Poczekaj... - Bogorin także schylił się nad leżącym i błyskawicznymi ruchami zaczął rozpinąć jego skafander.

- Co się stało? - zabrzmiał od progu nowy głos. Wszyscy umilkli zaskoczeni. ABZ-22-Bis próżno czekał chwilę na odpowiedź, po czym zamigotał gniewnie lampkami i dziwnie lekkim krokiem podszedł na swoich pająkowatych nogach do leżącego. Odepchnął bezceremonialnie Marka i Bogorina, delikatnie uniósł chłopca i położył go w najbliższym fotelu.

Pierwszy ocknął się Marek. Podbiegł do brata i zamierzał podjąć przerwana kurację orzeźwiającą, ale znowu został powstrzymany przez robota.

- Zostawcie go teraz - powiedział stanowczym tonem Klocuś. - Zaraz odzyska przytomność. Jest po prostu zmęczony. Powinien się przespać.

Marek przez chwilę patrzył z niedowierzaniem w kamienne, a właściwie stalowe oblicze osobliwego lekarza, i uśmiechnął się do niego.

- Czy ty przypadkiem przed zawodami nie odbyłeś konferencji z naszą mamą? - spytał.

- Nie - odpowiedział poważnie robot. - Ale zostałem specjalnie zaprogramowany, żeby opiekować się zawodnikiem ABZ-22. Znam jego organizm i wiem, kiedy sytuacja wymaga mojej interwencji.

- Przeniesiemy chłopca do nawigatorni - powiedział Bogorin patrząc pojednawczo na robota. - My wszyscy także zejdziemy na dół i weźmiemy się do pracy. Teraz, kiedy dzięki niemu - znowu posłał życzliwe spojrzenie Klocusiowi - dysponujemy już energią, musimy nawiązać kontakt z bazą, wyprowadzić z zagrożonej strefy pozostałe jednostki i przystąpić do unieszkodliwienia aktywnych obiektów meteorytowych, a przynajmniej jednego z nich. Najpierw wyślemy sondy... chodźcie - ponaglał. Poczekał jeszcze na Marka, który tym razem bez protestu ze strony robota wziął na ręce śpiącego brata, wyprostował się i rzucił

zmienionym tonem.

- Ogłaszam alarm bojowy dla załogi X-8. Wszyscy na stanowiska!

Trzeci Pomnik

Klocuś podskoczył i przeniósł się na sąsiednią gwiazdę. Ukrył twarz za jakąś okrągłą tarczą i wyzierając spoza niej mrugnął porozumiewawczo. Równocześnie pokiwał zachęcająco palcem.

Maciek pokręcił głową, ale posłuszny wezwaniu poszedł dalej. Zbliżał się już do tej drugiej gwiazdy, kiedy Klocuś przesiadł się na następną. I znowu błysnęło figlarnie jego pomarańczowe oko.

Chłopcu dawno już przestała się podobać ta zabawa, czuł, że coś tu jest grubo nie w porządku, ale jakaś siła gnała go za robotem wbrew jego woli. Wiedział, że jest już bardzo daleko od statku, że nie powinien tak, bez skafandra i pistoletu gazowego, iść przez przestrzeń jak po niewinnej, ziemskiej łączce, cóż, kiedy nogi same niosły go za Klocusiem od gwiazdy do gwiazdy.

Wreszcie robot przestał uciekać. Siedział z twarzą ukrytą za okrągłą, złotawą płytą i czekał. Maciek był coraz bliżej. Jeszcze dziesięć metrów... osiem... sześć... cztery...

Zza tarczy dobiegł przeraźliwy, mrozący krew w żyłach śmiech. Ramiona robota opadły w dół i ukazała się twarz, która wcale nie była twarzą Klocusia. Chłopiec stał oko w oko z jakimś koszmarnym potworem. W następnej chwili potwór otworzył paszczę.

- Ciuciuśka!!!

Maciek chciał się cofnąć, ale nogi odmówiły mu posłuszeństwa.

- Ciuciuśka! - potwór skoczył nagle i chwycił go za ramię.

- Nie!!! - wrzasnął chłopiec. Zebrał wszystkie siły i targnął się rozpaczliwie do tyłu. Sprzed jego oczu zniknął ziejący ogniem stwór, za to gwiazdy zaczęły gwałtownie umykać w górę i Maciek zdał sobie sprawę, że spada w przepaść wszechświata coraz prędzej, prędzej...

- Ciuciuśka!!!

Gwiazdy stanęły w miejscu, a następnie jak na komendę zgasły wszystkie naraz. Nastąpiła chwila pełnej napięcia ciszy, chłopiec otworzył oczy. Tuż nad sobą ujrzał potwora...

- Jeśli natychmiast nie wstaniesz, to przewrócę fotel i odtańczę na tobie wojenny pląs wuja Alfa - powiedział potwór, czyli najstarszy z braci Całków.

Groźba była tak okrutna, że chłopiec natychmiast oprzytomniał.

- Spróbuj tylko - wymamrotał. - Powiem Dahrze...

Marek zaśmiał się.

- Za chwilę będziesz świadkiem zakończenia operacji „czarna dziura” - powiedział. -

To znaczy, jeśli raczysz zwlec się z fotela... - dodał od niechcenia.

Maciek zerwał się na równe nogi.

- Jakiej operacji?!

- „Czarna dziura” - powtórzył Marek ucieszony, że jego informacja odniosła wreszcie pożądany skutek. - Tak nazwano ten obiekt, który powodował zakłócenia łączności i pochłaniał energię. Wiesz, co to były czarne dziury?

Maciek zdążył już wciągnąć kombinezon i teraz usiłował doprowadzić do porządku swoją zmierzwioną czuprynę.

- Coś chyba słyszałem... - bąknął bez przekonania.

- Nic nie słyszałeś - zaśmiał się Marek. - Czarnymi dziurami nazywano kiedyś, bardzo dawno temu, hipotetyczne ciała niebieskie, które posiadają tak wielką masę, że wchłaniają same siebie, rozumiesz?

- Uhm...

- Bo wytwarzają superpotężne siły grawitacyjne... nie, to beznadziejne - machnął ręką.

- Oczywiście nasz obiekt nie ma nic wspólnego z taką czarną dziurą, o jakiej myśleli astronomowie w dwudziestym wieku, ale... zresztą chodź, to zobaczysz.

Maciek bez słowa skierował się w stronę kabiny pilotów.

Za fotelami, w których siedzieli Bogorin i profesor Badandajew, stali Bienne oraz Heli. Marek z Maćkiem podeszli do nich i utkwili wzrok w wielkim, panoramicznym ekranie.

Widok był wspaniały i groźny. Przed nimi, jakby w promieniach ciemnoniebieskiego słońca, rysowały się obydwa obce obiekty. Do nieszkodliwego dysku zbliżała się właśnie wysłana przez krążownik sonda. Podchodziła ostrożnie, żeby nie dostać się w bezpośrednie sąsiedztwo drugiego obiektu. Wreszcie dotknęła okrągłej tarczy, przywarła do niej, po czym zaczęła się wraz z nią powoli wycofywać. Niebezpieczna „piguła”, która tak paskudnie obeszła się z muszką, została sama na tle gwiazd. Sonda przyspieszyła, stale holując za sobą pierwszy, niegroźny obiekt.

- Gdyby to nie było z metalu, mielibyśmy kłopot - zauważył szeptem Dirk Hell. - Nie wiem, czy automatom udałoby się zaczepić linę holowniczą. A tak, wystarczyło użyć zwykłego magnesu...

- Uwaga, X-7 i X-9 - rzucił do mikrofonu. Bogorin. - Zostało dwanaście sekund.

- X-7 gotów.

- X-9 gotów.

Boczny ekran przedstawiał mapę nieba. Na tle gwiazdozbiorów zaznaczono trzy wielkie cygara, ustawione tak, że szpic każdego z nich celował w stronę groźnego obiektu.

Przed dziobami statków obronnych, bo to były one, czerniały znacznie większe od nich, nieregularne bryły.

- Co to jest? - spytał szeptem Maciek.

- Asteroidy - odpowiedział równie cicho Marek. - Postanowiliśmy dać temu łakomczuchowi więcej, niż zdoła przełknąć. Poślemy mu trzy małe globy... odpowiednio naładowane. Kiedy ich masa przekształci się w energię...

Nie skończył, bo w tym momencie sonda, która odholowała talerzową tarczę od drugiego obiektu, zniknęła z głównego ekranu, a Oleg Bogorin powiedział spokojnie:

- Uwaga, X-7, X-9, uwaga, Hektor - zerknął w stronę mężczyzny, który stał przed bocznym pulpitem. - i Trzy... dwa... jeden... ognia!

Skazane na zagładę asteroidy oddzieliły się od krążowników i nabierając stopniowo szybkości runęły w stronę tajemniczego obiektu. Wszystkie trzy dotarły do celu równocześnie i wtedy całe niebo stanęło w upiornym blasku wybuchu. Biały płomień przeszył ekrany. Kiedy po dłuższej chwili ludziom zniknęły spod powiek wirujące złote iskierki, niebo było puste i czyste. Groźny pożeracz energii przestał istnieć.

- Obliczenia były bezbłędne - westchnął bez satysfakcji profesor Badandajew. - Smok pożarł więcej, niż był w stanie strawić. Dostarczyliśmy mu tyle masy, którą on przetworzył w energię, że stworzył zbyt silne pole grawitacyjne i wchłonął samego siebie... dokładnie jak te czarne dziury, o których pisali dwudziestowieczni astronomowie.

- A jednak szkoda - mruknął Dirk Hell. - Gdybyśmy mogli go zbadać, może udałoby się opanować technologię produkcji. Zyskalibyśmy wówczas potężną broń...

...najzupełniej nam niepotrzebną - uciął Badandajew. - Źródła energii ludzkość ma dosyć, a co do broni... wystarczą nam miotacze statków obronnych. Mam zresztą nadzieję, że nigdy ich nie użyjemy, chyba żeby którejś z planet zagroziło zderzenie z kometą albo bardzo wielkim meteorem pozaukładowym. Walczyć nie mamy z kim i nie chcemy.

- Ludzie walczyli - powiedział cicho Bogorin jakby do własnych myśli - chociaż w gruncie rzeczy nigdy tego nie chcieli. Prości żołnierze dawnych wieków...

- Dzisiaj na Ziemi nie ma żołnierzy - odparł profesor. - I nie zanoszą się na to, by mogli być znów potrzebni. Ale kiedyś opuścimy Ziemię. Ten młody człowiek - siwy profesor odwrócił się i spojrzał poważnie na Maćka - myśli o przeniesieniu nas na gwiazdy, które specjalnie w tym celu zbuduje. Ludzie rozpieczętują się po wszechświecie. Kto wie - dodał, jak gdyby odpowiadając Dirkowskiemu - czy po przeprowadzce, pod wpływem zmienionych warunków, nie odżyją echa dawnych, zapomnianych nawyków. Czy, na przykład, od razu będą umieli tak uregulować stosunki między różnymi zasiedlonymi przez siebie planetami,

żeby były one godne naszych współczesnych ideałów. Historia nigdy nie umiera zupełnie... - zakończył szeptem.

„Znowu historia” - pomyślał Maciek. Tym razem jednak rzecz w pewnej mierze dotyczyła jego samego. To on przecież ma budować, a przynajmniej uczestniczyć w przygotowaniach do budowy gwiazd, przyszłych miejsc pobytu mieszkańców Ziemi. „Czemu służy nauka?” - zadźwięczało mu w uszach pytanie wuja Alfa, które go tak rozsierdziło w czasie Turnieju Kwalifikacyjnego. Wuj Alf byłby z pewnością zadowolony, że ten aktywny obiekt został zniszczony, zanim specjaliści z ekip obronnych zdążyli się z nim dokładnie zapoznać.

W pokoju Maćka panował tłok nie do opisania. Brakowało tylko profesora Badandajewa i Marka, którzy badali metaliczny dysk ściągnięty przez magnetyczną sondę do laboratorium na asteroidach. Również Bogorin oraz pozostali członkowie ekip obronnych wrócili już do zwykłej służby w rejonie planet granicznych. Ale Marek w swoim zastępstwie nie omieszkał przysłać Dahry, a oprócz mamy, ojca, cioci Basi, wuja Alfa, Anny, Iny i Rolda przyszli jeszcze profesor Tunner, Ito Oyo oraz nie znany gospodarzowi chłopiec w pomarańczowym skafandrze. Obok tego ostatniego, nie wiedząc czemu, stanęła Ina.

Przed progiem powitał Maćka sztuczny pies, wyrażając radość z powodu szczęśliwego powrotu „bohatera”, jak się wyraził, i przeprasząc równocześnie, że nie wejdzie do środka, ale on zacząłby czekać, a to byłoby nie do wytrzymania.

On jednak był tak oszołomiony tłumem gości, że zapomniał nawet o należnym Maćkowi powitalnym tańcu. Za to ludzie nie zapomnieli o niczym. Można powiedzieć, że wprost przeciwnie.

- No, jesteś wreszcie! - zawołał wuj Alf. - *Summa cum laude!* - usiłował wykrzywić twarz w ironicznym uśmiechu, ale nagle dodał cicho: - No, całkiem nieźle... całkiem nieźle...

- Maćku! - Lena zrobiła ruch, jakby chciała wstać i podbiec do syna, ale powstrzymał ją profesor Tunner.

- Słuchaliśmy komunikatów - powiedział przewodniczący jury - i baliśmy się o ciebie. Jestem dumny, że jeden z uczestników tegorocznej Astroniady przejdzie do historii... - tu posłał znaczące spojrzenie obcemu chłopcu i Inie.

Pomarańczowy natychmiast wyprostował się, odchrząknął, po czym wyrzucił z siebie oficjalnym tonem:

- AZW-16 i AAD-40 dziękują ABZ-22 za otwarcie drogi na Ziemię!

Maciek poczuł, że w jego gardle utkwilo coś, co absolutnie uniemożliwia mu wydanie

jakiegokolwiek głosu. To, co powiedział pomarańczowy, było uroczystą formułą podziękowania, jakie kosmonauci, którzy w przestrzeni ulegli katastrofie, składają swoim wybawcom. Chłopiec nigdy dotąd nie słyszał tych słów, katastrofy zdarzają się przecież niezmiernie rzadko, wiedział jednak, że taka formułka istnieje. Pamiętał, że powinien coś odpowiedzieć, ale pojęcia nie miał, co.

Z ciszy, jaka panowała w pokoju, wynikało jednak jasno, że tak czy owak musi przemówić. Wyprostował się więc, odchrząknął, po czym wykrztusił:

- Nic się nie stało. Ratowałem sam siebie... - odważył się spojrzeć na stojącą przed nim sztywno wyprostowaną parę i dostrzegł, że w oczach Iny zapalają się figlarne iskierki. Widać było, że dziewczyna, chociaż do głębi przejęta, za moment parsknie śmiechem.

Ratowałem sam siebie... oczywiście. Ale, gdyby w krytycznym momencie nie stanęła mu przed oczami ta złocista twarzyczka...

Uratował Inę, AZW-16, a ten pomarańczowy, to jest pewnie AAD-40, drugi z zawodników, którzy utknęli w kosmosie, bo na ich drodze stanęło nie istniejące już teraz „aktywne” paskudztwo.

Maciek ponownie spojrzał na Inę i uspokoił się. A co najważniejsze, w jednej chwili odzyskał głos.

- Bardzo się cieszę - powiedział szczerze. Uśmiechnął się i wyciągnął rękę najpierw do dziewczyny, a potem do pomarańczowego. - Nie zasłużyłem na żadne podziękowania - ciągnął. - Ja tylko przypadkiem odpędziłem tę pigułę, a potem uruchomiłem Klo... mojego robota. Gdyby nie on, nigdy nie dostałbym się na pokład X-8. A was uratowała ekipa Olega Bogorina.

Milczenie w pokoju prysło jak cieniutka tafła lodu pod naporem Wiosennej fali. Rozległy się zmieszane okrzyki.

- Jak to?!

- Przecież słyszeliśmy!

- Poleciałeś sam... bez pistoleciku i asekuracji!

- Uratowałeś nawet ekipy obronne!

- Profesor Badandajew mówił!...

- Skromność to ładna cecha - powiedział kiwając głową Tunner - ale powinniśmy się trzymać prawdy... wszyscy. Nawet bohaterowie - uśmiechnął się do Maćka.

- On, zdaje się, przyleciał tutaj specjalnie po to, żeby ratować ludzi... w przestrzeni i na lądzie - dodał Ito Oyo. - Przyrzekłem, że nie będę już samotnie chodził w góry, ale skoro Maciek jest w pobliżu, to właściwie mogę nie dotrzymać przyrzeczenia. On i tak nie pozwoli

nikomu zginąć.

Tunner uśmiechnął się i z udaną surowością pogroził uczonemu palcem.

- Nic z tego, mój drogi - powiedział. - Ratownictwo kosmiczne to wyższy stopień wtajemniczenia. Teraz Maciek nie będzie chciał się już uganiać po górach, żeby ściągać ze skał byle bioników.

- Zawsze, kiedy tylko będę mógł... - zaprotestował żywo chłopiec.

Michał Całka wstał, podszedł do syna i objął go ramieniem.

- Brawo - szepnął Maćkowi do ucha, a głośno powiedział: - Co do mnie, najbardziej się cieszę, że razem z najmłodszym wrócił cało i zdrowo mój najstarszy syn. I dlatego gościmy tutaj pewną dziewczynę - zerknął niby przypadkiem w stronę Dahry. - Poza tym - ciągnął niezmiennym tonem badacz - mam nadzieję, że Maciek, zanim wywędruje do Ośrodka Badań Pozaukładowych, zdąży tak samo jak Marek... - urwał.

- On znowu swoje! - jęknęła z rozpaczą Lena. - Dlaczego inne kobiety mogą mieć poważnych, statecznych mężów, a ja...

- To dlatego - zarechotał wuj Alf - że na Plutonie jest tak mało kobiet. Teraz każda dziewczyna wydaje mu się piękna jak Afrodyta. Oczywiście, nikt z was nie wie, kim była Afrodyta! - dodał wyzywającym tonem. - „Śrubkarze” - zakończył z mocą.

- Może ja już pójdę - zaproponował w samą porę pomarańczowy. - Jeszcze raz dziękuję i przepraszam, ale czekają na mnie...

- Ależ idź, idź - zgodził się Tunner. - Pewnie, że czekają... Ty także masz o czym opowiadać, a tutaj, zdaje się, uroczysta część zebrania została już definitywnie zakończona.

Wszyscy się roześmieli, tylko Ina patrzyła nadal z wyrzutem na ojca Maćka. Pomarańczowy zniknął za drzwiami, a w tym samym momencie z głośnika padło wezwanie:

- Alan Tunner, Michał Całka i wszyscy członkowie jury proszeni są o przyście do dyspozytorni. Powtarzam...

Wuj Alf wstał i przeciągnął się, aż mu w kościach zatrzeszczało.

- Ani chwili nie mogą się bez nas obejść - stwierdził z satysfakcją. - Pewnie znowu ktoś rzucił muszką w jakąś gwiazdkę...

- Chodźmy - powiedział Ito Oyo żegnając Lenę przepaszającym gestem. - Zdaje się, że wiem, o co chodzi.

- Nawet nie spytali przewodniczącego - dorzucił z zabawnym oburzeniem profesor Tunner. - Co robić, takie czasy...

- Ale dlaczego ja? I to właśnie teraz, kiedy chciałem powiedzieć, że... - ojciec Maćka spojrzął na Dahrę i Inę.

- Idź już, idź - przerwała mu Lena. - Pewnie mają podsłuch. Postanowili uchronić małżeństwo Całków przed ostateczną kompromitacją...

Tym razem roześmiała się nawet Ina. A w chwilę później zatłoczony pokój bohatera dnia opustoszał.

- Ja także pójdę - powiedziała Dahra swoim niskim, melodyjnym głosem. - Nie chciałabym przeszkadzać... Maciek jest pewnie zmęczony...

- Chodźmy i my - podchwycił bez zbytniego zapału Roald. - Wiesz, Maciek - spojrzał poważnie na swego niedawnego rywala - bardzo się cieszę, ale... nic na to nie poradzę - rozłożył bezradnie ręce - trochę ci zazdroścę. To paskudne uczucie, wiem, zwłaszcza że uratowałeś Inę... Chciałbym ci podziękować - dodał ciszej - nasza mama...

- Ależ wcale nie musisz mi dziękować! - przerwał mu skwapliwie Maciek. - Ja... Ina... ty... - rozwinął swoją myśl w sposób niezupełnie zrozumiały dla otoczenia - nie zaczynajmy wszystkiego od początku! - wybrnął wreszcie.

- Nigdzie nie pójdziecie! - sprzeciwiła się kategorycznie Lena. - Zostaliście pod moją opieką i macie mnie słuchać. A jeśli chodzi o ciebie - podeszła do Dahry i objęła ją serdecznie - Marek nigdy by mi nie wybaczył, gdybym pozwoliła ci odejść. Chyba niedługo wrócą. Siadajcie. Myślę, że warto by coś przekąsić, prawda?

- O, tak! - zawołał wielkim głosem Maciek, który nagle poczuł przeraźliwą pustkę w żołądku.

- Dziękuję - powiedziała Dahra, raz jeszcze pokazując światu swoje olśniewająco białe zęby. Ina posłała ciemnoskórej piękności kosę spojrzenie, czego na szczęście nie zauważył nikt, prócz Anny. Nieodrodna wnuczka Alfa Nielsona leciutko się uśmiechnęła, po czym dotknęła kieszonki swojego kombinezonu, w której spoczywał drogocenny notes. Ten gest uszedł z kolei uwagi Iny, nic więc nie zakłóciło błogiego nastroju oczekiwania na obiad.

Automaty kuchenne, jakby rozumiały kogo obsługują, spisały się nie na medal, ale na dziesięć medali. W pokoju bardzo długo panowało zupełne milczenie, zakłócanie jedynie charakterystycznymi pomrukami i szczękiem naczyń.

- Och - jęknęła wreszcie pierwsza ciocia Basia, zdecydowanym ruchem odsuwając półmisek z sałatką owocową a la Saturn. - Dosyć, dosyć - wzniosła ręce w obronnym geście. - Za chwilę pękne.

- Bua tuez... - zgodziła się Ina z ustami wypchanymi kruchym ciastem.

Usłyszawszy to wyznanie Roald parsknął śmiechem ze zgoła katastrofalnym skutkiem.

- Oj, przepraszani! - zawołał przerażony, pogarszając tylko sytuację.

- Nie zmieszczę się w rakiemie - powiedziała ze zgrozą Anna, po czym westchnęła ciężko i leniwym ruchem sięgnęła do kieszonki po „pamiętnik”.

- Oho! - przestraszyła się Lena.

- Dzisiaj ona naprawdę ma co zanotować - ujął się za dziewczyną Roald.

Ina spojrzała na niego z rozbajającym uśmiechem i spytała:

- Kto dzisiaj był szczególnie sympatyczny?

- Maciek - odpowiedział prędko zapytany.

- A ty nie masz nic do powiedzenia? - Anna utkwiała nieodgadnione spojrzenie w Roaldzie, który najpierw usiłował się uśmiechnąć, a potem rozłożył bezradnie ręce.

- Ja? - bąknął. - Nie... leciałem jak wszyscy, w pewnym momencie usłyszałem komunikat i...

- Co wtedy pomyślałeś? - ołówek Anny zawisł nad czystą karteczką folii.

- No... - Roald zarumienił się bez żadnej widocznej przyczyny - wiedziałem, że chodzi o Inę i Maćka. Bardzo chciałem coś zrobić, ale kazali mi lecieć z powrotem. Mój robot doholował mnie bezpiecznie do wioski. Myślałem o... o waszej rodzinie... - odetchnął z ulgą, najwidoczniej zadowolony z własnych talentów dyplomatycznych - bałem się o siostrę...

- Dziękuję - burknęła wymieniona - że przyszła ci na myśl także własna rodzina.

Ciocia Basia nie wytrzymała i parsknęła śmiechem. Odwracając głowę, żeby uniknąć pełnych wyrzutu spojrzeń, wymruczała coś, co od biedy mogło znaczyć „przepraszam”, po czym swoim zwyczajem poszukała pomocy u Feriego.

- Pójdziemy na spacer?! - wykrzyknęła uszczęśliwiona nie mniej niż jej czworonożny ulubieniec i zanim ktokolwiek zdążył coś powiedzieć, wyskoczyła z pokoju. Zza drzwi dobiegło zażarte ujadanie.

„Kudłaty automat znowu będzie się skarżył, że on był nieznośny” - pomyślał Maciek, po czym najniespodziewaniej dla samego siebie powiedział na głos:

- Zazdrość... ba! Psia miłość...

Roald stał się natychmiast purpurowy.

- Przecież cię przeprosiłem. Nie powinieneś... byłem tylko szczerzy...

- O czym wy mówicie? - spytała słabym głosem Lena.

- On wcale nie myślał o tobie - prychnęła Ina - tylko... tylko...

- O psie! - przerwał z rozpaczą Maciek. - Naprawdę o psie! - zapewnił gorąco.

- Czy to kpiny? - Roald z purpurowego zrobił się biały jak kreda. - Jesteś bohaterem dnia, ale...

- Ja myślę, że on naprawdę mówił o psie, prawda, Maćku? - wtrąciła się łagodnie

Dahra. - Przed zawodami skonstruowali, to znaczy Marek sporządził taki automat.

- No, właśnie! - wykrzyknął uszczęśliwiony miłosierną odsieczą posiadacz dwóch psów. - Ten automat jest zazdrosny o Feriego, a on czekał, kiedy ciocia Basia wyszła, więc pomyślałem o psiej miłości... - poczuł że to, co mówi, brzmi mimo jego wysiłków coraz gorzej, i urwał.

Chwilę panowało złowrogie milczenie.

- No, cóż - odezwała się wreszcie Anna - założmy, że on ma prawo zdradzać dzisiaj objawy lekkiego pomieszania zmysłów. Ale, ale - jej wzrok padł z kolei na Dahrę - może ty powiesz, co robiłaś i o czym myślałaś, kiedy ogłoszono alarm?

- Nic nie robiłam - odpowiedziała z uśmiechem zapytana. - Siedziałam w latawcu i bałam się. Kiedy urwała się łączność, myślałam... myślałam... - zająknęła się nagle. - Bo widzicie, Marek był taki pewny, że krążowniki obronne poradzą sobie ze wszystkim... Więc kiedy zamilkły, to... ee! - machnęła smukłą rączką - dajcie spokój. Już sama nie wiem, co mówię!

Anna skinęła poważnie głową. Wysunęła koniec języka i skrupulatnie kończyła zapisywać zdanie. Postawiła kropkę, po czym powiedziała:

- Myślę, że mimo wszystko dość wiernie zanotowałam to, co chciałaś powiedzieć. Przeczytać?

- W żadnym wypadku! - zawołała Dahra z udanym przestraczem, a następnie uśmiechnęła się wesoło. - Gdyby tu był wuj Alf... przepraszam, że go tak nazywam, ale sam sobie tego życzył - zastrzegła się - powiedziałby pewnie coś mądrego po łacinie. A pan Michał Całka... - umilkła i zarumieniła się.

- Wuj Alf - powtórzyła półgłosem Ina. - Wprawdzie nikt mnie o nic nie pyta, ale i tak wam powiem, że kiedy zostałam sama pod tymi gwiazdami, bez łączności i napędu... myślałam właśnie o nim. O tym, co mówił, kiedy przekomarzał się z Maćkiem, a także o tym, co on i profesor Ito Oyo opowiadali o Januszu Całce... że zginął i że takim jak on mamy wszyscy wiele do zawdzięczenia. Bałam się, oczywiście, ale równocześnie było mi żal, że ja... że jeśli nie wrócę, to nikt nie będzie mnie wspominał.

- Co ty mówisz?! - zawołał ze szczerym oburzeniem Maciek. - A j... Roald? Twoi rodzice? A... my?

Ina potrząsnęła przecząco głową.

- Nie... Myślałam o tym, że nie zrobiłam niczego takiego, o czym warto byłoby pamiętać... rozumiecie?

- No, no - mruknął z powątpiewaniem Roald. - Czyżby te groźne kosmiczne „piguly”

miały także jakieś niezwykle zdolności pedagogiczne? Wygląda na to, że wywarły zbawienny wpływ na charakter pewnej osóbk...

- Baran!

- A nie mówiłem?! - ucieszył się cudowny brat. - Już jej lepiej. Beee!!

- Proszę mnie nie przedrzeźniać! - zdobył się na dowcip Maciek chcąc przerwać dalszą wymianę zdań między rodzeństwem, bo to, co przed chwilą powiedziała Ina, wywarło na nim duże wrażenie. Nie spodziewał się, że ta złocista dziewczyna myślała o tym, co zrobiła i czego nie zrobiła w życiu wówczas, kiedy on, sam na sam z gwiazdami, próbował przyjść jej z pomocą. Nawet Anna odłożyła na chwilę swój notatnik. Zaraz jednak otworzyła go z powrotem.

- No, a teraz kolej na głównego bohatera - oświadczyła. - Sam rozumiesz, że to bardzo ważne. Opowiadaj powoli i ze wszystkimi szczegółami. Proszę cię... - zakończyła dziwnie miękko.

Wezwany przyjrzał się podejrzliwie swojej kuzynce, ale nie wyczytał w jej oczach ani śladu ironii. Przeciwnie, Anna patrzyła na niego tak, jak pilna uczennica patrzy na swojego ulubionego nauczyciela, rozpoczynającego szczególnie interesującą lekcję.

Chłopiec westchnął.

- Zaczęło się obiecująco - zauważył półgłosem Roald. Anna przeszła go morderczym wzrokiem, ale nie zdążyła zrobić nic więcej, bo z głośnika popłynęły wypowiedziane uroczystym tonem słowa dyspozytora:

- Prosimy wszystkich zawodników i gości Astroniady na nadzwyczajne zebranie. Spotkamy się za dziesięć minut w świetlicy. Przewidziany jest komunikatuczonych w sprawie obiektów meteorytowych oraz oświadczenie jury.

- Opowiem ci - Maciek odetchnął z widoczną ulgą. - Opowiem naprawdę wszystko - powtórzył obietnicę. - Ale teraz... teraz i tak bym chyba nie potrafił - wyznał szczerze.

Anna, nie ukrywając rozczarowania, schowała notes i starannie zapięła kieszonkę.

- Chodźmy, bo zaczną bez nas - powiedziała Lena idąc do drzwi. Tutaj zderzyła się z ciocią Basią, która odprowadziła Feriego i teraz tłumaczyła mu po swojemu, że musi grzecznie poczekać sam i że to wcale nie będzie trwało długo.

- Nie ma obawy - Dahra uśmiechnęła się do Maćka. - Nie zaczną na pewno... przynajmniej bez jednego z nas.

Ktokolwiek przyleciał na Astroniadę, stawił się na wezwanie dyspozytora. Świetlica była pełna jak nigdy.

Za stołem jurorów, wśród innych znakomitości, zasiedli profesor Badandajew, Ito Oyo, wuj Alf i Alan Tunner, który, gdy weszli ostatni goście, wstał i gestem poprosił o ciszę.

- Orientujecie się wszyscy, co zaszło - zaczął rozglądając się z roztargnieniem po sali - i dlatego musieliśmy przerwać konkurencję. Po raz pierwszy ód bardzo dawna ludziom zagroziło niebezpieczeństwo, które przyszło z zewnątrz...

Przeczekał falę szmeru, po czym mówił dalej:

- Niebezpieczeństwo przyszło z zewnątrz, ale wiąże się z nim wspaniała i tragiczna historia dotycząca Ziemi. Tak, Ziemi - powtórzył kiwając głową. - Wiecie, że zbadaliśmy jeden z obiektów, które przyleciały do naszego układu ze strumieniem meteorów. Ekipa uczonych pracowała pod kierownictwem profesora Abaja Badandajewa. Oddaję mu głos. Potem ogłoszę jeszcze komunikat jury. Dziękuję...

Z kolei wstał profesor Badandajew. Dłuższą chwilę milczał, jakby zastanawiając się, od czego zacząć. Wreszcie przetarł palcami oczy i odetchnął głęboko.

- Musicie mi wybaczyć, że będę mówił trochę chaotycznie - rozpoczął. - Wraz z meteorami przyleciały, jak o tym wspomniał przewodniczący, dwa obiekty. Pierwszy z nich był niebezpieczniejszy od najstraszniejszej broni, jaką kiedykolwiek wymyślił człowiek. Wytwarzał supersilne pole grawitacyjne. Miał zdolność odbierania energii wszystkim napotkanym urządzeniom. Przy zetknięciu z naturalnymi bądź sztucznymi ciałami przekształcał ich masę w energię. Gdyby zderzył się z planetą wielkości Ziemi, zginąłby, ale zostawiłby za sobą doszczętnie spustoszony obszar rozmiarów kontynentu afrykańskiego. Zniszczyliśmy go. Dostarczyliśmy mu masę, której przetworzenie przekroczyło jego możliwość, bo powiększony o trzy asteroidy wytworzył tak silne pole grawitacyjne, że wchłonął sam siebie. Obecni tutaj astrofizycy wiedzą, o czym mówię. Chciałbym także przypomnieć, że o podobnych obiektach pisali astronomowie już bardzo dawno. Nazywano je wówczas „czarnymi dziurami”. Oczywiście twór, który zniszczyliśmy, nie miał nic wspólnego z wyobrażeniami dawnych badaczy, ponieważ jednak jego podstawowe funkcje odpowiadały ich hipotezom, nazwaliśmy go i my „czarną dziurą”. Mam nadzieję, że był to wyjątkowy kaprys natury i że człowiek nigdy już nie zetknie się z niczym podobnym. Ale zdobyliśmy nowe doświadczenie... i w razie czego będziemy sobie umieli poradzić także z tego rodzaju przybyszami. Tyle o pierwszym obiekcie. Natomiast drugi... - profesor Tunner zawiesił głos i powiódł zmęczonym wzrokiem po sali - drugi obiekt był dziełem człowieka...

Przez salę znowu przebiegła fala szmeru, ale uczone tym razem nie czekał, aż nastanie cisza. Podniósł głos o pół tonu i ciągnął:

- Źle mówię „był”. Jest. Jest i pozostanie tutaj, w muzeum, jako świadectwo myśli i

ofiarności człowieka, który rusza do gwiazd w imieniu tych, którzy pozostają na Ziemi. Ten drugi obiekt powstał przeszło dwa wieki temu w kabinie prymitywnego statku kosmicznego, na pokładzie którego jeden samotny kosmonauta pędził w bezmiar wszechświata. Wiedział, że nigdy już nie ujrzy słońca ani ludzi, ale do ostatniej chwili myślał o Ziemi. Zapytacie, skąd wiemy o tym człowieku i o tym, czego dokonał? Otóż on sam opowiedział nam swoje dzieje. Obiekt, który zbudował, był tarczą mającą chronić statki i stacje badawcze przed niszczycielskim działaniem czarnej dziury. To on uratował Macieja Całkę, kiedy ten, nie zdając sobie sprawy z rozmiarów niebezpieczeństwa, zbliżył się dzisiaj do groźnego przybysza z kosmosu. To dzięki człowiekowi, który przeszło dwa wieki temu w statku uciekającym w wieczną noc próżni poświęcił siebie dla innych, tenże Maciej Całka uratował dwoje innych zawodników oraz trzy krążowniki obronne. A teraz uważajcie, bo trafiła nam się lekcja historii, jakiej nigdy nie wymyśliłby najlepszy nauczyciel. Ktoś powie: ślepy traf. Być może. Ale postępowanie tego dawnego kosmonauty nie było przypadkowe. I nie przypadkiem dzisiaj Maciek nie załamał się, lecz stawiał czoła niebezpieczeństwu, chociaż trzeba przyznać, że miał trochę szczęścia. Nie przestał jednak myśleć o innych, kiedy sam wrócił już bezpiecznie do swojego szybowca. To nie był ślepy traf. Natomiast istotnie przypadkiem jest to, że ten człowiek nazywał się tak samo, jak zawodnik ABZ-22, ale takie przypadki to także historia. Na poprzednim zebraniu profesor Ito Oyo mówił o przodku Macieja Całki, Januszu. Dzisiaj wiemy, że Janusz Całka służył nie tylko nauce, ale człowiekowi. On właśnie był tym badaczem i konstruktorem, który skazał samego siebie na śmierć w najstraszliwszej samotności, żeby do ostatniej chwili chronić Ziemię. Ten drugi obiekt jest jego dziełem. A teraz oddam głos samemu Januszowi Całce. Oto list, jaki znaleźliśmy w zasobniku przymocowanym do skonstruowanego przez niego obiektu. Dokument jest nieco zniszczony, bo został spisany na staroświeckim papierze, ale napromieniowaliśmy go i dzięki temu udało nam się odtworzyć pełny tekst pisma, które po przeszło dwustu latach trafiło do adresatów, to znaczy do ludzi. Proszę o projekcję - rzucił do mikrofonu.

Wielki ekran, rozpięty na całej powierzchni bocznej ściany, zaśnił srebrzystym, matowym światłem, a następnie ukazały się na nim wielkie litery.

Obiekt zniszczył wszystkie nasze sondy i spalił małą asteroidą, która znalazła się na jego drodze. Wróciliśmy do bazy na ZZ-8627 i wtedy Ali Bayton powiedział, że los zesłał nam niezwykłą szansę.. Zachowywał się jak obłąkany. Opracował specjalny program dla komputera i zaczął przygotowywać wyrzutnię, która pozwoliłaby ściągnąć obiekt w

sąsiedztwo bazy. Chodziło o podrzucanie tej czarnej dziurze drobnych pocisków, bo stwierdziliśmy już przedtem, że za każdym razem, kiedy niszczyła jakąś masę, posuwała się w kierunku, z którego ta masa przybywała. Chciałem zawiadomić o wszystkim centralą na Ziemi. Ali zaczął mnie wtedy przekonywać, że nie wolno nam tego robić, a kiedy nie słuchałem, zniszczył nadajnik. Nie byłem uzbrojony, a on miał pistolet. Doszedłem do wniosku, że jest niebezpiecznie chory i udałem, że zainteresowały mnie jego argumenty. Mówił, że zdobędziemy ten obiekt i nauczymy się nim sterować, a potem wyślemy krajom na Ziemi ultimatum. Zażądamy zniszczenia wszystkich magazynów broni i likwidacji wielkich koncernów oraz równego podziału dóbr dla wszystkich. A jeśli nas nie posłuchają, zniszczymy, na przykład, część jakiegoś kontynentu, gdzie znajduje się najwięcej baz wojskowych. Wtedy bada musieli uznać się za pokonanych - dowodził. Odpowiedziałem, że nie wolno w imię pokoju i sprawiedliwości siać zniszczenia, że skierowanie ku Ziemi czarnej dziury - spowodowałoby nieobliczalny kataklizm, który zatrzymałby rozwój naszej cywilizacji na całe wieki, ale nic z tego, co mówiłem, do niego nie docierało. W końcu przypomniałem mu, że przecież mamy tylko jeden niszczycielski obiekt i jeśli go raz użyjemy, stracimy możliwość dalszego szantażowania Ziemi, a dopóki go nie użyjemy, i tak nikt nam nie uwierzy, więc całe przedsięwzięcie jest nierealne. Na to odpowiedział, że przecież oni nie bada wiedzieć, ile mamy czarnych dziur - roześmiał się głośno z takim wyrazem twarzy, że przestałem liczyć, abym kiedykolwiek mógł go przekonać. Udałem, że bada mu pomagał, odczekałem kilkanaście minut, po czym wymknąłem się z bazy, żeby dotrzeć do miejsca naszego lądowania, gdzie zostawiliśmy rakieta. Chciałem użyć jej nadajnika i wezwać centralę. Niestety, nie zdążyłem. Szalaniec zakończył przygotowania i zaczął wyrzucać w stronę czarnej dziury jeden pocisk po drugim. Zanim udało mi się uruchomić zespoły łączności i nadać pierwszy sygnał, było już za późno. Ali w swoim szaleństwie zapomniał o tym, że „czarna dziura” pozbawia energii wszystkie urządzenia, które znajdują się w jej pobliżu. Wyrzutnia przestała działać i obiekt zmienił kierunek lotu. Zamiast, jak to leżało w zamiarze Baytona, wejść na orbitę ZZ-8627 i czekać, aż zdążymy go zbadać, runął prosto na bazę. Wtedy odruchowo uruchomiłem dysze startowe. Po minucie lotu, kiedy przygasł ogień eksplozji, stwierdziłem, że planetoida ZZ-8627 przestała istnieć. Po naszej bazie, a także po biednym, obłąkanym Allu nie pozostało śladu. Siła wybuchu zmiotła także z kadłuba mojej rakiety wszystkie anteny. Pozbawiony sygnałów namiarowych i radaru, a także automatów nawigacyjnych, wiedziałem, że nigdy nie wrócę na Ziemię. Wtedy postanowiłem lecieć za czarną dziurą, oczywiście w bezpiecznej odległości. Gdyby zdążyła w kierunku Ziemi, poczekałbym, aż wejdzie w górne warstwy atmosfery, po czym rzuciłbym się prosto na nią.

Błysk eksplozji zostałby z pewnością zauważony przez obserwatoria i w ten sposób świat otrzymałby przynajmniej ostrzeżenie. Sądzę, że uczeni wymyśliliby jakieś środki zaradcze. Ale obiekt nie zmierzał w stronę Ziemi. Przeciwnie, przeciął orbitę Jowisza i zaczął wychodzić poza płaszczyznę ekliptyki. W ten sposób planetom przestało grozić niebezpieczeństwo, a ja i tak nie miałem nic do stracenia.

Obliczyłem, że zapasów tlenu i żywności wystarczy mi na jakieś dwa tygodnie. Postanowiłem wykorzystać ten czas, aby skonstruować zabezpieczenie na wypadek, gdyby czarna dziura miała kiedyś z niewiadomych przyczyn zawrócić i znowu trafić do naszego układu słonecznego. Nie będę się wdawał w szczegóły, powiem tylko, że częściowo mi się to udało. Częściowo, ponieważ sporządzona przeze mnie osłona pozwala podejść do groźnego obiektu tylko z jednej strony. Ale... może i to się kiedyś przyda. Jeśli ten list dojdzie kiedykolwiek na Ziemię, będzie to znaczyć, że dotarło tam również urządzenie, które zbudowałem. Wtedy je zbadacie. Jeśli nie, tym lepiej.

Praca zajęła mi dwanaście dni. Teraz w mojej rakiecie ekrany i pulpity pokryły się już warstwą szronu. Za kilka godzin staną sprężarki tłoczące powietrze. To będzie koniec. Nie żałuję niczego. Miałem ciekawe życie i kończę je w przekonaniu, że zrobiłem, co do mnie należało. Należy mi zazdrościć, nie współczuć.

Teraz schowam ten świstek papieru do pojemnika, włożę skafander i polecę wraz z skonstruowaną przeze mnie osłoną w stronę czarnej dziury. Umieszczę moje urządzenie tak, jak to obliczyłem, w odległości, która na skutek działania pola elektromagnetycznego nie pozwoli groźnemu obiektowi oddalić się od niego. To wszystko. Zegnajcie.

Ostatnie słowa długo widniały na wielkim ekranie, zanim ten wreszcie zgasł. W sali panowała zupełna cisza. Zdawało się, że zgromadzeni w niej ludzie przestali oddychać.

Profesor Badandajew westchnął i przetarł dłonią czoło. Po chwili wstał.

- Dziś, po wiekach, poświęcenie Janusza Całki, jego wiedza konstruktorska, bo urządzenie, które zbudował, jest nadzwyczaj skomplikowane nawet jak na współczesną technikę, pozwoliło nam uniknąć tragedii. Taak... - odetchnął głęboko - są jakieś pytania? - rozejrzał się po twarzach siedzących przed nim ludzi.

Przez dobre kilka minut trwało milczenie. Wreszcie w trzecim rzędzie podniósł się jakiś wysoki, chudy chłopiec.

- Jeśli ten człowiek był takim znakomitym konstruktorem - powiedział drżącym głosem - to przecież mógł zbudować aparaturę, która pozwoliłaby mu wrócić na Ziemię.

Profesor Badandajew skinął głową.

- Nie wiem - rzekł cicho. - Pamiętajcie, że jego statek był w porównaniu z naszymi bardzo prymitywny. Ale osobiście sądzę, że zrekonstruowanie anten i automatycznego pilota byłoby dla niego nawet łatwiejsze niż zbudowanie tej osłony. Tylko że nie zdążyłby zrobić jednego i drugiego. Dokonał wyboru. O tym nie wspominał w swoim liście...

Chudy chłopiec usiadł. W drugim kącie sali podniosła się dziewczyna z potarganą czarną grzywką.

- Ten człowiek, który zginął wcześniej - zaczęła cienkim głosikiem - był z pewnością szalony, przecież mógł zniszczyć prawie całą Ziemię, ale dlaczego mówił o broni? Czy w czasach, kiedy zakładano pierwsze bazy na asteroidach, ludzie walczyli jeszcze ze sobą?

- Niestety tak... - wtrącił wuj Alf, zanim Badandajew zdążył cokolwiek powiedzieć. Z twarzy historyka ulotnił się bez śladu zwykły dla niej wyraz zabawnej przekory. Jego głos brzmiał poważnie, a równocześnie ciepło. - Niestety tak - powtórzył. - Widzicie, nasze dzieje są jeszcze bardziej skomplikowane niż urządzenie zbudowane przez Janusza Całkę. Kiedy ludzie docierali poza orbitę Marsa, świat był jeszcze skłócony, pocięty granicami i pełen sprzeczności. Już wtedy istniały społeczeństwa, które rozwijały się w oparciu o stworzone przez siebie sprawiedliwe i mądre prawa, ale te społeczeństwa musiały być bardzo czujne i stale odpierać ataki obrońców dawnego porządku... a raczej nieporządku. Wciąż groził nieobliczalny w skutkach konflikt z państwami czy różnymi ugrupowaniami, które posiadały wielkie środki materialne i zdecydowane były za wszelką cenę bronić tych bogactw używanych przez jednostki z krzywdą dla innych. Janusz Całka był przedstawicielem postępowego społeczeństwa, ale zdawał sobie sprawę, że trzeba pracy jeszcze wielu pokoleń, żeby Ziemia stała się ojczyzną dla wszystkich.

- Ale... - dziewczyna umilkła na chwilę, po czym zastanowiła się głośno:

- W takim razie plan tego... zapomniałam, jak się nazywał...

- Ali Bayton - odpowiedział Tunner.

- Właśnie. Wydaje mi się, że on w gruncie rzeczy chciał dobrze... żeby zniszczyć broń na Ziemi.

- Nie - odparł twardo Alf Nielson. - Historia ma swoje prawa i nie wolno ich łamać. Byli tacy, którzy próbowali wprowadzać porządek stosując terror... ale jak świat światem nigdy nie wynikało z tego nic dobrego. Co nas obchodzi, jakie intencje miał ten szaleniec, skoro chciał sprowadzić na Ziemię potworny kataklizm?... Zginęłyby miliony niewinnych ludzi. I jeszcze jedno. Wyobraź sobie, co by się stało, gdyby ową tak zwaną „czarną dziurę” przechwyciła wówczas na Ziemi jakaś grupa ludzi, która dążyła do zagarnięcia władzy i bogacenia się kosztem innych? Także i o tym nie ma w liście ani słowa, ale jestem pewny, że

jego autorowi przyszła na myśl taka możliwość. Ja także, jak profesor Badandajew, sędzę, że Janusz Całka dokonał wyboru... tylko nieco innego. Moim zdaniem, on mógł zbudować te anteny i nawiązać łączność ze swoją centralą. A nie zrobił tego, bo był zbyt przerażony postępkami swojego kolegi, naukowca, badacza, któremu sama możliwość zdobycia superbroni nasunęła tak obłąkańcze idee. Rozumiecie? Jego wybór polegał na ucieczce w kosmos wraz z owym obiektem. Zapewne bał się katastrofy, którą mogło spowodować zderzenie czarnej dziury z naszym macierzystym globem. Ale daleko bardziej przerażała go wizja kataklizmu, jaki na siebie samych mogliby sprowadzić ludzie, gdyby ta rzecz dostała się w niepowołane ręce.

Dziewczyna siadła. Znowu dłuższą chwilę panowała zupełna cisza.

- Czy ktoś chce jeszcze coś powiedzieć? - spytał wreszcie Badandajew.

Z pierwszego rzędu krzesel dobiegł głos Marka.

- Ciekaw jestem - odezwał się cicho młody konstruktor - czy temu naszemu ileś tam prapra-pra tak samo ciężko przyszło zrezygnować ze zbadania struktury i pochodzenia owej nieszczęsnej „czarnej dziury”, jak nam dzisiaj. Był przecież badaczem...

Wreszcie przez zmęczoną twarz profesora Badandajewa przebiegł nikły uśmiezek.

- Mój asystent nie może odżałować, że musiał patrzeć na zagładę aktywnego obiektu meteorytowego, zanim zdążył go zważyć, zmierzyć i poddać wszechstronnej analizie.

- Wcale nie! - zaprzeczył energicznie Marek. - Zastanawiałem się tylko...

- Właśnie dlatego, że był naukowcem - przerwał mu wuj Alf - Janusz Całka zrobił to, co my zrobiliśmy na jego miejscu. A gdyby on znalazł się dzisiaj wśród nas, postąpiłby tak samo jak my. Bo nauka to coś więcej, niż badanie i konstruowanie. Badacz nie odpowiada na pytanie „dlaczego coś się dzieje”, tylko „jak to się dzieje”. Na przykład nie „dlaczego aktywny obiekt meteorytowy wytwarza szczególne, supersilne pole grawitacyjne”, tylko „jakie prawa rządzą tym polem”. Ale zanim przystąpi do jakichkolwiek badań, musi sobie postawić pytanie: co ich wyniki mogą dać człowiekowi, całej Ziemi. Tak nakazuje uczonym postępować nasza historia, która nigdy nie umiera, jak to już ktoś słusznie zauważył. Gdyby nauka nie stawiała sobie takiego pytania, gdyby nie dokonywała wyboru, to wyobraźcie sobie, co dzisiaj byłaby w stanie wymyśleć rodzina Całków! Na przykład sztucznych ludzi, obdarzonych od urodzenia genialnymi umysłami, „czarne dziurki” do podrzucania sąsiadom lub roboty zaprogramowane tak, żeby mordowały wszystkich napotkanych historyków...

Na sali rozległ się przyciszony śmiech. Wuj Alf najwyraźniej wracał do swojego zwykłego sposobu bycia.

- I tak jeden z nich buduje już sztuczne psy, a drugi chce robić sztuczne gwiazdy! Nie!

Wyrzuciwszy z siebie ten protest wuj Alf potoczył po jurorach tryumfalnym wzrokiem, po czym najspokojniej usiadł.

Sala znowu odpowiedziała śmiechem, który jednak niebawem ucichł. Wtedy ponownie zabrał głos profesor Badandajew.

- W porozumieniu z Główną Radą Naukową postanowiliśmy, że kopie listu Janusza Całki znajdą się we wszystkich ziemskich archiwach - oświadczył. - Natomiast skonstruowana przez niego osłona zostanie w tutejszym muzeum. Wiem, że nie wszyscy lubicie konkurencje historyczne, a zwłaszcza bieg przez miasta z przelomu dwudziestego i dwudziestego pierwszego wieku. Tym bardziej uważamy za słuszne, aby urządzenie skonstruowane przez Janusza Całkę przypominało nam i naszym dzieciom, że jego twórca urodził się i wychował w czasach, kiedy na Ziemi było jeszcze wiele miast takich jak to, które poznaliście podczas Astroniady. A co do oryginału ostatniego listu Janusza Całki, Rada Naukowa przyjęła nasz projekt, aby wmurować go w cokół Pomnika Człowieka...

Rozległy się brawa. Wszyscy wstali z miejsc. Maciek poczuł, że znowu coś ścisnęło mu krtań, jak wtedy gdy pomarańczowy recytował przed nim dziękczynną formułę.

Kiedy zapanował spokój, profesor Badandajew poinformował:

- Uroczystość odbędzie się jutro rano. A teraz pora na komunikat dotyczący zawodów. Oddaję głos przewodniczącemu jury.

Uczony uśmiechnął się, przyglądził swoje bujne, srebrne włosy i usiadł. Sala podziękowała mu oklaskami, które jednak szybko ucichły, bo wszyscy byli ciekawi, co postanowiła Komisja Sędziowska. Ostatecznie po raz pierwszy zdarzyło się, żeby Astroniada została przerwana... i to w tak niezwykłych okolicznościach.

- To, co powiem - zaczął profesor Tunner - nie jest werdyktem jury, tylko propozycją. Doszliśmy do wniosku, że dotychczas rozegrane konkurencje w zasadzie pozwoliły wszystkim zawodnikom wykazać się umiejętnościami. Wydarzenia dzisiejszego przedpołudnia są czymś niezwykłym, nie tylko w dziejach Sześcioboju Kosmicznego, ale i w dziejach Ziemi. Z tej okazji postanowiliśmy zaproponować, aby zwycięzcą ogłosić sportowca, który do momentu ogłoszenia alarmu zebrał największą ilość punktów. Być może nie występowałbym tak odważnie z tą propozycją, gdyby tym zawodnikiem nie był... Maciej Całka!

Zerwały się oklaski. Przewodniczący skinął na Maćka wzywając go do honorowego stołu. Chłopiec wstał, ale nie ruszył się z miejsca.

- No, idź, idź - usłyszał wzruszony głos mamy i jej dłoń delikatnie musnęła jego ramię. Wtedy, nie odrywając nieprzytomnych oczu od profesora Tunnera, zaczął przeciskać

się między krzesłami. Nie widział swoich niedawnych konkurentów, którzy wstawali, żeby zrobić mu przejście, i machali do niego. Szedł jak zahipnotyzowany, aż tuż przed sobą ujrzał wykrzywione w uśmiechu oblicze wuja Alfa. Wtedy zatrzymał się i odruchowo odwrócił twarz do sali.

- Przedstawiam wam prapra... w każdym razie potomka Janusza Całki - skrócił sprawę profesor Tunner - którego dzieje poznaliśmy przed chwilą. Dziś, dzięki swojemu przodkowi i własnej zimnej krwi, Maciej Całka ocalił dwoje zawodników i trzy krążowniki obronne. To wystarczyłoby być może, aby na trasie biegu Mars-maratońskiego rozgrywanego między dwoma pomnikami postawić trzeci - ciągnął z uśmiechem przewodniczący - ale nie usprawiedliwiłoby jeszcze ogłoszenia zawodnika ABZ-22 zwycięzcą Astroniady. Jednak jury po obliczeniu punktów stwierdziło, że Maciek zajął trzecie miejsce w pierwszej konkurencji Sześcioboju, osiągając przy tym najlepszy czas, był dziewiąty w drugiej, ale potem bezapelacyjnie i to z dużą przewagą wygrał Mars-maraton. W turnieju grawitki zdobył sporo punktów, a dzisiaj, do chwili przerwania konkurencji, przewodził czołowej stawce szybowników. W sumie prowadził w ogólnej punktacji. Przyznaję jednak, że orzeczenie, które proponuje jury, byłoby precedensem niezbyt zgodnym z przepisami, więc chciałem prosić wszystkich o przegłosowanie naszego wniosku. Kto jest za przyznaniem Maciejowi Całce tytułu mistrza Sześcioboju?

Nikt nie podniósł ręki, ponieważ wszystkim okazały się one niezbędne do wymachiwania, klaskania i grzmocenia o krzesła, lub - w wypadku osóbek szczególnie delikatnych - o plecy chłopców, siedzących przed nimi. Powstał taki łoskot, jakby z wszystkich marsjańskich gór ruszyły naraz kamienie lawiny.

Maciek przez dłuższą chwilę stał bez ruchu, myśląc tylko o swoich kolanach, które nagle znowu zaczęły podrygiwać, jakby zagnieździły się w nich szczególnie skoczne żaby. „Skąd na Marsie żaby” - pomyślał mgliście chłopiec. Ażeby zastanowić się nad tym fenomenem przyrodniczym, przysiadł na skraju sędziowskiego stolika. Następnie spojrzał ponuro przed siebie. Zobaczył rozjaśnioną serdecznym uśmiechem szeroką twarz ojca, prześliznął się wzrokiem po dalszych rzędach, gdzie siedzieli Anna i Roald, stwierdzając mimochodem, że oboje mają szeroko otwarte usta, jakby krzyczeli. Ponieważ jednak krzyczeli wszyscy, więc nie sposób było dojść, czy i ta dwójka czegoś od niego chce, czy tylko tak dziwnie łapie powietrze. Przez chwilę patrzył na mamę, która wykonywała jakieś podejrzane ruchy wokół swoich oczu, dostrzegł ciotkę Basie, Ibn Kaziego, pomarańczowego, wreszcie natrafił na spojrzenie ciemnozłotych oczu i w tym momencie, jak na komendę, wszystkie żaby wyniosły się z jego kolan. Przypomnił sobie spotkanie z Iną, kiedy wracał z

przystani razem z przerobionym przez siebie Klocusiem. Nie wiedzieć czemu, wspomnienie tamtej sceny na zalanej słońcem plaży skojarzyło mu się ze wszystkim, co usłyszał od wuja Alfa, od ojca, od profesora Ito Oyo i z tym, czego dowiedział się dzisiaj... List Całki, muzeum, Pomnik Człowieka, poświęcenie uczonego...

- Nie!!! - zerwał się i krzyknął tak głośno, że na sali w ułamku sekundy zapanowała martwa cisza. - Nie!!! - powtórzył rozpaczliwie. - Ja się nie zgadzam! Tak nie można!

Znowu zerwały się oklaski, ale uciszył je stanowczy gest profesora Tunnera.

- Dlaczego?... - spytał zdziwiony przewodniczący.

Dlaczego? Czy ma teraz, po tych owacjach na swoją cześć, opowiedzieć o światłowodzie i Klocusiu? Przed całą salą, przed mamą, Anną, profesorami, przed Roaldem, wujem Alfem i przed Iną?

- Nie chcę - wybełkotał wreszcie w zupełnej ciszy. - To niesprawiedliwe. Trzeba skończyć wszystkie konkurencje. Ja., przecież to był tylko przypadek. Nie wiedziałem, że ten obiekt jest taki groźny. Ja tylko rzuciłem w niego muszką! A inne załogi uratował Klo... chciałem powiedzieć, mój robot...

- Ale to ty uruchomiłeś robota i poleciłeś mu ratować innych, chociaż się opierał, bo miał tylko i wyłącznie pomagać tobie. Przecież wiemy, co robiłeś, bo ekipa obronna X-8 cały czas cię obserwowała. A poza tym, nie zaprzeczysz, że wygrałeś bieg Mars-maratoński...

- Ale ja chcę jeszcze startować w szybowcach! - zawołał Maciek, czując, że ziemia usuwa mu się spod nóg. - Ja... to jest tylko propozycja, pan sam tak powiedział! Więc ja się nie zgadzam!

Profesor Tunner uśmiechnął się i potoczył wzrokiem po sali.

- Jak sądzicie - spytał przekrzywając głowę - czy ABZ-22 ma prawo protestować? To znaczy, czy jesteśmy obowiązani przyjmując jego protest?

Odpowiedziała nowa ulewa braw. Maciek ukrył twarz w dłoniach. Nie potrafiłby powiedzieć dlaczego, wiedział jednak, że jeśli przyjmie ten skądinąd upragniony złoty medal, to już nigdy w życiu nie wystartuje w żadnych zawodach. A poza tym... poza tym...

Oderwał ręce od twarzy i zanim zdążył pomyśleć, co właściwie chce powiedzieć, usłyszał swój własny przeraźliwie brzmiący głos.

- Ja wycofuję się z Astroniady!!! - wrzasnął ile sił w piersiach. - Naruszyłem regulamin - ciągnął nieco ciszej, bo zebrani umilkli i przyglądali mu się z niedowierzaniem. - Najpierw założyłem podsłuch w mojej kabinie podczas Turnieju Kwalifikacyjnego - mówił bardzo szybko, łapiąc gorączkowo oddech - a potem przerobiłem robota tak, że musiał wykonywać moje polecenia. Nie w kosmosie, kiedy zagroziło mi niebezpieczeństwo, tylko od

razu na Ziemi. Chcę się wycofać i... przepraszam.

Nastała taka cisza, że gdyby na Marsie były muchy i gdyby któraś z nich wpadła teraz do świetlicy wioski olimpijskiej, to jej brzęczenie zabrzmiałoby jak przelot rakiety dalekiego zasięgu.

- Podłuch? - powtórzył wreszcie z bezgranicznym zdumieniem profesor Tunner. - Po co to zrobiłeś?

- Nie wiem - wymamrotał Maciek patrząc usilnie w czubki własnych butów. - Pomyślałem sobie, że byłoby dobrze wiedzieć, jak odpowiadają inni...

- Czy któryś z innych zawodników - przerwał Tunner - powiedział coś, co ty sam potem wykorzystałeś w odpowiedzi?

- Nie, ale...

- Nic nie rozumiem - stwierdził z najgłębszym przekonaniem przewodniczący.

- Ale ja rozumiem! - zagrzemiał wuj Alf. - To te przeklęte śrubki! Ten młody baran buntował się przeciw teorii, a zwłaszcza historii, bo ona jest dla niego za mądra! Dlatego pomyślał sobie: ja wam pokażę, wy... Alfowie! I próbował nas pokonać swoją techniką! Czy nie tak?

Maciek odgadł, że historyk na swój sposób pragnie mu przyjść z pomocą i wyjaśnić innym motywy jego „postępowania”, ale czuł także, że jeśli chodzi o niego samego, to sprawa jest raz na zawsze przesądzona.

- Może... - przyznał ponurym głosem. - W każdym razie wycofuję się z zawodów... - powtórzył z uporem.

- No, cóż - Tunner pokiwał głową - podłuchiwanie nie jest wprawdzie najpiękniejszą cnotą sportowca, ale chociaż pochlebiam sobie, że znam jako tako regulamin Sześcioboju, to jednak zupełnie sobie nie przypominam, aby była tam bodaj najmniejsza wzmianka na ten temat. Natomiast jeśli chodzi o przeróbkę dokonaną przez ciebie w programie robota opiekuńczego, to przecież om sam od razu nas o tym poinformował. Wtedy właśnie, zgodnie z tym regulaminem, na który się powołujesz, podnieśliśmy ci po prostu stopień trudności, to znaczy przenieśliśmy cię z grupy średniej do wyższej. Przecież zawodników i tak punktuje się indywidualnie. Każdy może przerobić swojego „pomocnika”, tylko że tym samym przechodzi do trudniejszej grupy klasyfikacyjnej. I tak się złożyło, że dzięki temu mogłeś zaraz pierwszego dnia uratować jednego z jurorów.

Maciek poczuł lekki zawrót głowy. Więc oni naprawdę wiedzieli? Więc myśleli, że chciał tylko przejść do trudniejszej grupy? Inaczej mówiąc, jego wszystkie obawy były niepotrzebne, bo regulamin...

Nie. To nie takie proste. Niestety...

- Krótko mówiąc - głos profesora Tunnera brzmiał bardzo wyraźnie - raz jeszcze przedstawiam wszystkim zebranym propozycję Komisji Sędziowskiej. Czy po tym, co usłyszeliśmy, nadal uważacie, że Maciej Całka wygrał Astroniadę?

Ktoś krzyknął „tak”, kilka osób zaczęło bić brawo, ale Maciek, wciąż patrząc pod nogi, uniósł do góry obie ręce prosząc o ciszę. Był już zupełnie spokojny, tylko po prostu smutny.

- Ja nie wiedziałem o tym, że wolno zmieniać program robotów opiekuńczych - powiedział półgłosem. - Ani razu na trasie nie korzystałem z jego pomocy... ale kiedy go przerabiałem, myślałem, że... właściwie nic nie myślałem - wyznał z niespodziewaną dla samego siebie szczerością. - Ale to było niełojalne.

- Więc dlaczego w takim razie nie korzystałeś w czasie zawodów z pomocy ABZ-22-Bis? - spytał z pewnym zniecierpliwieniem Tunner.

Maciek spojrzał na niego zdziwiony.

- Przecież to byłoby nieuczciwe - odrzekł bez namysłu. - Jak to? Pan myśli, że ja mógłbym?... - nie skończył.

Tym razem wszyscy obecni wybuchnęli niepowstrzymanym śmiechem. Wielka sala zadygotała, jakby zaraz miało nastąpić trzęsienie ziemi. Jeden tylko wuj Alf nie pozwolił się zgłuszyć byle trzęsieniem ziemi.

- *O, Vae!* - krzyczał chwytając się za włosy. - On nawet ze śrubkami nie wie, co zrobić! Wszystkie jego gwiazdy będą spadać jak kasztany! Biada! Dać mu medal z dyni i niech go nosi do końca życia!

Maciek poczuł, że ktoś kładzie mu dłoń na ramieniu. Odwrócił głowę i ujrzał obok siebie roześmianego ojca.

- A to jeszcze jeden Całka! - zaryczał wuj Alf, po czym jednym susem doskoczył do obu mężczyzn, starszego i młodszego, i chwycił ich w swoje kościste ramiona. - Zapadnę się pod ziemię ze wstydu, ale najpierw ich uduszę!

Stało się jednak coś dziwnego. Na widok tej trójki splecionej uściskiem śmiech ucichł, a raz jeszcze zerwały się gorące brawa. Tym razem trwały o wiele dłużej. Umilkły dopiero wtedy, kiedy zza stolika sędziowskiego podniósł się profesor Ito Oyo.

- Mógłbym bardzo mądrze zacząć od tego, że Maciek, czyniąc tu przed nami swoje wyznanie, odniósł najważniejsze zwycięstwo... nad sobą samym. Ale nie zacznę mądrze - mówił słynny bionik - a właściwie w ogóle nie zacznę, tylko od razu skończę.

- Bardzo rozsądnie - wtrącił scenicznym szeptem Alan Tunner.

- Uważam mianowicie, że ten, któremu chcielibyśmy przyznać złoty medal, ma prawo do wyrażenia swojego zdania, i że jurorzy powinni wziąć je pod uwagę. Proponuję więc, żeby jutro, po uroczystości wmurowania listu Janusza Całki w cokół Pomnika Człowieka, rozegrać jednak jeszcze raz przedostatnią konkurencję, a pojutrze zakończyć Astroniadę. Przedłużymy ją o jeden dzień... ale tego chyba nikt nie weźmie nam za złe. Co na to przewodniczący? - spojrzał na Tunnera.

Zapytany zastanowił się chwilę, po czym z nieokreślonym uśmiechem zwrócił się z kolei do Maćka:

- Czy tak będzie dobrze?

ABZ-22 nie mógł odpowiedzieć, bo wuj Alf obejmował serdecznym, ale morderczym uściskiem jego szyję. W końcu, z pomocą ojca, udało mu się jednak jakoś poruszyć twierdząco głową.

- No, więc dobrze - Tunner podniósł głos i omiół wzrokiem salę. - Cofam wszystko, co powiedziałam, i zapowiadam na jutro po południu dalszy ciąg Sześcioboju. A teraz, na zakończenie, chciałbym poinformować, że na ręce Komisji Sędziowskiej wpłynęło dotychczas osiemset tysięcy dziewięćset dwadzieścia telegramów gratulacyjnych dla Macieja Całki. Oto niektóre z nich... proszę projekcję - raz jeszcze zwrócił się do mikrofonu.

Przez ekran zaczęły przebiegać serdeczne słowa, którymi mieszkańcy Ziemi pozdrawiali Maćka i wyrażali mu swoje uznanie. Pod depezbami widniały podpisy znakomitych naukowców, pisarzy, artystów oraz nazwiska nieznanymi mieszkańców wszystkich zakątków świata. Gratulacje i wyrazy sympatii przesłali także szef Centrali Ekip Obronnych, Paolo Patti, oraz dyrektor Ośrodka Badań Pozaukładowych, Nino Juarez.

Wychowawca klasy, Paweł Kulski, przysłał entuzjastyczny list, w którym między innymi donosił, że historyk, pan Jan Broda, zapowiedział cykl specjalnych lekcji z udziałem Maćka, który miał wystąpić w charakterze żywej „pomocy naukowej”.

„Serdecznie pozdrawiam, gratuluję i czekam ze świątecznym obiadem. Twój Tuptaczek” - głosił jeden z telegramów. Na jego widok Maciek po raz pierwszy od wielu minut uśmiechnął się i odetchnął z ulgą. Za trzy dni będzie w domu, pobiegnie z Ferim na plażę, a potem... co tam, niech pan Broda urządza sobie te historyczne lekcje. Ostatecznie Maciek będzie miał o czym mówić...

Przez chwilę ekran świecił czystym srebrem, po czym ukazał się kolejny telegram. Pogodne rozmyślenia chłopca zostały brutalnie zmaćcone. Długo trwało, zanim do jego świadomości dotarła straszna prawda. Rzecz była bowiem naprawdę okropna.

Ekran od sufitu do podłogi zajął dość niedbale nagryzmlony rysunek postaci

stanowiącej coś w rodzaju skrzyżowania mały z robotem. Żeby nie było żadnych wątpliwości, przez pierś potwora biegł napis „Maciej Całka”.

Reszta tekstu znajdowała się na cokole, trzeba bowiem wiedzieć, że rysunek przedstawiał pomnik. Cokół był dość wysoki, ale mina stojącego na nim osobnika świadczyła, że jego zdaniem powinien być jeszcze wyższy.

- Ten telegram przyszedł od brata Maćka Całki, Bolka, który przebywa na księżycach Saturna - uznał za stosowne wyjaśnić Tunner.

Bohaterowi dnia żadne wyjaśnienia nie były jednak potrzebne. Napis na cokole brzmiał bowiem jak następuje:

Tu stoi Ciuciuśka,
dumą łśni mu buźka.
Uciekł z czarnej dziury,
teraz patrzy z góry.

- Rupieć! Rupieć! Rupieć! - żywy odpowiednik rozpaczliwym ruchem uwolnił się z objęć ojca oraz wuja Alfa i jak oparzony wybiegł z świetlicy wprost na cichą marsjańską łąkę.

Uroczystość wmurowania listu sprzed wieków w cokół Pomnika Człowieka zakończyło odegranie Hymnu Słonecznego. Alan Tunner poinformował następnie zebranych, że Mars-maraton, rozgrywany na trasie między pomnikami, będzie odtąd nosił nazwę biegu imienia Janusza Całki.

- Więc masz jednak swój pomnik - szepnął wuj Alf, pochylając do Maćka głowę tkwiącą w przezroczystym próżniowym kasku.

Chłopiec skrzywił się i odsunął nieco od historyka. Dziwnym zbiegiem okoliczności znalazł się dzięki temu tuż obok Iny. Za szybą kasku widział jej wielkie, złote oczy patrzące w górę. Podążył wzrokiem za nimi i przez dłuższą chwilę szukał czegoś ponad krawędzią skośnej płyty Pomnika, gdzie było tylko brzoskwiniowe niebo, ale gdzie równocześnie mieściło się wszystko, co chcieli widzom powiedzieć twórcy monumentu na skraju rozpadliny Coprates.

Wracali do wioski małymi grupkami tą samą trasą, na której ABZ-22 toczył niedawno tak zażartą walkę z BAW-3, czyli Ibn Kazim. Kiedy wyszli na otwartą przestrzeń i ujrzeni w oddali fermę kwiatów, Maciek ponownie zbliżył się do Iny. Dostrzegł porozumiewawcze

spojrzenia idących obok siebie Anny i Roalda, ale wzruszył tylko ramionami.

- Ona jest naprawdę śliczna - szepnęła Ina.

- Śliczna! - potwierdził gorąco chłopiec.

Cudowna siostra zerknęła na niego z niemym wyrzutem. W tym momencie za ich plecami rozległ się melodyjny głos. Chłopiec odwrócił się w samą porę, by ujrzeć Dahrę, która darzyła najpiękniejszym ze swoich uśmiechów kroczącego obok niej Marka.

- Ja nie mówiłem o Da... - zaczął szybko bohaterski potomek Janusza Całki, ale nie powiedział nic więcej. Twarz jego towarzyszkę zmieniła jednak wyraz, a jej złote oczy powędrowały ku horyzontowi.

Maciek stanął. Ina chociaż ani na moment nie przestała wpatrywać się w niebo, zrobiła jeszcze kilka drobnych kroczków, po czym zatrzymała się także.

Przeszli mama i ojciec, trzymając się za ręce. Lena posłała synowi serdeczny uśmiech, natomiast Całka senior musnął spojrzeniem Inę i pokiwał ze zrozumieniem głową.

- Teraz naprawdę powinieneś wygrać - dobiegł Maćka głos profesora Ito Oyo. - To przez ciebie będziemy się męczyć jeszcze jutro i pojutrze. A ja ciągle nie mogę pójść w góry...

- Całe szczęście - mruknął idący koło bionika wuj Alf. - Historia to nie wybryki pojedynczych awanturników.

- Ale ja nie mówię o historii, tylko o górach - zaśmiał się Ito Oyo. - Wygrasz? - mruknął do Maćka.

- Nie wiem... spróbuję... - odpowiedział niezbyt przytomnie chłopiec.

- Wszystko zaczyna się od nowa - stwierdził złowieszczym głosem wuj Alf. - Ale nie martwcie się. Jak tylko wrócimy, odprawię auspicje.

Ito Oyo roześmiał się znowu, natomiast Maciek wpadł nagle w popłoch. Wyobrażał sobie, co usłyszy od „wróżbity”, kiedy ten będzie wykonywał swój wspaniały taniec.

- Uciekajmy! - krzyknął. Chwycił Inę za rękę i pociągnął ją za sobą.

Biegli prosto w stronę przejścia do strefy chronionej, za którym rozpościerały się plantacje kwiatów. W pewnym momencie dziewczyna potknęła się i byłaby upadła, gdyby Maciek jej nie podtrzymał. Złapał ją za łokieć i nie puszczał, pomimo że niebezpieczeństwo już dawno minęło.

- Uważaj...

- Uważaj... - zabrzmiały dwa identycznie brzmiące głosy. Chłopiec spojrzał w górę i ujrzął dwa klockowate twory wiszące kilka metrów nad ich głowami.

- Halo! - zawołał radośnie - Jak się macie?!

- Nie rozumiem - odpowiedział już tylko jeden głos. Maciek zaśmiał się z dumą.

- Widzisz - spojrzał na Inę, ciągle ściskając jej łokieć - mój robot mówi. A twój nie może...

- Nie masz się czym chwalić - odpaliła dziewczyna. - Po co mnie tu przyprowadziłeś? Chłopiec rozejrzał się bezradnie. Wreszcie wydało mu się, że znalazł mądrą i przekonującą odpowiedź.

- Żeby zobaczyć kwiaty - powiedział takim tonem, jakby od początku nie myślał o niczym innym.

- Przecież to ja interesuję się roślinami, a ty zbierasz kamienie. Czy coś się zmieniło? - na złocistej twarzy Iny ukazał się nieokreślony uśmiešek.

„Zmieniło się i to dużo” - chciał powiedzieć chłopiec, ale z niewiadomego powodu głos odmówił mu posłuszeństwa. Oswobodził wreszcie łokieć Iny i rozejrzał się bezradnie. Nagle zaświtał mu wspaniały pomysł. Zadarł głowę do góry i zawołał:

- Hej, ABZ-22-Bis! Pokaż, że jesteś lepszy! Zawsze wszystko wiesz... powiedz na głos, po co przyszliśmy tutaj?!

- Nie wiem. Myślę, że niepotrzebnie biegasz po nie strzeżonej strefie i męczysz się przed jutrzejszą konkurencją - odpowiedział poważnie robot. - W dodatku namawiasz innego zawodnika, żeby robił to samo, chociaż to już, oczywiście, nie moja sprawa...

- Ale... ale... - Maciek zająknął się, po czym zrobił chytrą minę. - Mówisz tak, bo musisz. A ja? Co ja chciałbym powiedzieć?

Zza szklanego kasku Iny powędrowało w górę złote spojrzenie.

- Pytanie poza programem - odrzekł zimno robot. - Moje zadanie to ochrona zawodników przed niebezpieczeństwami w kosmosie, a nie przed niezrozumiałym osłabieniem, któremu ulegają na skutek własnych emocji. Ludzie są skonstruowani bardzo nieprecyzyjnie. Niepotrzebne komplikacje, wymykające się klasyfikacji rozumowej, sprawiają, że...

- Oj, Klocusiu, Klocusiu - przerwał chłopiec wdychając ciężko.

- Oj, Klocusiu, Klocusiu... - powtórzyła jak echo Ina, patrząc jednak nie w górę, gdzie wisały nieruchomo dwa niczego nie rozumiejące roboty, lecz w niebieskie oczy Maćka.